br. s. III / IV

FRANCISZEK LISZT

CHOPIN

TŁÓMACZYŁA MARJA POMIAN

Z PRZEDMOWĄ PROF. Dr. A. CHYBIŃSKIEGO.

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE 1924

Zbiory Stowarzyszenia I. F. 546.

FRANCISZEK LISZT

CHOPIN

TŁÓMACZYŁA MARJA POMIAN

Z PRZEDMOWĄ PROF. Dr A. CHYBIŃSKIEGO.

40



NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE 1924.



CHOPIN

V

Liszt był nietylko wielkim kompozytorem, ale i wielkim odtwórcą dzieł innych mistrzów. Niewątpliwie był odtwórcą bardzo indywidualnym, jak świadczą współczesne sądy o nim.

Równocześnie jednak posiadał dar wnikania w najgłębsze tajniki dzieł innych twórców i umiał mimo swych praw wirtuozowskich być tak bardzo „objektywnym", iż w swej interpretacji, podniesionej do wyżyn niedoścignionego wówczas mistrzowstwa technicznego i artystycznego, był zdolny wyczerpać do dna treść dzieła, ogarnąć jego styl do najdrobniejszych szczegółów, odczytując „między wierszami" to czego nie zawierał (gdyż zawierać nie mógł) obraz nutowy. Jako wirtuoz twórczy należał do najwszechstronniejszych umysłów swej epoki. Z jego biografii wiemy, że zdołał łudząco naśladować grę innych wielkich pianistów-twórców, a zwłaszcza Chopin'a. Jest to zrozumiałe, jeśli sobie przypomnimy, ile Liszt-kompozytor zawdzięcza Chopin'owi-twórcy. Tę nieopisaną zdolność przejęcia się drugą indywidualnością, nie pozostającą bez wpływu wielkiego na jego twórczość, przeniósł Liszt na swój wielki i płodny talent pisarski, tak idący w parze z jego pionierską i reformatorską działalnością, starając się uzyskać literacki pendant do swego wirtuozostwa muzycznego, jako artystycznego wykładu dzieł.

W studjum o Chopin'ie osiągnął szczyt tej jednej z pośród wielu swych zdolności interpretacyjnych. Zarazem złożył dowód i pomnik uwielbienia i przyjaźni dla wielkiego artysty, mimo iż wiedział dobrze, iż o całkowitej wzajemności i przyjaźni ze strony Chopin'a nigdy mowy być nie mogło. Liszt podkreślił, jak nikt przed nim, narodowy charakter muzyki Chopin'a. Wiedział, że na razie jest to dla obcych nienajłatwiejsza do zrozumienia cecha twórczości Chopin'a. Dlatego widział się zmuszony przedstawić niejeden szczegół obrazowo. Sam niewątpliwie nie zdołałby określić obrazowo tego, co było może i dla niego niełatwem. Wprawdzie, jako wielbiciel Polski i zapalony szermierz jej praw nieprzedawnionych przebywał często w otoczeniu polskiem, prowadził nawet obszerną z Polakami korespondencję, jednakże zbyt krótkie były jego pobyty w polskich miastach i dworach, aby zebrać materjał wystarczający do jego celów. Pomocą była mu zażyła przyjaźń, jaka łączyła Liszta z księżną Karoliną Sayn-Wittgenstein, Polką (z domu Iwanowska). Nie ulega żadnej wątpliwości, iż literacki talent księżnej zaznaczył się bezpośrednio w studjum Liszta o Chopin'ie,

Przekraczałoby ramy niniejszej przedmowy, gdybyśmy chcieli sprawę tę rozpatrzeć szczegółowo, o ileby to wogóle było możliwe w obecnym stanie źródeł literackich). Niewątpliwie znajdziemy w pracy Liszta szczegóły, których sprostowanie nikomu nie sprawia trudności. Koła Chopin'a niezupełnie były zadowolone z broszury Liszta, gdy ukazała się w r. 1852; na niezadowolenie ich miały wpływ sprawy osobiste.*

My dzisiejsi, możemy sine ira et studio *oddać się lekturze pracy Liszta, znajdując łatwo to, co nie odpowiada naszym poglądom na życie polskie. Jak każda tego rodzaju praca, tak i „CHOPIN" Liszta da się określić słowami wielkiego poety „Dichtung und Wahrheit".*

*) **Literatura przedmiotu.** Liszt: „Gesammelte Schriften" (Lipsk, 1880—83, 6 tomów); La Mara: „Liszt's Briefe" (tamże 1893—1904, 9 tomów); Kloss: Briefwechsel zwischen Wagner und Liszt (3 wyd. 1910, 2 tomy); Briefe hervorragender Zeitgenossen an Liszt (1895—1904, 3 tomy); La Mara: Aus der Glanzzeit der Weimarer Altenburg. Bilder und Briefe aus dem Leben der Fuerstin Karoline Sayn-Wittgenstein (Lipsk 1906); Hoesick: Chopin (Warszawa 1912); Hoesick: Chopiniana (Warsz. 1912); M. Karłowicz: Pamiątki po Chopin'ie (Warsz. 1904). Szczegółową literaturę zawiera dzieło Hoesicka.

Przedmowa

Studjum Fr. Liszta o Chopin'ie, przełożone niemal na wszystkie języki europejskie, nie po raz pierwszy pojawia się obecnie w języku polskim. Już przedtem było udostępnione polskiemu czytelnikowi w fragmentarycznym przekładzie Felicjana Faleńskiego (Warszawa, 1882)

Przekład niniejszy jest jednak całkowity. Bardzo potrzebny jest choćby z tego powodu, że ilość przekładów na język polski pism muzycznych, których autorami są wielcy mistrze muzyczni, jest bardzo znikoma. Amator muzyki nie władający dość znaczną ilością obcych języków, jest pozbawiony tej lektury. Według dotychczasowego stanu literatury muzycznej w naszym języku może polski meloman zaznajomić się jedynie z fragmentami pism Berlioza, Liszta, Szumann'a i Wagnera. Fragmenty te są zaś tylko drobną cząstką tego, co zawierają zbiorowe pisma literackiej i muzycznej treści, pozostałe po tych mistrzach, a przez obcych wydawane w wielu już wydaniach i przekładach.

Jeśli zaczęto w Polsce od przekładu studjum Liszta o Chopin'ie to niewątpliwie nie uczyniono błędnego kroku. To bowiem studjum jest dla polskiej muzyki najbardziej aktualne (poza innemi względami).

Studjum Liszta o Chopin'ie i Wagnera o Beethovenie — to najbardziej klasyczne przykłady literatury tego rodzaju, literatury mającej i ujemne i dodatnie strony, zawsze jednak interesującej również jako artystyczno-literacka (nie naukowa) interpretacja duchowej strony twórczości mistrzów, którym jest poświęcona, i jako dokument psychologiczny autorów, będących równocześnie przedewszystkiem wielkimi kom-

pozytorami i wirtuozami. Dla szerszych sfer amatorów, nie mających przygotowania naukowego (muzykologicznego) rzadko są dostępne monografje naukowe, starające się wyłożyć twórczość muzyczną wielkiego kompozytora, jej cechy typowe i indywidualne, jej związki historyczne z rozwojem muzyki, jej technikę i środki oraz formy wyrazu, jej styl. Literatura tego rodzaju toruje drogę do rozumienia twórczości muzycznej, a więc do pogłębienia tego stosunku do dzieła, który nazywamy odczuciem. Natomiast monografja, artystyczną nazywana, o ile pochodzi od rzeczywistego, wielkiego artysty, udziela podniet w kierunku odczuwania twórczości muzycznej. I w tem właśnie leży jej wartość, spotęgowana jeszcze bardziej wtedy, gdy towarzyszą jej zalety literackie, nawet w tym wypadku, gdy argumentacja autora nie opiera się na ściśle rzeczowych, lecz urojonych lub fantastycznych podstawach, gdy jest raczej piękną wizją poetycką niż przekonywującą egzegezą nieuchwytnej pozornie treści. Z tego powodu literaturę tego rodzaju cenimy zawsze wysoko, choćbyśmy udowodnili, że zawiera ustępy nie wytrzymujące krytyki nawet ze stanowiska artyzmu, artystycznych wierzeń i przekonań i ustalonych już artystycznych pojęć o wartościach i kierunkach muzycznego myślenia. Niewątpliwie sąd artysty o artyście nigdy nie będzie w całej swej pełni trafnym, i to właśnie może laika, szukającego myślowej i uczuciowej podniety lub nawet oparcia dla odczuwania twórczości, sprowadzić na tory wahań i niepewności. Ale dzieła sztuki i żywsze działanie intuicji — o ile je przez obcowanie z twórczością muzyczną rozwinął — są tym korektywem, który normuje jego stosunek do muzyki, do dzieł twórczości muzycznej, do dzieł pewnego twórcy. Najintensywniej działają i najbardziej przekonywująco jednakże te sądy artystyczne, którym — jak w wypadku obecnym (Liszt o Chopinie) — towarzyszy wielki polot literacki, będący wyrazem głębokiego (choćby nawet jednostronnego) odczucia jednej lub wielu z pośród wszystkich cech indywidualności drugiego twórcy. Ta wymowność literacka, gdybyśmy ją nawet nazwali uroczą frazeologją, działa na laika bezpośrednio swą kolorystyką i dynamiką patetyczną lub uczuciową, działanie jej zaś jest tem większe, im bardziej obrazowo umie artysta swe wizje uzewnętrznić, wizje wywołane dziełami drugiego artysty, o ile w pisarzu-muzyku znajdą sympatyczny resonans, a nie wyłącznie podziw.

I.

O słodki, harmonijny genjuszu Chopina!

Któreż serce miłujące go, któraż z osób bliskich mu, nie zadrży na sam dźwięk imienia jego, wielkiego ducha, którego miała szczęście oglądać. Pozostawił po sobie głęboki żal w gronie artystów i licznych przyjaciół, ale w przyszłości dopiero będzie sprawiedliwie ocenionym i zajmie należne mu wysokie stanowisko w opinji świata.

Fakta dowodzą, że nikt nie jest prorokiem w swoim kraju a doświadczenie uczy, że żadnego człowieka przyszłości, któryby ją przeczuwał a swojemi dziełami niejako przybliżał, nie nazwą prorokiem za życia. Trzeba niestety stwierdzić, że pomimo rozsądku, który powinien niektóre sfery w takim wypadku chronić od błędu, każdy genjusz postępu w dziedzinie sztuki, każdy autor, który się oddala od przyjętego typu, ideału i form, aby stworzyć ideał nowy, świeże typy i formy dotąd nieznane, razi współczesnych; trzeba nowego pokolenia, aby zrozumiało myśl jego i uczucia. Wprawdzie młodzi artyści, grupujący się dokoła odkrywcy, będą protestowali przeciwko tym, co pozostają w tyle i głoszą żywych umarłymi a jednak często się zdarzy, (w muzyce bardziej jeszcze niż w innych gałęziach sztuki), że czas tylko potrafi odkryć całą piękność i zasługę nowych natchnień w nowej szacie.

Przeróżne formy sztuki możnaby porównać z pewnego rodzaju czarem, którego rozmaite formułki mają na celu wywołanie w magicznem kole, tych uczuć i namiętności, których drżenia artysta chciałby uczynić do pewnego stopnia dotykalnemi, słyszalnemi i widzialnemi. Właściwością genjuszu jest wynajdywanie form nowych dla odmalowania uczuć, niewidzianych jeszcze w zaczarowanem kole. W muzyce, podobnie jak w architekturze, wrażenie związane jest ze wzruszeniem bezpośrednio, bez rozumowania i myśli, poezji, sztuki dramatycznej, które wymagają przedewszystkiem znajomości i zrozumienia przedmiotu, ujęcia go intelektem, zanim się stanie własnością serca.

W muzyce zatem samo wprowadzenie niezwyczajnych w przeciwieństwie do krasomóstwa, rzeźbiarstwa, malarstwa, łorm, musi stworzyć przeszkodę w szybkiem zrozumieniu utworu. Niezwykłe wrażenia wywołane sposobem wyrażania myśli i uczuć, którego doniosłości i czaru nie zdołało się jeszcze poznać, pozostawiają po sobie zmęczenie i często dzieło poczęte w okolicznościach nieprzewidzianych, przemawia językiem napozór pierwotnym, bo nieznanym.

Sama trudność przyzwyczajenia ucha, wytłómaczenia sobie dokładnie, dlaczego dawne reguły zostały odmiennie zastosowane, inaczej użyte, przeistoczone nawet, stosownie do potrzeb, które stworzyły, wystarczy, aby wielu odstraszyć. Wydaje im się, że bronią czystej świątyni sztuki przed gwarą niegodną jej mistrzów, odmawiając stanowczo przestudjowania nowych dzieł w celu uchwycenia tego, co chciały wyrazić i zrozumienia, dlaczego dawne zwyczaje muzyczne musiały w nich doznać pewnych zmian. Ta odraza, właściwa umysłom dokładnym, które nabywszy swe wiadomości z pewną trudnością, trzymają się ich, jak dogmatów, „poza któremi niema zbawienia", staje się jeszcze silniejszą wobec nowego genjuszu, wprowadzającego pod odmienną postacią uczucia dotąd w sztuce nieznane. Czyni mu się wtedy zarzut, że nie umie się wyrażać i niewie, co wolno powiedzieć sztuce.

Muzycy nie mogą żywić nadziei, że po ich zgonie wartość pozostawionych dzieł odrazu się podniesie, tak jak się to dzieje w malarstwie, nie pomógłby im też podstęp, użyty przez jednego z wielkich mistrzów flamandzkich, który, chcąc przyszłej chwały zakosztować za życia, kazał żonie rozpowszechnić wiadomość o swej śmierci. Odgrywa tu niemniej rolę kwestja szkoły, która szczególniej w sztuce plastycznej z łatwością może wpłynąć na opóźnienie słusznego sądu o twórcach żyjących.

Namiętni wielbiciele Rafaela powstawali przeciw Michałowi Aniołowi, we Francji długo nie uznawano Ingres'a, później zwolennicy tegoż zwalczali Piotra Delacroix, a w Niemczech stronnicy Kornelius'a rzucali anatemę na czcicieli Kaulbacha, którzy im się pięknem za nadobne odpłacali.

W malarstwie te wzajemne antagonizmy szkół dochodziły łatwiej do sprawiedliwego rozwiązania, choćby dlatego tylko, że obraz lub posąg stworzony przez nowatora, jest dla wszystkich widzialnym, gdy go się publicznie wystawi, oczy tłumu przyzwyczajają się do niego a badacz lub krytyk bezstronny (o ile taki wogóle istnieje) może go sumiennie zgłębić i odkryć prawdziwą zasługę wprowadzenia

odmiennych myśli i form. Oglądając go ciągle, można przy dobrej woli osądzić jasno ścisły związek tych dwóch czynników.

W muzyce dzieje się inaczej. Zwolennicy starych mistrzów i dawnego stylu nie pozwalają umysłom bezstronnym zapoznać się bliżej z utworami nowej szkoły, usuwają od nich publiczność. Jeżeli przypadkowo dojdzie do wykonania dzieła nowego stylu, poruszają przeciwko niemu wszystkie organa prasy, będące w ich ręku, starają się, aby go nie grano i co ważniejsze, aby go nie powtarzano.

Zagarniają orkiestry i konserwatorja, sale koncertowe i salony, przeciwstawiając każdemu autorowi, który przestaje być naśladowcą, pewien system zakazu, obejmujący szkoły, gdzie się kształci smak wartuozów i kapelmistrzów, lekcje, kursa, popisy publiczne i prywatne, gdzie się kształci smak słuchaczy.

Malarzom lub rzeźbiarzom wolno mieć nadzieję nawrócenia swych współczesnych, tych, co nie są znieczuleni zawiścią, mogąc działać jawnością swych dzieł na dusze proste, wyższe ponad zazdrości zawodowe. Muzyk, nowator, musi czekać aż dorośnie nowe pokolenie, które go będzie nietylko słyszało, ale słuchało. Poza teatrem, który ma swoje własne warunki, normy i prawa i którym się tu nie zajmujemy, nie posiada areny dla podbicia publiczności, nie ma możności uzyskania u każdego co poznaje i wykonuje jego utwory, zrozumienia dla uczucia, co go natchnęło, woli i myśli, która nim kierowała. Musi być z góry na to przygotowanym, że ważność i piękność formy, w jaką wcielił swoje uczucia i ducha, nie będzie uznaną przez równych mu artystów, prędzej niż za ćwierć wieku, czyli poprostu po jego śmierci. Może też być, że zmiana, która nastąpi wtedy w sądach, będzie miała po części źródło swoje w złych namiętnościach współzawodnictwa lokalnego, a dzieła zmarłych twórców zostaną użyte jako zjadliwa broń przeciw bezwartościowym produkcjom chwilowych ulubieńców mody. Jakże daleko od tego retrospektywnego uznania, zaczerpniętego przez zawiść u sprawiedliwości, do zrozumienia pełnego czci i miłości, które się genjuszowi lub wielkiemu talentowi słusznie należy.

Wina tych, co pozostają w tyle, jest bezsprzecznie wielka, większa jeszcze w oczach twórców, których wysiłki neutralizują i chwałę odraczają, ale czy nie może im służyć za wytłómaczenie rzeczywista trudność w zrozumieniu piękności zapomnianych, uznaniu zasług, których uparcie zaprzeczają?

Słuch jest zmysłem nieskończenie wrażliwym i subtelniejszym od wzroku; za jego pośrednictwem, wtedy gdy

nie służy zwykłym potrzebom życia codziennego, dochodzą do mózgu wzruszenia i myśli, wyrażone zapomocą różnych tonów, włączonych w melodję, ugrupowanych rytmicznie i harmonijnie ułożonych. Uchu trudniej więc, aniżeli oku przyzwyczaić się do nowości; oko łatwiej zniesie zarysy ostre lub zaokrąglone, proste czy przesadzone, zupełny brak kolorytu lub nadmiar jego, prędzej uchwyci poza manierą mistrza jego intencję poważną lub patetyczną. Dysonanse natomiast rażą ucho boleśnie, gdyż nie umie ich umotywować, modulacje wydają mu się zawrotnie śmiałe, bo nie odczuwa ich związku zarazem tajemnego, logicznego i estetycznego. Podobnie w architekturze: przejścia wymagane przez jeden styl byłyby niemożliwe w drugim. Muzycy oddalający się od utartych zwyczajów, muszą bardziej, niż inni polegać na pomocy czasu, bo grając na czułych strunach serc ludzkich, ranią je tylko boleśnie, jeżeli nie oczarowują i zachwytu nie budzą.

Nowy język łączy się tem, co mówi i jak mówi z ideałem nowej epoki, z rozwijającemi się typami następnego okresu, budzi zrazu zaciekawienie, a potem porywa usposobienia młode, żywe, nie przykute łańcuchem przyzwyczajenia do starych form i do uczuć przez nich wyrażanych (pietyzm godny zresztą szacunku nawet u tych, co go łącza z tyranją). Te zastępy młodych witają z entuzjazmem odzwierciedlenie swych wrażeń, spełnienie przeczuć i torują nieznanej dotąd mowie drogę do ogółu, który zajmuje najpierw stanowisko odporne, powoli jednak dochodzi do zrozumienia sensu, doniosłości i budowy, i może wydać sprawiedliwy sąd o jej zaletach i bogactwach.

Bez względu na popularność licznych dzieł mistrza, ofiary śmierci przedwczesnej, o którym chcemy mówić, można przypuścić, że dopiero za dwadzieścia pięć lub trzydzieści lat utwory jego spotkają się z rzeczywistem uznaniem. Pełne genjalnych melodji, przedziwnych pomysłów rytmicznych i wybitnych nowości w układzie harmonicznym, muszą zająć odpowiednie miejsce w historji muzyki i znaleźć większy poklask, aniżeli niejedna rozleglejsza kompozycja, grywana przez dwie orkiestry, melodje śpiewane i powtarzane przez różne primadonny.

Genjusza Chopin'a bogaty, głęboki i wzniosły, mógł z łatwością zabłyszczeć w rozległej dziedzinie orkiestralnej. Jego pomysły muzyczne były dość ciekawe, liczne i jasne, aby wyjść zwycięzko z sideł instrumentacji. Dla pedantów, którzy mogli mu zarzucić brak polifonji, miał gotową odpowiedź: polifonja, jeden z najpotężniejszych i najpiękniejszych środków muzycznych, nie jest jednak niczem więcej,

jak środkiem, sposobem wyrażania się, formą stylu użytą przez tego lub innego autora, stosownie do uczuć jego, epoki i kraju. Nie jest zadaniem sztuki używać środków i form, jako takich, lecz muszą one być wyrazem myśli i wrażeń artysty. Z chwilą, gdy genjusz tego ostatniego oraz tematy przez niego wybrane nie wymagają tych właśnie form, odkłada je poprostu na bok, podobnie jak flet i klarnet, wielki bęben lub wjolę, o ile mu są niepotrzebne.

Używanie pewnych efektów nieco trudniejszych do osiągnięcia, nie stanowi jeszcze o genjuszu, cechą jego uczucie, dające natchnienie dźwiękom, miarą szlachetność a dowodem tak ścisły związek uczucia z formą, że jedno jest wcieleniem i syntezą drugiego. Łatwość przeniesienia najpiękniejszych i najwybitniejszych utworów Chopina na orkiestrę świadczy najwymowniej o tem, że dziedzina ta nie była mu obcą. Widocznie nie chciał pisać dzieł symfonicznych i to nie z powodu skromności lub niestosownej pogardy, tylko z jasnego i wyraźnego poczucia formy, odpowiadającej mu najlepiej. Taki trafny wybór to jedna z właściwości genjuszu w każdej gałęzi sztuki, a szczególniej w muzyce; Chopin dowiódł tem, że jest wielkim twórcą posiadającym tę rzadką zaletę, bo każdy inny artysta o podobnie wielkim talencie melodyjnym i harmonijnym, byłby się dał uwieść pokusie smyczka, omdlewających dźwięków fletu i energji trąby.

Kompozycje jego na pierwszy rzut oka zdają się wymagać szerszego pola dla pełnego rozwoju; wieleż poważnego namysłu potrzeba było, zanim dojrzał zamiar nieprzekraczania granic pozornie ciasnych? Jaką głębokość intuicji zdradza ta chęć przeniesienia efektów orkiestralnych z właściwej im dziedziny, gdzie fale głosów rozbryzgiwały się u ich stóp, do sfery ściślejszej, ale bardziej wyidealizowanej? Jak wielkie zaufanie musiał mieć do swego instrumentu, aby się dobrowolnie zrzec tak rozpowszechnionego empiryzmu i odebrać wielkim myślom zwykłych interpretatorów. Powiększył przez to ilość środków muzycznych, nauczył używania ich w ograniczonych ramach i przejęty kultem piękna, oparł się ogólnemu prądowi i nie rozdzielił melodji pomiędzy setkę pulpitów.

Daleki od poszukiwania grzmotów orkiestry, włożył Chopin wyraz swej myśli w klawisze, które potrafiły odtworzyć całą jej siłę mimo braku efektów zespołu i pędzla dekoratora. Dotąd jeszcze nie oceniono prawdziwej wartości delikatnych linji tych utworów, bo w dzisiejszej dobie świat jest zdania, że na miano wielkiego kompozytora zasługuje ten, co pozostawi conajmniej pół tuzina oper, ty-

leż oratorjów i parę symfonij. Od muzyka wymaga się więc wszystkiego, a może i trochę ponadto.

Taki sposób osądzania genjuszu z punktu widzenia ilości i objętości dzieł, jest bardzo rozpowszechniony, niemniej jednak niesprawiedliwy.

Nie chcę bynajmniej zaprzeczać prawdziwej wyższości i chwały trudniejszej do osiągnięcia śpiewakom epicznym i ich wspaniałym utworom rozwiniętym szeroko; pragnąłbym tylko, aby do muzyki stosowano tę samą miarę, co do malarstwa, w którem taka „Wizja Ezechiela“ lub „Cmentarz“ Ruysdael'a, płótno o powierzchni dwudziestu cali, stawiane jest na równi z olbrzymiemi niekiedy obrazami Rubensa lub Tintoretta. Podobnie w literaturze: czy La Rochefoucauld nie jest pierwszorzędnym pisarzem mimo szczupłych ram„Myśli“? Uhland i Petöfi nie przekroczyli granic poezji lirycznej i „ballady“, a stali się narodowymi poetami; a Petrarka? czyż nie zawdzięcza swej sławy „Sonetom“ i czy wielu z tych, co rozkoszują się słodkiemi jego rymami, słyszało kiedykolwiek o jego klasycznej „Afryce“?

Muszą kiedyś zniknąć przesądy, odmawiające twórcom rzeczy mniejszych n. p.: pieśni, jak Schubertowi, lub R. Franzowi, pierwszeństwo przed kompozytorami płytkich melodji przeróżnych oper, których nawet nie chcemy wymieniać. Wymowne, pełne talentu dzieła, zyskają wtedy uznanie bez względu na swą obfitość i środki w nich użyte.

Pod wzorową formą kryje się u Chopin'a wiele piękności i uczucia nieznanego dotąd. Śmiałość jego posiada zawsze usprawiedliwienie, bogactwo, bujność nawet nie wyklucza jasności, ustępy dziwne nie są dziwaczne, cyzelowania nie robią wrażenia nieładu, zbytek ornamentacji nie psuje lekkości głównych zarysów. Dzieła te, pełne niezwykłych kombinacji, tworzą nową epokę w stylu muzycznym; świetne, czarujące a głębokie posiadają nieskończenie dużo wdzięku, a wywierają wpływ tak potężny, że trudno na trzeźwo wyrokować o ich wartości teoretycznej. Przy dokładniejszem zbadaniu epoki, do której Chopin należał, również pod tym względem zajaśnieją.

Jemu zawdzięczamy rozszerzenie użycia akordów, ciekawe węzłowania chromatyczne i euharmoniczne, grupy nut dodanych, spadających jak kropelki rosy na główną linję melodji. Ozdobie tej, której pierwowzoru trzebaby szukać w „fioriturach“ staro-włoskiej szkoły śpiewu, nadał powab urozmaicenia i niezwykłości. On również jest wynalazcą cudownych progresji harmonicznych, nadających charakter powagi nawet ustępom pozornie lekkim.

Mniejsza zresztą o przedmiot. Czy nie podnosi go i nie

uszlachetnia myśl, co go stworzyła, wzruszenie, co w nim drga? Wiele melancholji, wiele finezji i przenikliwości, a szczególniej wiele „sztuki“ wa rcydziełach La Fontaine'a, choć przedmioty zwykle pospolite a tytuły mało obiecujące! Podobnie jest w Etiudach i Preludjach; a jednak te utwory zrodzone z natchnienia genjuszu są wzorami w rodzaju stworzonym przez artystę. Pisane wcześnie noszą piętno młodzieńczego zapału, który niknął stopniowo w późniejszych staranniej wykończonych i bardziej skombinowanych pracach, ustępując miejsca przedziwnej sentymentalności. Zdawałoby się, że źródłem jej było przedrażnienie, w każdym razie zaś taka subtelność odcieni, niezwykle trafny dobór akcentów i kontrastów, nie mogły wypływać z duchowego wyczerpania.

Gdybyśmy chcieli opracowywać naukowo dzieje rozwoju fortepianu, musielibyśmy dokładnie zanalizować genjalne kompozycje Chopin'a i zebrać w nich bogaty plon wiadomości. W pierwszym rzędzie trzeba by się zająć nokturnami, balladami, scherzami i impromptus, ich niesłychanemi i niesłyszanemi pomysłami harmonicznymi, których możnaby też szukać w polonezach, mazurkach, walcach i bolerach, ale trzeba to już pozostawić uczniom kontrapunktu i basu szyfrowanego. Do rozpowszechnienia i popularności tych dzieł przyczyniło się głównie przenikające je uczucie romantyczne, wybitnie indywidualne a niezwykle pociągające nietylko dla mieszkańców kraju, w którym miało swe źródło, ale i dla tych wszystkich, co umieją odczuć niedolę wygnania i uniesienia miłości.

Chopin nie zawsze zadawalniał się ramami, które zresztą sam sobie tak udatnie nakreślił, lecz pragnął również spróbować sił swoich w zakresie klasycyzmu. Stworzył więc bezsprzecznie piękne koncerty i sonaty, ale więcej w nich siły woli, niż natchnienia samorzutnego a fantastycznego, które nie ścierpi ograniczeń. Odnosi się wrażenie, że za każdym razem, kiedy artysta chciał się nagiąć do reguł klasyfikacji, do rozkazów cudzych, zadawał gwałt swemu genjuszowi.

Chęć odniesienia zwycięstwa na różnych polach wywołał może przykład jednego z przyjaciół, Mickiewicza, który uświetnił swą mowę poezją romantyczną, stwarzając swemi „Dziadami“ i balladami fantastycznemi jakoby szkołę w literaturze polskiej, a „Grażyną“ i „Konradem Wallenrodem“ dowiódł później, że lira starożytnych jest mu posłuszną i że forma klasyczna nie przedstawia dla niego trudności. Powodzenie Chopin'a było pod tym względem mniej zupełnem; kontury lekkie, stanowiące urok jego ta-

lentu, nie harmonizowały z surowemi zasadami, nie mogła się do nich nagiąć myśl naprzemian mglista i wyraźna, wyłamywała się i otaczała formy, jakby luźnemi fałdami dziewiczych szat, którym otulały się piękności śpiewów Osjana, ukazując słodki profil z poza przelatujących obłoków.

Klasyczne utwory Chopin'a cechuje niezwykła wytworność stylu; są w nich ustępy niezmiernie ciekawe i wzniosłe, n. p.: adagio z drugiego koncertu, ulubione przez samego autora i na jego żądanie często powtarzane. Linje poboczne zdradzają przedziwną manierą autora, główna fraza nosi cechę genjuszu; naprzemian z nią występuje recytatyw, utrzymany w moll, tworzący niejako antistrofę. Całość jest bezwzględnie doskonała. Uczucie radości i współczucia dają złudzenie cudownego pojazu zalanego światłem, krainy szczęścia, którą obrano za miejsce żałosnego opowiadania lub wstrząsającej sceny, jakby cios okrutny miał zdruzgotać serce ludzkie wobec niezrównanego blasku natury.

Zupełne zjednoczenie tonów, przyciemnione barwy, podnoszą ten kontrast i chronią od dysonansów ten tkliwy nastrój tęsknej radości i złagodzonego bólu!

Czy możnaby nie wspomnieć o marszu żałobnym, jednej z części pierwszej sonaty, rozpisanym na orkiestrę i wykonanym po raz pierwszy przy odprowadzaniu zwłok twórna miejsce wiecznego spoczynku? Trudno o lepszy wyraz uczuć żałosnych i gorzkich łez idących za tym, który tak głęboko potrafił odczuć rozpacz po wielkich stratach!

Jeden z młodych jego ziomków powiedział trafnie: „Takie dzieło mógł stworzyć tylko Polak!“ i rzeczywiście w tonach tych odbija się uroczysty pochód narodu pogrążonego w żałobie opłakującego swą własną zagładę. Nadzieję mistyczną, wzywanie pomocy miłosierdzia nadziemskiego, łaski nieskończonej i sprawiedliwości, co widzi każdy grób i każdą kolebkę, egzaltowaną skruchę, która otoczyła aureolą bezmiar bólu i klęski, heroizm, godny męczenników chrześcijaństwa, — wszystko to mieści w sobie głos rozpaczliwej prośby! Drga w nim to co najświętsze, najczystsze, najbardziej zrezygnowane i wierzące w sercach kobiet, dzieci i kapłanów! Czuje się wyraźnie, że to nie płacz o jednego bohatera, bo zostali inni gotowi do odwetu, ale o zgon całego pokolenia.

Niema w tej boleści żadnej starożytnej nuty, wściekłości Kassandry, ani poniżeń Prjama, frenezji Hekuby i skargi branek trojańskich. Przeraźliwe krzyki, ochrypłe jęki, bluźnierstwo i wyrzekania nie mącą seraficznych westchnień. Niezłomna wiara osładza gorycz w sercach tych, co pozostali, ich cierpienie nie ma już cech ludzkich. Z ziemi przesiąkniętej krwią i zroszonej łzami wzlatuje do stóp Najwyższego błaganie o litość tak potężne, że niema chyba serca, któreby mu się oprzeć mogło. Tyle w niem słodyczy obok jęku, że zdaje się nie pochodzić z tego świata; dźwięki brzmiące z oddali nakazują skupienie, jak gdyby śpiewane przez anielskie chóry unosiły się już wysoko około tronu bożego.

Niesłusznem byłoby mniemanie, że inne kompozycje Chopin'a są pozbawione wzruszeń tego wzniosłego zaparcia się siebie i słodkiej rezygnacji; w wielu ustępach spotyka się wybuchy gniewu, ukrytej wściekłości, mające źródło w rozpaczy naprzemian ironicznej i pogardliwej.

Ponure te głosy jego muzy przeszły prawie niespostrzeżone i mniej zrozumiane aniżeli poemata o kolorycie spokojniejszym, może dlatego, że pochodziły z dziedziny uczuć nieskazitelnie pięknych, niedostępnej dla wielu i nieznanej. Mógł się do tego znacznie przyczynić charakter Chopin'a. Miły, uprzejmy, łatwy w stosunkach z ludźmi, przeważnie dobrze usposobiony, mało zdradzał wewnętrzne wstrząśnienia.

Określenie tego charakteru jest dosyć trudne. Składał się z tysiąca odcieni, krzyżujących się i zakrywających nawzajem w sposób na pierwszy rzut oka niezrozumiały. Co do głębi myśli łatwo było się pomylić; u Słowian naogół prawość i wylanie, poufałość i pociągająca swoboda, bynajmniej nie wypływają z zaufania i chęci do wynurzań. Uczucia tej rasy są naprzemian widoczne i ukryte jak zwijające się sploty wężowe, trzeba się zbliska przypatrzyć, chcąc rozróżnić pierścienie. Uprzejmości i pięknym słowom, łom, pozorom skromnym wierzyć nie można, są to formuły, wypływające z obyczajów, które przypominają Wschód. Małomowność muzułmańska nie przyjęła się u Słowian, tylko nieufna wstrzemięźliwość w sprawach, dotyczących tajni serca; mówiąc o sobie prawie zawsze zachowują pewną rezerwę, która im nadaje pozorną wyższość i nie pozwala odkryć tej lub innej słabości; za pokrywkę służy często uśmiech pytający, przebiegły, lekko ironiczny. Lubią mistyfikację dowcipną lub humorystyczną, gorzką lub posępną, jakby znajdowali w tym drwiącym podstępie wyraz pogardy. Wewnętrznie odczuwaną wyższość ukrywają starannie na zewnątrz z całą chytrością uciśnionych.

Wątły ustrój i słabe zdrowie Chopin'a nie pozwalały mu na wyładownie całej namiętności; przyjaciołom swym okazywał tylko strony dobre i łagodne. Wśród gorączkowego życia w mieście niema czasu na zastanawianie się nad cudzym losem, więc też sąd o bliźnim jest doraźny. Ci

co mieli sposobność zbliżenia się do polskiego muzyka, nieraz zauważyli niecierpliwość i nudę, która go ogarniała, gdy mu wierzono na słowo. Niestety! artysta nie mógł pomścić człowieka! Brak sił tamował wybuchy tej niecierpliwości, energja musiała znaleźć ujście w kompozycjach, które lubił słyszeć wykonywane z siłą, jakiej sam nie posiadał. Unosiły się w nich fale namiętnego bólu, płynące z tajemnych ran, wichrami uczuć rozkołysane.

Któregoś dnia popołudniu siedzieliśmy w trójkę. Chopin grał dosyć długo. Na twarzy towarzyszki naszej, jednej z wybitnych kobiet Paryża, odbijało się pobożne skupienie w rodzaju tego, jakie wywołują zasiane grobowcami cmentarzyska wschodnie, obiecujące zdala cieniste, rozkoszne ustronie. Zwróciła się do mistrza z zapytaniem, skąd może pochodzić to głębokie poszanowanie dla potęgi ukrytej pod pozorami lekkości i wdzięku? Jak nazwać dziwne uczucia, zawarte w tych kompozycjach, jakby nieznane popioły we wspaniałych urnach z alabastru? Wzruszony widokiem łez w tak pięknych oczach, artysta ukrywający zazwyczaj zazdrośnie relikwje swej duszy, odpowiedział jej szczerze, że serce się nie omyliło, że chwilowe rozweselenie nie mogło nigdy zagłuszyć uczucia, które mógłby nazwać tylko w ojczystym swym języku. Bo żaden inny nie posiada wyrażenia równoznacznego polskiemu: żal! Powtórzył je kilkakrotnie, jak gdyby ucho chciwie pragnęło dźwięku, zawierającego całą gamę uczuć. Żal! wyraz dziwny, o tak różnem znaczeniu i dziwniejszej jeszcze filozofji! Zastosowany do wypadków, wyraża całą pokorę rezygnacji, słodko poddającej się rozkazom Opatrzności i wtedy można go określić jako „boleść niepocieszona po niepowetowanej stracie". Z chwilą, kiedy się odnosi do człowieka, nabiera odmiennego znaczenia, synonimu jego nie znajdzie w żadnym słowniku łacińskim czy germańskim. Wyższy, szlachetniejszy, aniżeli francuskie słowo „grief" zawiera ferment urazy, wymówki, bunt, pragnienie zemsty, głuchą groźbę drzemiącą na dnie serca w oczekiwaniu odwetu. Tak, rzeczywiście to „żal" opromienia dzieła Chopin'a, w połączeniu ze słodkiemi jego marzeniami. Najwyraźniej odbija się w utworach ostatnich, pisanych w chorobliwem przedraźnieniu i gorączce, w ustępach dziwnych a przykrych. Upadając pod naciskiem powstrzymywanej gwałtowności, używał sztuki już tylko do odtworzenia własnej tragedji, a gdy wyśpiewał swe uczucia, zaczął je szarpać na kawałki. Kompozycje po tym okresie powstałe mają w sobie coś z wyszukanych wzruszeń Jean Paul'a, któremu potrzeba było fenomenów przyrody i fizyki, zmysłowych wstrząśnień i chorobliwych halucynacji do poruszenia serca zoranego namiętnościami. zobojętniałego na cierpienie.

Melodja nabierała wtedy u Chopina cech udręczenia, w przeczuleniu nerwowem chwyciwszy motyw jakiś obrabiał go z zawziętością, tak przykrą jak widok cierpień, dla których jedynem lekarstwem — śmierć! Choroba pogarszająca się z roku na rok zaprowadziła Chopina przedwcześnie do grobu; utwory powyżej wspomniane noszą ślady bólu, co go trapił, jak piękne ciało znaki pazurów drapieżnego ptaka.

Czy straciły przez to na piękności? czy natchnienie zawarte w nich i forma zewnętrzna przestaną dlatego należeć do wzniosłej dziedziny prawdziwej sztuki? Nie — wzruszenia czyste, niepocieszonej, rozdzierającej skargi należą do najszlachetniejszych drgnień serca ludzkiego, a wyraz ich odpowiada najwyższym wymogom sztuki. Niema w nich nic pospolitego, żadnego krzyku, przesadnego ani brzydkiego zwrotu, układ harmonijny, wzorowy i niezmiernie ciekawy.

II.

Kompozycje bardziej znane i co za tem idzie bardziej cenione, nie mają tych dźwięków subtelnego cierpienia i smutku. Do piękniejszych wśród nich zaliczyć trzeba polonezy, rzadziej wykonywane z powodu trudności technicznych, niczem nie podobne do bawidełek z epoki rokoko, ogranych przez orkiestry balowe, należących niekiedy do programu wirtuozów koncertowych, a stale do repertuaru wyblakłej muzyki salonowej.

Energiczny ich rytm musi wstrząsnąć i zgalwanizować choćby największą martwotę. Odzywają się tu najszlachetniejsze uczucia dawnej Polski; nosząc wybitne cechy męskości, odzwierciedlają śmiałość, z prostotą właściwą temu walecznemu narodowi. Tchną siłą i spokojem, stanowczością i ceremonjalną powagą. Zda się, że kroczą dawni Polacy, tacy, jakich znamy z kronik: rośli, inteligentni, głęboko lecz rozsądnie pobożni, obdarzeni rycerską odwagą, zdolni do najczulszej tkliwości dla kobiet, usuwanych na wzór turecki w cień zacisza domowego, pod srogą władzą męża, do unieśmiertelniania królowych, otoczonych aureolą świętości; córki wasalów zasiadające na tronie, poddanki droższe nad berło. Wystarczy wspomnieć Sobieskiego, który na wyprawie przeciw Turkom znajdował codzień rano czas na czuły bilecik do żony! Szlachetna emfaza w zachowaniu łączyła się z powagą przejętą po części od wyznawców islamu, przeciwników zwalczanych ale szanowanych; czyn zwykli poprzedzać rozumnym namysłem jakby stosując się do przysłowia księcia pomorskiego Bolesława: „Erst wieg's, dann wag's". (Najpierw zważ, potem się odważ!).

Pozór ważności nie pozbawiał wdzięku swobody, wyniosłość pompatyczna nie wykluczała żywego zajęcia się najmniejszemi strapieniami serca, najdrobniejszemi szczegółami życia, które wysoko stawiali pod warunkiem, aby było pięknem, a to co się do tego przyczyniało, otaczali miłością i czcią. Rycerski ich heroizm wypływał z butnej dumy i zastanowienia, rozsądek połączony z siłą cnoty zyskiwał

podziw u wszystkich, nawet u przeciwników. Ta śmiała roztropność, ostrożność nie wykluczająca hazardu oraz pewien fanatyzm, znalazły ujście w historycznej wyprawie Sobieskiego pod Wiedeń, która zadała śmiertelny cios potędze tureckiej. Muzułmanie musieli ulec w tej walce prowadzonej z podobnem bohaterstwem i wzajemnemi względami przez dwóch przeciwników, zarówno nieubłaganych jak wspaniałomyślnych.

Polska była przez długie lata państwem jedynem w swoim rodzaju dzięki wysokiej, całkiem odrębnej cywilizacji. Równie niepodobna do ustroju Niemiec, sąsiadów od Zachodu, jak do ducha despotycznego i zaborczego Turków, niepokojących stale jej wschodnie granice, zbliżała się z jednej strony, rycerskim katolicyzmem, zapałem do zwalczania niewiernych, do Europy, z drugiej zaś skłaniała się ku Bizancjum, skąd czerpała zasady bystrej polityki i taktyki wojskowej. Te różnorodne pierwiastki wcielała do ustroju bliskiego upadku, o wzniosłej cnocie świętości chrześcijańskiej, omal, że graniczącej z fanatyzmem muzułmańskim.*)

Ogólna znajomość łaciny, zamiłowanie do literatury włoskiej i francuskiej, pokrywały te dziwne kontrasty klasyczną powłoką. Każdy odruch nosił piętno tej cywilizacji, w której nie było miejsca na romantyczność błędnych rycerzy i turnieje, bo naród w ciągłej wojnie dokonywał na polu bitwy cudów waleczności; miejsce gier i zbrojnych zapasów zajmowały inne uroczystości, uświetnione wspaniałemi pochodami.

Wyrazem charakteru narodu są w znacznej mierze jego tańce, lecz niewiele jest takich, któreby tak wiernie, jak polonez, odzwierciedlały swe źródło. Obecnie, kiedy z dawnej świetności został tylko szkielet, kiedy machinalnie obchodzi się salony, ustała werwa i brakło urozmaicających epizodów, trudno odgadnąć, jakim był pierwotnie, tak wielkim jest stopień zdegenerowania zdaniem tych, co go widzieli jeszcze w początkach naszego wieku. Łatwo zrozumieć, jak bezbarwnym musi im się teraz wydawać, tembardziej, że tak jak przeważnie wszystkie tańce narodowe, musiał stracić na oryginalności z chwilą zarzucenia odpowiednich strojów.

Polonez, pozbawiony ruchów szybszych i pierwiastków

*) Wiadomem jest jak licznie imiona polskie wzbogaciły kalendarz i martyrologję Kościoła. Zakon Braci Zmartwychstańców, zajmujący się wykupywaniem chrześcian z niewoli, otrzymał od Stolicy Apostolskiej wyłączny przywilej noszenia czerwonego pasa na białej szacie, na pamiątkę męczenników, którzy należeli do jego zakonu, a ponieśli śmierć na kresach up. w okolicach Kamieńca Podolskiego.

choreograficznych, bardziej chełpliwy niż wdzięczny, uwydatniał urodę mężczyzn, postacie piękne i rycerskie a ujmująco uprzejme. Te dwa ostatnie określenia dają, o ile mi się zdaje, trafną definicję charakteru polskiego.

Pod wpływem czasu stracił polonez swą cechę zarozumiałości cokolwiek napuszonej, dumne swe znaczenie, zamienił się w przechadzkę mało ciekawą. Formuła nie ożywiona gestem i miną, pozbawiona koniecznych czynników stała się prostej przyczyny, monotonną.

Od czasu do czasu pojawiają się wspaniałe grupy, niby zdjęte z obrazu Pawła Veronese. Wyobraźnia stroi je w bogate szaty minionych wieków: sztywne złote brokaty, aksamity weneckie, kwieciste atłasy, miękkie sobole, rękawy zręcznie na ramię odrzucone, szable damasceńskie, przepyszne klejnoty, buty żółte jak złoto, lub czerwone jak we krwi nurzane, kołnierze wysoko zapięte, koronki flamandzkie, staniki perłami wyszywane, szeleszczące treny, powiewne pióra, fryzury połyskujące rubinami i szmaragdami, maleńkie pantofelki bursztynami wyszywane, rękawiczki z zapachem wonnych poduszeczek haremowych — odbijają barwnie, na wyblakłem tle przeszłości, w otoczeniu dywanów perskich, smyrneńskich mebli, filigranowych wyrobów Konstantynopola, całego zbytku magnatów, którzy czerpali tokaj z fontann artystycznie wykonanych, puharami pozłoconymi zdobnymi w medaljony, którzy przy wjeździe do obcego miasta, kazali podkuwać arabskie rumaki srebrem, tak, aby luźno przybite podkowy gubiły się po drodze i świadczyły o hojności książęcej dla ludu!

Każda korona nad berłem mogła przez elekcję stać się królewską; na znak dumnej równości podobne były do siebie. Nazwa klejnotu rodzinnego pochodziła zwykle ze starej anegdoty (właściwość herbów polskich), członkowie rodziny strzegli honorem swym jego czystości.

Liczne odcienie i wymowna mimika poloneza bardziej odegranego niż odtańczonego, znane nam są z przykładu i opowiadania starców, którzy wiernie zachowali strój narodowy. Dawny kontusz był czemś w rodzaju kaftana, skróconego do kolan. Ubiór wschodni przystosowany do życia czynnego nie pędzonego w biernej rezygnacji. Rozcięte rękawy z bogatego materjału, barwy żywej na okazje uroczyste, odsłaniały żupan, w przeciwieństwie do nich gładki lub wzorzysty. Kontusz przyozdobiony drogocennem futrem, najulubieńszym przedmiotem zbytku ówczesnego, dawał sposobność do wdzięcznego ruchu odrzucania wylotów, przyczem uwydatniało się mniej lub więcej harmonijne zestawienie kolorów.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA W WARSZAWIE BIBLIOTEKA

Trudno by było tym, co nigdy tego stroju nie nosili, uchwycić wyrazistą pantominę postawy dumnie wyprostowanej lub nisko schylonej, dawnych Polaków, gdy defilowali w polonezie, jakby na paradzie wojskowej. Ręka gładziła wąs lub bawiła się rękojeścią szabli. Jedno jak i drugie zarówno było potrzebnem do całości, przedmiotem dumy młodych i starych; wąs bywał jasny lub siwy, szabla dziewicza cuda waleczności obiecywała albo wyszczerbiona, jakby ślady krwi na sobie nosiła. Pas ze słotej lamy, kaszniru lub łusek srebrnych, spięty guzem ozdobionym wizerunkami: Bogarodzicy, króla lub herbu narodowego, otaczał postać barczystą, na zwisającej karabeli połyskiwały drogie kamienie. Stokroć piękniejsza od nich krwawiła się często na twarzy blizna, świadectwo walki o całość ojczyzny. Stroje kobiece jaśniały na równi z męskiemi przepychem klejnotów, bogactwem materji, żywością kolorów; podobnie jak w strojach węgierskich*) guzy przy żupanie i kontuszu, agrafy, pierścienie, kity na czapkach amarantowych, barwy polskiej tarczy herbowej, lub granatowych, koloru litewskiej Pogoni, były bogato wysadzane drogiemi kamieniami.

Trzymanie, przekładanie z ręki do ręki ruchem znaczącym, tego kołpaka o aksamitnych fałdach, pośród których błyszczał pęk brylantów, było specjalną sztuką. Musiał ją posiadać danser, tańczący w pierwszej parze, rządzący całym pochodem, a był nim zwykle pan domu, który otwierał bal z najszanowniejszą z dam, bo taniec ten był niejako popisem dla wszystkich i całe towarzystwo w nim uczestniczyło. Po gospodarzu szli najbardziej zasłużeni mężowie z danserkami, które wybierali z sympatji, lub ze względu na wpływy jakie posiadały. Zadanie pierwszego dansera było wcale trudnem. Miał prowadzić cały zastęp zawiłemi drogami, poprzez komnaty zapełnione spóźnionymi gośćmi, przez długie korytarze, do ogrodu, na odległe ścieżki, gdzie muzyka tylko słabem dochodziła echem, a powracających do sali głośną witała fanfarą. Gospodarz rej wodzący przybierał postawę junacką, aby wzbudzić zazdrość pośród grona mężczyzn a uwielbienie u dam, zadziwić widzów ustawionych rzędem i bacznem okiem śledzących każdy jego ruch. Uśmiechem wesela i dumy starał się dać wyraz radości, jaką odczuwał z powodu obecności tylu dostojnych przyjaciół, poważnych stronników, którzy raczyli, wspaniale przystrojeni, dom jego zaszczycić.

Gubił się w niespodzianych zakrętach, gdzie sztuka ar-

*) W Anglji pamiętają do dzisiejszego dnia strój księcia Mikołaja Esterhazego, na koronacji Jerzego IV., przedstawiający wartość kilkunastu miljonów guldenów.

chitektury lub dekoracji stworzyła widoki malownicze, żywe obrazy, sztucznemi ogniami oświetlone napisy. Ruchem wykwintnym podkreślał te z pośród nich, które składały hołd „najwaleczniejszemu“ lub „najpiękniejszej“. Im więcej niezwykłych zwrotów, fantazyjnych pomysłów, było w tym barwnym korowodzie, tem większy zyskiwał poklask, towarzyszyły mu wybuchy śmiechu i głośne okrzyki. Pierwszy danser stawał się uprzywilejowanym i poszukiwanym, przykład jego był zachętą do dalszych zabaw, budził u młodzieży chęć współzawodnictwa. O ile to był człowiek niemłody udawała się do niego po skończonym tańcu deputacja panien, aby w imieniu wszystkich złożyć podziękowanie.

W tym kraju hałaśliwych elekcyj, w społeczeństwie arystokratyczno-demokratycznem, pragnęli magnaci zaimponować szlachcie zgromadzonej na trybunach dookoła sali balowej. Byli tam potomkowie wielkich rodów, szlachetnego pochodzenia, którym brak majątku nie pozwalał na piastowanie urzędu kasztelana lub wojewody, kanclerza lub hetmana, stanowiska dworaka lub męża stanu. Odmiennie od tych, co mówiąc dumnie: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“, nie opuszczali niskich dworków i pracy w polu dla hucznych zabaw w siedzibach magnackich, ofiarowywali w gonitwie za fortuną usługi swoje, synów i córek możnym panom i ich małżonkom. W czasie tańca zazwyczaj trzymali się na uboczu, z własnej woli lub z powodu braku odpowiednich strojów, darząc pochlebnemi oklaskami świetny pochód, na który chciwe ich oczy z zawiścią patrzyły. Przesuwał się strojny i lśniący, jak ciało węża o niezliczonych pierścieniach, ożywioną grą barw, cichem dzwonieniem złotych łańcuchów, wlokących się szabel, szelestem wspaniałych adamaszków, perłami i brylantami bogato naszywanych, zdobnych we wstęgi i kokardy. Szmer głosów to się zbliżał, to oddalał, podobny do wesołego gwizdu lub gadatliwych fal.

Czy było jednak możliwem, aby w Polsce, gdzie łączyły się w gościnności delikatność cywilizacji z rozbrajającą prostotą obyczajów pierwotnych, taniec nie zawierał w sobie tego pierwiastku? Pan domu uczynił zadość swym obowiązkom prowadząc pierwszy raz, z najczcigodniejszą czy najwybitniejszą z dam, swych gości ozdobnych szlakiem, a teraz wszyscy inni kolejno mieli zająć jego miejsce. Klasnął więc w ręce, gdy się zatrzymano, wtedy zwracał się do danserki, tańczącej w drugiej parze i, składając ukłon, prosił o przyjęcie go za towarzysza. Za jego przykładem szły wszystkie następne pary i w ten sposób kawalerowie zmieniali się ciągle u boku dam, a ten, który taniec prowadził, został ostatnim.

Rozpoczynały się zawody: jeden danser pragnął drugiego prześcignąć w umiejętności prowadzenia, tworzyły się dziwaczne esy, floresy, czasem nawet całe wyrazy! Wszystko szło zgodnie, barwna wstęga, wywijając się w różnych kierunkach pozostawała równą, nierozerwalną, żadne zamieszanie linji nie psuło. Pary postępowały krokiem rytmicznym, akcentowanym, postacie harmonijnie się kołysały; bez pośpiechu i szybkich ruchów płynęły jak łabędzie z prądem, poddając giętkie ciała ukrytym nurtom!

Kawaler prowadził damę to za jedną to za drugą rękę, ujmował dłoń całą lub tylko końce paluszków dotykał, przechodził raz na tę raz na tamtą stronę, a każdy ruch jego odrazu naśladowany, przebiegał jak dreszcz połyskujące sploty wężowe. Chwilami ustawała rozmowa, słychać było tylko miarowy stuk obcasów, jedwabie szeleściały, jak dzwoneczki lekko potrącane dźwięczały naszyjniki. I znów rozbrzmiewały wesołe głosy, huczne dźwięki muzyki chłonęły szepty, naramienniki uderzały o pierścienie, wachlarze muskały kwiaty. Danser pozornie swą rolą przejęty, znajdował jednak sposobność, aby podszepnąć danserce miłe słówko, o ile była ładną i młodą, ciekawą nowinę lub poufne zwierzenie, o ile była starszą, poczem prostując się dumnie dzwonił złotemi ostrogami, szablą stalową, podkręcał wąsa, przybierając postać marsową.

Nie była to więc przechadzka banalna i bez znaczenia, a raczej pochód, w którym towarzystwo samo się chciało podziwiać, z rozkoszą przyglądało się własnej dostojnej wspaniałości. W wyborze dansera głos serca musiał milczeć, inne względy główną tu odgrywały rolę. Najpiękniejsze, najświetniejsze, najweselsze kobiety pragnęły łączyć się na tę chwilę z biskupami,*) czcigodnymi prałatami, rycerzami o głowach posrebrzonych, wysokimi dygnitarzami stanu, senatorami, kasztelanami.

Dziś już zapomniany taniec żyje w pamięci tych, co nie porzucili żupana, kontusza i czupryny podgolonej, z ich opowiadań widzimy, że u tego dumnego narodu wrodzoną

*) Prymas, prałaci i biskupi brali również udział w polonezie. Konwenanse nie pozwalały, aby im danserkę odbierano, więc po pierwszem okrążeniu sali odprowadzali ją na miejsce, pozostając już tylko widzami. W późniejszych czasach wraz z zanikiem subtelnego wychowania, pod wpływem zbyt częstej socjalnej łączności z innymi narodami i z powodu zachwiania stanowiska duchowieństwa we wszystkich krajach, osoby duchowne przestały brać udział w tańcu narodowym i nawet nie pojawiały się na balach, które ten taniec rozpoczynał.

była umiejętność reprezentacji, której surowość łagodzili odblaskiem uczuć szlachetnych i delikatnych.

Zwiedzając ojczyznę Chopina, otoczeni mgłą jego wspomnień, spotkaliśmy wiele indywidualności tradycyjnych i historycznych już coraz rzadszych, bo cywilizacja europejska, o ile nie powoduje zupełnej zmiany narodowego charakteru, to w każdym razie zaokrągla jego zewnętrzną formę, wygładza wszelkie nierówności. Okoliczności zbliżyły nas do kilku takich ludzi, posiadających inteligencję żywą i wykształcenie nabyte w życiu czynnem, ale przeważnie zamkniętem w granicach kraju, własnych tradycyj i rodzinnej literatury. W rozmowie z nimi, którą umożliwiał i ułatwiał tłómacz, zauważyliśmy w sposobie wydawania sądu o źródłach i formach nowych obyczajów, przebłyski dawnych, świetnych czasów i tego, co stanowiło ich wielkość, urok i słabość. Ciekawa oryginalność wyłącznego punktu widzenia wpływała wprawdzie na obniżenie wartości zdania pod wieloma względami, ale nadawała duchowi szczególną tężyznę, bystrość przewidywania i energję dążącą niepowstrzymanie do wytkniętego celu. Jak w zwierciedle odbija się obraz przeszłości, w pełnym swym kolorycie i właściwem oświetleniu w rytualnych, dziś już zarzuconych obyczajach tych, co tę oryginalność zachowali.

Chopin urodził się zapóźno a zawcześnie tę ziemię opuścił, aby posiąść ten wyłączny punkt widzenia, lecz mówiły mu o nim liczne przykłady, wspomnienia dzieciństwa, dzieje ojczyste i poezja. One mu podszepnęły tajemnicę uroku lat minionych, tak, że mógł je wydobyć z zapomnienia i obdarzyć wieczną młodością.

O wieleż łatwiej zrozumieć twórcę, idąc w ślad jego wizji i zwiedzając miejsca, w których czerpał natchnienie; dopiero kto oddychał przeczystą atmosferą Partenonu lub mglistą Szkocję może prawdziwie odczuć Pindara lub Osjana. Podobnie i genjusz Chopina objawia się cały w kraju, gdzie wśród coraz głębszych cieni przeszłości błąka się widmo chwały, nawiedzające swą ojcowiznę. Wywoływane dawnemi opowieściami zjawia się niespodzianie, siejąc postrach podobny do tego, jaki się szerzył między wieśniakami na Ukrainie na widok dziewicy bladej, co skinieniem krwawej chusty całe wioski skazywała na zagładę.

Nie bylibyśmy się ośmielili mówić o polonezie, po pięknych wierszach, jakie mu Mickiewicz w prześlicznym opisie w ostatniej części „Pana Tadeusza“ poświęcił, gdyby one nie były epizodem zawartym w dziele dotąd nieprzetłómaczonem, znanem wyłącznie tylko rodakom artysty. Trudno by było znaleźć choćby w innej formie, doskonalszy wyraz

dla przedmiotu tak mistrzowsko opisanego w rodzinnej epopei. Tłem tego epicznego romansu pejzaż jakby wyjęty z obrazu Ruysdael'a, oświetlony promykiem słońca, co, przedzierając się przez chmury pada na brzozę strzaskaną piorunem. Chopin nieraz czerpał natchnienie z „Pana Tadeusza“, tak go przyciągały pokrewne uczucia. Akcja tego poematu rozgrywa się z początkiem naszego wieku, wtedy, kiedy jeszcze istniał typ dawnego Polaka obok postaci nowszego pokroju, ery napoleońskiej, ożywionych zapałem wielkim, lecz chwilowym, poczętym między jedną wyprawą wojenną a drugą, a zapomnianym, sposobem francuskim, w trzeciej. Stopniowo giną teraz w konwencjonalności towarzyskiej ci mężowie dawnej szkoły, poważni i świetni.

W miarę jak brakło tych, co zachowali wybitny charakter narodowy, zaczęło również słabnąć zamiłowanie do opisów starego sposobu mówienia, działania i odczuwania. Nie była to jednak obojętność; podobnie matka zbolała po stracie dziecka nie może znieść widoku ubrania ani cacka, które do niego należało.

Nie znajdą już wzruszonych czytelników i czytelniczek, romanse Czajkowskiego, podolskiego Walter Scott'a, którego znawcy stawiają prawie na równi z płodnym szkockim pisarzem z powodu zachowania narodowych cech w dziełach takich, jak: Owruczanin, Wernyhora, Opowieści kozackie. Nie wzbudzą już zachwytu szlachetne heroiny ani poetyczne pejzaże, pełne świeżości, światła i świergotu ptaszków, mogące śmiało mierzyć się z płótnami sławnych mistrzów od Hobbemy do Dupré'go, od Berghem'a do Morgensterna.

Ale niech tylko wybije godzina trjumfu, zmartwychwstania, a przeszłość cała zajaśnieje znów pełnym blaskiem, wskrzeszona pędzlem i piórem, malarzy, poetów i muzyków.

Pierwotna muzyka polonezów, której ślady nie wychodzą poza ostatnie stulecie, nie przedstawia istotnej artystycznej wartości. Charakter jej poważny i łagodny, autorowie zwykle nieznani, tytuły nadawane ku czci wybitnych osobistości lub historycznych dat. Najbardziej znanym jest polonez Kościuszki, tak ściśle ze swą epoką związany, że wiele osób, słysząc go, nie mogło się wstrzymać od łez. Przedmiot miłości Kościuszki, księżna F. L. pod koniec swego życia na wszystko już była nieczuła, jedynie wzruszały ją te dźwięki, odnajdywane drżącemi palcami na klawiszach, których już dojrzeć nie mogła. Wśród innych, współczesnych, niektóre są tak beznadziejnie smutne, jak akompanjament do żałobnego pochodu.

Wielką popularność zyskały późniejsze polonezy księcia Ogińskiego, ostatniego skarbnika W. Ks. Litewskiego. Posępną nutę łagodziła wdzięczna tkliwość, ciemny koloryt słodko zabarwiała melancholja. Miejsce bujnego rytmu zajęła modulacja; pochód głośny a uroczysty mijał w skupionem milczeniu groby, głuszące wesołość, świadczące o ziemskiej znikomości. Błąkała się tylko uporczywie miłość, powtarzając zwrotkę, którą bard zielonego Erinu podsłuchał w łagodnych powiewach morskich:

„Love born of sorrow, like sorrow is true!"

(Miłość z bólu zrodzona, jak ból jest prawdziwa!)

W znanych motywach Ogińskiego unosi się podobna myśl między dwoma tchnieniami miłości lub kryje się w oczach zaszłych łzami.

Na dalszej drodze niema już grobów, pozostały w tyle, bo życie domaga się swoich praw. Bolesne wrażenia są tylko wspomnieniem, coraz słabszem powracają echem; wyobraźnia przestaje stąpać cichemi krokami, aż w polonezach Lipińskiego serce znów bije żywo i namiętnie... tak jak biło przed klęską! Melodja zarysowuje się coraz wyraźniej, szerząc woń młodości i wiosennego kochania i zwolna przechodzi w śpiew wyrazisty, rozmarzony; poważni dygnitarze, co dawniej w takt jej miarowo kroczyli, teraz są widzami, przemawia poetycznem złudzeniem do serc młodych, do wyobraźni się zwraca romantycznych, żywych, bardziej przejętych chęcią użycia, niż roztaczania blasku.

Postępując dalej tą drogą, niepowstrzymany hamulcem uczuć narodowych, stworzył Mayseder kokieteryjnie błyskotliwe cacka koncertowe, a jego naśladowcy obdarzyli nas mnóstwem kompozycyj, noszących wprawdzie tytuł polonezów, nie mających jednakże nic wspólnego z niemi. Aby odżyły w dawnej sile, potrzeba było genjuszu, a był nim Weber, który zrobił z poloneza dytyramb, odpowiadający dawnej wspaniałości. Nie starał się być archeologiem muzycznym, tylko zebrał wszystkie środki, jakiemi mógł rozporządzić i wypowiedział poprostu dźwiękami całą dawną Polskę. Uwydatnił rytm, poprowadził gładko melodję, dodał takie modulacje, jakich przedmiot koniecznie wymagał. Napełnił polonez tętnem ciepłem, namiętnem, nie porzucając wyniosłej powagi i urzędowej godności.

W akordach słychać było szczęk szabel, wyjmowanych z pochwy, szmer głosów miał w sobie zamiast szeptów miłosnych tony pełne, głębokie, jakby z piersi, których gromkim rozkazom odpowiadało zdala rżenie szlachetnych

rumaków, przystrojonych w długie czapraki, bogato naszyte turkusami lub rubinami.*)

Czy Weber znał Polskę za czasów jej świetności? Czy wywołał tylko obraz już dawniej utrwalony w pamięci?... Pocóż się o to pytać? Wszak genjuszowi wystarcza intuicja, a zmysł poetyczny zawsze właściwą drogę mu wskaże. Z chwilą, gdy żywa wyobraźnia Webera zajęła się jakimś przedmiotem, wysysała z niego, jakby sok całą zawartość poetyczną, absorbowała go tak wyłącznie, że zdawało się niemożliwością, aby jeszcze coś w tym kierunku było do zrobienia. A przecież nie było to ostatnie słowo. Chopin nietylko dosięgnął, ale prześcignął Webera ilością i rozmaitością kompozycyj oraz nowemi pomysłami harmonicznemi i wyższym stopniem uczucia.

Polonezy a-dur i as-dur, nastrojem i formą zewnętrzną zbliżone są do poloneza e-dur Webera. W innych temat traktowany jest odmiennie; czy zawsze szczęśliwie, trudno w tym wypadku orzec. Czyż autor nie ma prawa brać przedmiot z różnych stron, czy nie wolno mu być ponurym i przygnębionym pomimo ogólnej wesołości, śpiewać ból, kiedy już wyśpiewał chwałę, skarżyć się wraz z uciśnionymi, z którymi przedtem dzielił radość? Takie wielostronne ujęcie tematu, uwydatnienie zarówno jasnych stron jak i cieni świadczy wymownie o wielkości Chopina a dopomogły mu do tego niewątpliwie własne duchowe przejścia.

Łatwo iść za śladem tych przemian w szeregu utworów, które wprawiają w podziw werwą niesłabnącą nawet wtedy, kiedy zawodzi natchnienie. Nie zawsze kreślił artysta obrazy, żyjące we wspomnieniu i wyobraźni, czasem wybierał wśród barwnego tłumu, może przyciągnięty siłą spojrzenia, jakąś pojedynczą postać, starał się poznać jej tajemną mowę i już tylko dla niej śpiewał.

Jedną z najsilniejszych jego kompozycyj jest polonez

*) W skarbcu ks. Radziwiłła, w ordynacji nieświeskiej, było za czasów świetności dwanaście siodeł inkrustowanych różnobarwnemi drogiemi kamieniami. Znajdowały się tam też statuy dwunastu apostołów, z lanego srebra, naturalnej wielkości. Zbytek ten łatwo zrozumiały u rodziny pochodzącej od ostatniego wielkiego kapłana Litwy, który otrzymał, nawróciwszy się na katolicyzm, wszystkie lasy i ziemie, poświęcone dotąd bogom pogańskim, mającej jeszcze pod koniec ostatniego wieku 800.000 sług. Niemniej ciekawą pamiątką w tym skarbcu jest obraz św. Jana Chrzciciela z łacińskim napisem: W imię Boga, Janie, zwyciężysz. Odnalazł go Jan Sobieski po zwycięstwie pod Wiedniem, w namiocie Kara Mustafy i zostawił w spuściźnie żonie swej Marji d'Arquien, która go darowała ks. Radziwiłłowi z własnoręcznym opisem na odwrotnej stronie płótna. W r. 1843 obraz ten znajdował się w Werbach, koło Wilna, u ks. Ludwika Wittgenstein, ożenionego z córką ks. Dominika Radziwiłła, jedyną dziedziczką ogromnej fortuny.

f-moll, w którym zupełnie niespodzianie pojawia się mazur. Pomysł taki mógł być zapustnym żartem, lecz odstrasza nutą ponurą na fantastycznem tle. Sen-poemat, przy słabym brzasku zimowego dnia, opowiadanie o przywidzeniach nieprzespanej nocy, plączące się wrażenia i przedmioty, o których mówi Byron:

„...Dream in their development have breath,
And tears, and tortures, and the tonch of you;
They have a weight upou our waking thoughts,
. . . . . .
And look like heralds of Eternity."
(A Dream).*)

Główny motyw złowieszczy, jak chwila, poprzedzająca burzę, ucho zdaje się rozróżniać rozpaczliwe okrzyki, śmiałe wyzwanie żywiołom rzucone. Ciągłe powtarzanie jednego tonu sprawia wrażenie uderzeń armatnich grzmotów w walce toczącej się w oddali. W następstwie jego idą najdziwniejsze akordy; nie znam nic bardziej zaciekawiającego jak ustęp nagle przerwany sceną wieśniaczą, mazurem w stylu idylli, niosącym zapach mięty i macierzanki! Mimo tego uczucie głębokiej niedoli panujące z początku, teraz silniej występuje podkreślone gorzkim kontrastem, tak, że się odczuwa ulgę za powrotem pierwszej fazy, obrazu daremnej walki lecz nie przeciwstawionego naiwnemu szczęściu! Jak we śnie tak i w tym utworze zakończenie stanowi ponury dreszcz pozostawiający duszę zbolałą i smutną.

W Polonezie-fantazji, należącym do ostatniego okresu twórczości Chopina, do dzieł zdradzających gorączkowy niepokój, brak już całkiem obrazów śmiałych i promiennych. Nie słychać tętentu zwycięskiej konnicy, śpiew zduszony przeczuciem nieszczęścia, brak twardych tonów pewności siebie. Panuje elegijny smutek, przerywany chyba tylko nagłym odruchem przestrachu, uśmiechem melancholji, dreszczem, jak u tych, co ze wszech stron osaczeni, nie widzą nawet w słabym promyku nadziei na dalekim horyzoncie. Rozpacz, jak wino cypryjskie ich upaja, ruchy stają się szybsze, wymowa płynniejsza, stan podniecenia bliskim jest obłędu.

*) Za nim powtórzył Mickiewicz:
Dwoiste życie nasze. Sen ma świat udzielny
Wśród otchłani nazwanych bytem i nicestwem.
Nazwanych — lecz nieznanych...
Mary, i życie biorą i postaci noszą,
Rozczulają, i dręczą, i łechcą rozkoszą...
One się do istoty naszej mogą wcielić,
Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić...
Jak posłańce wieczności błysną i przepadną...
(Faleński, Szopen).

Obrazy konania, ostatnich drgnień słabnących muskułów i nerwów co wypowiadając posłuszeństwo rzucają człowieka na pastwę bólu, niezbyt korzystne są dla sztuki! Jakże oględnym musi być artysta, gdy je w swą dziedzinę wprowadza!

III.

Mazury Chopina wyrazem i charakterem wybitnie różnią się od polonezów. Tło zupełnie inne, na miejscu jaskrawego, silnego kolorytu, odcienia delikatne, zmienne; zamiast porywu całego narodu najróżniejsze wrażenia czysto osobiste. Żywioł niewieści i zniewieściałość wysuwają się na pierwszy plan, nabierają takiego znaczenia, że wszystko inne wobec nich ginie, o ile nie zostanie wcielone do ich orszaku.

Minęły już czasy, kiedy o kobietach mówiono, że są „wdzięczne", kiedy określenie uroku pochodziło od wyrazu „wdzięczność". Kobieta — najlepsza cząstka życia dawniej, dziś królowa, panuje niepodzielnie nad mężczyzną, butnym i dumnym, lecz oddanym rozkoszy! Chciałby w niej znaleźć zapomnienie i pociechę w udręce istnienia pozbawionego oparcia niewzruszonej siły i spokoju ojczyzny jęczącej w kajdanach! Ramiona jego, jak zbawcza tratwa chronić mają rodzinę, nieść ją przez morze rozhukane, bronić od fal grożących zagładą. Oto przystań... Czemuż śmiertelnie znużony nie schroni się do niej? Może czując, że go siły opuszczają, zawahał się chwilę, lecz spojrzenie otaczających go kobiet, starców i dzieci, mówiły jasno: lepsza śmierć, niż życie w hańbie, wolimy zginąć wśród nocy ciemnej, w nurtach ponurych, jak fale Erebu, wołając z głębi duszy rozmodlonej w obliczu śmierci: „Jeszcze Polska nie zginęła!"

W czasie mazura rozstrzygały się losy, łączyły serca, zawierały dozgonne przyjaźni. Był nietylko tańcem, ale poezją narodu pokonanego, przeznaczoną do wyrażania gorących uczuć patrjotycznych pod lekką osłoną popularnych melodji. Tak jak w sercu każdego Polaka dominują w nich dwa tony: rozkosz miłości i melancholja niebezpieczeństwa; nazwa zazwyczaj oddaje cześć pamięci bohatera. Wielki rozgłos zyskał mazur Dąbrowskiego, większy jeszcze aniżeli polonez Kościuszki, przez słowa podłożone pod melodję stał się pieśnią narodową; również bardzo popularnym był mazur Chłopickiego zapewne z powodu rytmu i daty r. 1830.

Dopiero nawał trupów, świeżych ofiar, strugi krwi, morze łez, prześladowania jak za czasów Djoklecjana, nowe posielenie na Syberji, zagłuszyły aż do ostatniego, wszelki najsłabszy odgłos tych dźwięków i wspomnień.

Od ostatniej klęski druzgocącej, najcięższej, Polska zamilkła, jakby oniemiała. Niema już polonezów, niema mazurów. Chcąc je odnaleźć, trzeba się cofnąć do epoki, w której poezja i muzyka odzwierciedlały przeciwieństwo pełne heroicznego uroku między rozkoszą miłości a melancholją niebezpieczeństwa, z czego wynikała konieczność trafnie określona wyrażeniem: „cieszyć biedę", zagłuszyć ją, upoić szałem tańca i złudzeniami. Słowa improwizowane, stosownie do okoliczności przyczyniały się do zacieśnienia związku między melodją a wspomnieniem. Nucona w powrocie z pola, przy pracy w domu, w chwilach rozrywki, w brzaskach poranku, wśród ciszy wieczornej, łączyła się w pamięci z niespodzianą radością, miłem spotkaniem lub ładnym obrazem.

Chopin nader szczęśliwie to wszystko uchwycił, pracą i stylem wydobył i oszlifował ukryte brylanty, zużywając ku ozdobie nawet najdrobniejszy pyłek. Czy można było znaleźć umiejętniejszą formę dla tylu domysłów, porywów, cichych modłów i wspomnień osobistych, tworzyć w innych, lepszych ramach poematy, roztaczać malownicze obrazy, opisywać sceny boleści, które wychodząc daleko poza granicę ziemi, skąd wzięły początek, jaśniały niezgasłym blaskiem sztuki?

Kto się chce przekonać jak doskonałą była ta forma dla tęczowych odcieni uczuć wyrażanych przez Chopina, ten musi widzieć mazura tańczonego w Polsce; tylko tam można uchwycić charakter tego tańca dumny, wyzywający, ochoczy a czuły. W galopie i w walcu tańczący przedstawiają dla widzów chaotyczny obraz, w kontredansie odnosi się wrażenie szermierki, prowadzonej z równych z obu stron chłodem, niedbale roztaczane wdzięki z niedbałem spotykają się uznaniem, „polka" łatwo staje się dwuznaczną, menuety, fandanga, tarantele, to małe miłosne dramaty, ciekawe tylko dla tych, co w nich udział biorą. Mazur przeciwnie, u wszystkich wzbudza zainteresowanie i daje równe pole do popisy mężczyźnie i kobiecie.

Pary występują jak na popis, jedna za drugą. Kawaler chełpi się damą, która ze swej strony stara się okazać godną położonego w niej zaufania i uzyskać poklask widzów, poczem zwracając się całą postacią ku swemu towarzyszowi i opierając się na jego ramieniu składa mu niejako w darze otrzymane hołdy. W ruchu tym szerokie pole dla tysięcznych

odcieni zalotności kobiecej, od namiętnego porywu do oddania się z całem przekonaniem.

Przy rozpoczęciu tańca pary ujmują się za ręce i tworząc barwne koło wiją jakby wieniec, w którym kobiety są uroczemi kwiatami, a mężczyźni jak ciemne liście tworzą tło podkreślające ich blask. Rozerwawszy koło puszczają się znów pojedynczo w taneczny pochód pełen ożywionego współzawodnictwa, przesuwając się przed oczyma widzów, jak szyki idące do boju tak chlubnie opiewana przez Homera lub Tassa. Dopiero po godzinie lub dwóch na zakończenie tańca znów wszyscy chwytają się za ręce i wirują jak z początku. Umysły wrażliwe łatwo unieść się dają zabawie, to też nie widać wcale zmęczenia i nawet delikatne członki pozornie wątłych kobiet w mazurze zdają się posiadać wytrzymałość stali.

Po wstępnem wielkiem kole tańczący przystają, a ogólna uwaga zwraca się na jedną, zwykle doskonale dobraną parę, która pędzi w wolną przestrzeń sali. Dama kołysze się przez chwilę, jak ptak zrywający się do lotu, zrazu powoli, potem sunie jak dziecko w podskokach, z czołem podniesionem, piersią wzdętą przecina powietrze, leśnemu bóstwu, podobna, bieży jak łódka puszczona z biegiem fal, igrając z przestrzenią. Zwalniając kroku, tu rzuci spojrzeniem, tam błyśnie uśmiechem lub czułem słówkiem obdarzy, aż widząc dansera spieszącego naprzeciw podaje mu rękę i razem już puszczają się w wir tańca, który ich w mgnieniu oka z jednego końca sali na drugi przenosi. Przesuwa się, biegnie, płynie; policzki zaróżowione, z oczu iskry się sypią, kibić naprzód pochyloną, aż bezsilną, wyczerpaną ujmuje danser silną ręką i nieomal w powietrzu zawrotnym ruchem okręca.

Kawaler wybrany przez damę porywa ją jak zdobycz, zawiść rywali wyzywa, z miną zwycięscy obejmuje w posiadanie, zapłonioną i dumną. Towarzyszy jej przytupując, zbliża się i oddala, jakby chcąc się lepiej przypatrzyć, upojony radością wiruje około samego siebie i w namiętnym pośpiechu powraca!

Najróżnorodniejsze figury urozmaicają ten trjumfalny pochód, w którym często zdarzy się ujrzeć niejedną Atalantę piękniejszą, niżby ją Owid mógł wymarzyć. Czasem wybiegną równocześnie dwie pary, a wtedy kawalerowie zmieniają danserki.

Klaszcząc w ręce znienacka wpada trzeci i oczarowany pięknością i wdziękiem, odbija jedną z nich. Najświetniejsi z grona młodzieży ubiegają się w ten sposób o zaszczyt przetańczenia z królową wieczoru.

W Polsce każda kobieta posiada wrodzoną czarowną umiejętność mazura; nawet najmniej przez naturę wyposażone, umieją mu nadać dziwny powab. Znajdują w nim pole do popisu skromność i nieśmiałość, tak jak i słuszna pewność siebie tych, co urodą budzą ogólną zazdrość, bo taniec ten, choć wybitnie miłosny, jest ze wszystkich najczystszym. Przyczynia się do tego wzajemna sympatja i chluba pełna prostoty i wesołości wytworzona wspólną zabawą i ścisłym związkiem osób biorących w niej udział z widzami.

Zarówno najpiękniejsza jak i najmniej piękna z Polek stać się może przedmiotem uwielbienia, wywołać namiętne uczucia, rozstrzygać o losach jednem tkliwem zmrużeniem oczu, westchnieniem z karminowych usteczek, co nietylko prosić umieją lecz i rozkazywać. W królestwie tych kobiet wieleż to razy dźwięki mazura były świadkami gorących wyznań, rozkosznego szaleństwa, miłych złudzeń lub bolesnej rozpaczy i pozostały głęboko wyryte w pamięci niejednej z nich powracając kiedyś później dalekiem echem zgasłej namiętności, czułego wyznania. Ileż to węzłów utworzyło się nieoczekiwanie w czasie tych długich sam na sam zagłuszonych gwarem tłumu, przy muzyce przywodzącej na myśl jakieś słowa związane z jakąś chwilą, ile się zamieniło obietnic, ile rozdzierających pożegnań między ludźmi skłaniającymi się ku sobie a rozdzielonymi różnicą rasy, obawą, że dzisiejszy kochanek łatwo zamieni się w nieprzyjaciela... może nawet w prześladowcę!

Ile beznadziejnych afektów, żywionych potajemnie dla osób wyżej stojących stanowiskiem i majątkiem, mogło znaleźć wyraz w tej tylko jedynej chwili trjumfu urodu i postawy nad urzędem i bogactwem, unosząc potem na całe długie, szare życie jej świetlane wspomnienie!

Wiele miłości nie mających jutra rozpoczynało się i kończyło tego samego wieczoru, pomiędzy tymi, co pierwszy raz się spotkawszy a nie mający się już nigdy ujrzeć, zapomnieć o sobie nie mogli! Wiele rozmów rozpoczętych od niechcenia, prowadzonych z ironją, przerywanych wzruszeniem i podejmowanych nanowo z iście słowiańską finezją, doprowadziło do głębokiego z obu stron przywiązania! Wiele zwierzeń rozrzuconych w błyskach szczerości, pociągającej nieznajomych ku sobie! A wiele tam słów kłamliwych, wiele życzeń, pragnień, nieokreślonych nadziei i obietnic rzuconych na wiatr, jak chusteczka danserki wypuszczona z ręki na los szczęścia... przez niezręcznych tylko nie podniesiona!

Chopin musiał wydobyć całą poezję, dotąd tylko naszkicowaną w oryginalnych narodowych mazurach. Zacho-

wując właściwy rytm, uszlachetnił melodję, powiększył rozmiary, wprowadził światłocienie harmoniczne, równie nowe jak przedmioty, do których je stosował. W tych „obrazkach“ starał się pomieścić różnorodne wrażenia w czasie samego tańca i w przerwach, kiedy pary na swoją kolej czekały.

Trudno rozróżnić w tym kraju, gdzie tańczą mazura z takiem samem życiem w pałacach jak i w chatach, nieskończoną ilość stopni, po których przebiega wzruszenie, zatrzymując się tu lub tam, gdzie zalety i wady tak dziwnie są zmieszane, że choć u wszystkich mniej więcej podobne, miewają objawy czasem do niepoznania odmienne! Wynika stąd wielka rozmaitość charakterów, która budzi zaciekawienie, dodaje zainteresowania w każdym nowo zawartym stosunku, i nadaje pewnego znaczenia nawet najdrobniejszym wypadkom.

Niema tam nic niegodnego uwagi, powszedniego ani obojętnego, mnóstwo przeciwieństw w tych naturach, tak ruchliwych w swej wrażliwości, umysłach bystrych i przenikliwych, obdarzonych uczuciowością podsyconą cierpieniem i nieszczęściem, rzucającem na serca światła jaskrawe, jak płomień wśród pożaru w noc ciemną. Na tle gwarnego życia staje przed wzrokiem przerażonym, targa drżącem sercem widmo więzień podziemnych, śledztwa prowadzonego podstępnie przez nienawistnych sędziów, ziejących pustką śnieżnych stepów Syberji. Nieprzemożona nieufność starannie bywa ukrywaną; wedle słów jednej z dam słynącej z dowcipu: „odgrywa się często komedję, aby uniknąć tragedji“, słowa służą do pokrycia myśli. Serca wciąż wzajemnie się badają, jedno drugie na próby wystawia i zgłębić pragnie.

Każdy młodzieniec stara się przekonać, czy dama, której choćby tylko na jeden lub dwa wieczory ofiarował swe myśli, podziela jego gorącą miłość dla ojczyzny, namiętną nienawiść dla zwycięzcy. Na odwrót każda z dam chce wiedzieć czy kawaler obdarzony jej względami, umiałby w danym wypadku mężnie znieść ubóstwo, wygnanie przymusowe lub gorsze jeszcze dobrowolne, życie żołdaka na wybrzeżu Kaspijskiem lub w górach Kaukazu!... Jaśnieją postacie takich matron jak ks. Sanguszkowa, co wolała widzieć syna w kopalniach, aniżeli zgiąć kolana przed carem*)

*) Po r. 1830 skazano ks. Romana Sanguszkę na karę dożywotniego wygnania na Syberji. Dekret został przedłożony carowi Makołajowi, który dopisał własnoręcznie: „dokąd zostanie poprowadzonym z łańcuchami u nóg“. Wobec tego, że zdrowie jego było poważnie zagrożone, rodzina czyniła usilnie starania u dworu, aż otrzymała wskazówkę,

a nawet ci z pośród szlachty i magnatów, którzy żyli w Petersburgu w pełnem słońcu łaski monarszej przeważnie nie zatracali poczucia patrjotycznego ale synów tak wychowywali, aby w każdej chwili gotowi byli chwycić za oręż w obronie praw narodu. Kiedy uczucia bohaterskie i szlachetne drzemały w sercu mężczyzny uśpione obcemi wpływami, kobieta budziła je gorącemi słowy, ujmowała w swe ręce, tak jak matka bierze głowę dziecka i obraca ku niebu wołając: oto twój Bóg! W głosie jej ukryty szloch, w oczach łzy, błaga i rozkazuje, a w nagrodę bohaterstwa ofiarowuje uśmiech. Blaskiem oczu rozjaśnia ciemnię rozpaczy, wzgardliwem odwróceniem głowy w otchłań hańby wtrąca!

Istota uczuć patrjotycznych niejedną parę w czasie mazura złączyła, więzy miłości osładzały gorycz więzienia i rozpacz zesłania. Ta krótka chwila tańca była może jedynem spotkaniem w życiu dwojga ludzi a przecież wystarczała, aby jedno zaważyło na szali losów drugiego, rzucając mu hasło: ojczyzna, honor, wolność! Zasadą było nienawidzić despotyzm, nie znieść poniżenia, raczej śmierć ponieść i zachować wolną duszę w wolnem ciele, jak być zależnym od zmiennej łaski carów i carowych, od uśmiechu czy obelgi, czułości hańbiącej lub zabójczego gniewu samowładcy!

Jednakże nie wszystkim było danem umierać, trzeba było żyć w dusznej atmosferze niewoli, odmawiając wszelkiej ugody z uzurpatorem. Taki los gorszym był od śmierci! Byli tacy, co bardziej dla formy, niż z przekonania wchodzili w porozumienie z wrogiem, ale większość trwała niezłomnie na odpornem swem stanowisku! Uchylali się nawet od tego milczącego układu, który ułatwiał wstęp do wszystkich poselstw i dworów w Europie, pod tym jed-

że będzie ułaskawionym, jeżeli matka upadnie do nóg cara. Księżna długo się wahała, aż znaczne pogorszenie w zdrowiu syna zaważyło na szali i przyśpieszyło jej wyjazd. W Petersburgu rozpoczęły się układy co do szczegółów wykonania tego aktu pokory. Propozycje dworu były tak poniżające, że księżna nie mogła ich przyjąć i przygotowywała się do wyjazdu. Nareszcie zostało postanowione, że carowa przyjmie ją na audjencji, a cesarz tam przyjdzie i księżna bez żadnych świadków błagać będzie na kolanach o łaskę dla dziecka swego. Wszystko się odbyło stosownie do umowy, ale gdy cesarz wszedł, księżna się nie ruszyła... Cesarzowa widząc to wstała, księżna poszła za jej przykładem i tak pozostała stojąco, aż cesarz rzuciwszy okiem na nią, przeszedł powoli przez salę i wyszedł, a cesarzowa w uniesieniu zawołała chwytając ją za ręce: „straciła pani jedyną sposobność!“ Księżna opowiadała później, że stała wtedy jak skamieniała i wolała była umrzeć niż zgiąć kolana, tak żywo stanęły jej w pamięci cierpienia tylu tysięcy Polaków.

Książę Sanguszko poszedł na Syberję, lecz imię jego matki jego pozostało na wieki symbolem wzniosłej cnoty i wierności.

nym warunkiem, aby nigdy ani słówkiem nie wspomnieć o tem, że „niedźwiedź co wobec obcych wkłada białe rękawiczki, zrzuca je z chwilą przekroczenia granicy", stając się napowrót dzikiem zwierzęciem, łakomym na miody cywilizacji, która sobie chętnie przywłaszcza, nie bacząc na to, że swem niekształtnem cielskiem przygniata kwiaty, co miód ten wydają a grubemi łapami miażdży zbierające go skrzydlate pracownice.

Bez tego układu Polak, spadkobierca kultury ośmiu wieków, broniący od lat stu wzniosłych uczuć serca, szlachetnej, dumnej niezawisłości, jest w oczach Europy wyrzutkiem, jakobinem, istotą niebezpieczną, od której lepiej zdaleka się trzymać. Jeśli podróżuje boją się go przyjmować, staje się ciężarem dla kościoła, on żarliwy katolik, męczennik swojej wiary, mistrz w rozmowie i obyczajach towarzyskich, zostaje grzecznie usuwanym na bok! Czy nie trudniej znosić taki los, niż stanąć do walki, która trwa chwilę a nie życie całe? Niemniej, wszyscy kawalerowie i damy, tak ochoczo tańczący mazura, potrafią ten kielich goryczy do dna wychylić.

Nie zawsze można być na zabawie „między sobą". Trzeba spełniać obowiązek grzeczności wobec obcych intruzów, tańczyć z nimi, podobać im się, aby uniknąć zupełnego pognębienia, odwiedzać ich żony, zapraszać je do siebie, gościć, narażać się na upokorzenia ze strony pogardzanych. Jakież one były nielitościwe te żony zwycięzców, kiedy raczyły zaszczycić kogoś swą obecnością. Damy dworu, pyszniące się łaską carską, i inne, wyrachowanie zuchwałe lub nieświadomie okrutne, nie czuły nienawiści pokrytej uprzejmością, zdawało im się, że królują i rządzą, podczas gdy były przedmiotem kpin dla tych, co pozornie ujarzmieni, duchem nad niemi górowali. Wdzięcznie i zgrabnie odbijały postacie Polek od ich wymuszonej sztywności, budząc tem większą złość i zawiść.

Żony i córki dorobkiewiczów błyskały klejnotami w oczy obrabowanym z dochodów; złe i głupie nie przypuszczały może wiele łez cięży na ich bogactwie, gotowe przy każdej sposobności do bolesnego ukłucia pokrzywdzonych. Widząc wielkopańskie maniery chciały je naśladować, ale nie bardzo im się to udawało a postacie mongolskie i kałmuckie rysy przywodziły na myśl te czasy, kiedy Rosjanie w ciągłej wojnie z azjatyckiemi hordami nieraz musieli znosić jarzmo, którego niezatarte piętno pozostało na duszy i na mowie. Do dziś dnia skarb państwa nosi nazwę „namiotu książęcego": „Kazionnaja Pałata" zapewne na pamiątkę tego, że

w nim się gromadziły najpiękniejsze łupy zdobyte rabunkiem i grabieżą.

Pomimo że na widok zwycięzców sypały się z oczu kobiet narodu zwyciężonego iskry pogardy, żadna z dam naznaczonych cyframi cara na ramieniu, jak jałówki w pańskiej oborze, nie była w stanie odczuć atmosfery, jaka ją otaczała. Nie widziały ognistych płomyków bohaterstwa, zapowiedzi pożaru, co wznosząc się wysoko ponad ich głowy ciężkie i puste, zawisały tam głuchą groźbą, nie czuły, jak wyrastające kwiaty poezji zaprawione trucizną, czepiały się jak ciernie sukien, i okręcając dokoła staników wbijały w serce, znajdując je na wszelkie groty nieczułe, bo puste!

Należały do tak odrębnej rasy, że Polak nie był dla nich człowiekiem; pokonany znaczył tyle, co niewolnik, pogrążony w niełasce stał poniżej bydlęcia zaszczyconego uwagą władzy. Zupełnie innem okiem, okiem znawców, patrzyli na Polki zwycięzcy! Może niejeden z nich byłby oddał zbawienie duszy za spojrzenie oczu czarnych jak węgiel lub niebieskich jak lazur. Tak, zbawienie duszy... ale nie łaskę cara!... W obliczu majestatu uniżoność Rosjanina i Rosjanki była całkiem równą a niezmierną.

Zdaje się, że jednak jakaś iskierka słowiańskiego pierwiastku tliła w piersiach pokrytych mundurem, ozdobionych krzyżami, medalami, wstęgami. Może ona to sprawiała, że serca nie były całkiem niedostępne dla łez, nieczułe na uśmiech; ale biada temu, co zbytnio zaufał iskierce, bo obok płoną potężnym ogniem pierwiastki mongolskie i kałmuckie, sprawiając, że ciemiężca nie zadowalniał się samemi łzami i uśmiechem, któremu musiały towarzyszyć pieniądze, a znów nie przyjąłby takowych bez akompanjamentu łez i uśmiechów.

Nikt nie byłby w stanie spisać wszystkich dramatów, jakie się w tych warunkach rozegrały, gdzie z jednej strony zarzucano jedwabiste sieci złotem tkane, drżąc przytem ze strachu, aby we własne sidła nie wpaść, a z drugiej upajano się łakomie pięknem spojrzeniem i uroczem słówkiem, tuląc do serca już dobrze wypchany portfel.

Moskal i Polka to jedyny punkt styczności między dwoma narodami tak wrogiemi, jak wrogą jest woda dla ognia, z których jeden nad życie cenił wolność, a drugi gotów był życie oddać za niewolę, w jakiej je spędzał. W podwójnej grze kobieta starała się wszczepić mężczyźnie dobroć, litość i poczucie honoru, a on chciał wykorzenić te cnoty u niej, oraz wynarodowić ją; prowadzono ją z obu stron z równym zapałem a często jedynem polem był mazur. Stawał się miejscem podstępu, ataku, zasadzki i mil-

czącego trjumfu. Wynik zwycięski polegał na zawarciu rozejmu, opartego na wysokim haraczu lub miłej daniny, której wspomnienie migotało jak gwiazdka w sercu mężczyzny, budziło tkliwe uczucie wdzięczności w sercu kobiety.*)

Tło rozmowy między Polką obrywającą od niechcenia kwiatki z bukietu, a Moskalem targającym ruchem nerwowym rękawiczkę, stanowiły dziewięć razy na dziesięć lodowate przestrzenie Syberji. Niejednego czekała tam śmierć, knut albo pozbawienie praw i szlachectwa**) o ile nie miał siostry, narzeczonej, przyjaciółki, kobiety obdarzonej gorącem współczuciem i chytrością, która go mogła ocalić przelotną miłostką, nie trwającą dłużej jak przez dwa mazury. W pierwszym wyzwanie rzucone, walka się rozpoczynała w czasie długich sam na sam wśród tłumu, poruszało się niebo i ziemię, odradzając właściwy cel dopiero w dniu, kiedy drogą utorowaną licznemi banknotami podąży liścik pisany ręką drżącą, wilgotny od łez. Na następnej zabawie, przy ponownem spotkaniu w mazurze, rozstrzygnięcie! Albo kobieta nic nie wskórała albo zdobyła wszystko; rzadko kiedy zdarzało się, aby jej usiłowania żadnego skutku nie osiągnęły.

Na większych zabawach musiano przyjmować osobistości narzucające się same i zapraszać oficerów rosyjskich, kolegujących z młodzieżą polską, przymuszaną niekiedy do służby wojskowej. Brali również udział w mazurze, który jednak tylko wtedy posiada właściwą swą pozycję, o ile go tańczy Polak z Polką. Nikt inny nie potrafi tak odbić danserkę, zanim zdąży pół sali okrążyć i nie oddać jej już aż do końca, on tylko może zrozumieć, co to oznacza, jeżeli dama wybierze miejsce blisko orkiestry, gdzie bardziej się odczuwa, aniżeli słyszy słowa wybiegające z ust gorącem tchnieniem, lub kiedy prosi o ustawienie krzesła

*) Jeden z rosyjskich jenerałów otrzymał rozkaz wykonania pewnych obostrzonych zarządzeń na Podolu, w okolicy klasztoru Dominikanek w Kamieńcu. Po niejakim czasie okoliczności zmusiły przełożoną do widzenia się z nim w celu osiągnięcia pewnych ulg. Pochodziła ona z jednego z najstarszych rodów litewskich, była jeszcze bardzo piękną i roztaczała niezwykły urok. Po długiej rozmowie przez kratę obiecał jenerał uczynić zadość wszystkim jej prośbom (nie wspominając, że nie obowiązuje to wcale jego następcy) a następnego dnia kazał żołnierzom zasadzić topolę przed jej oknem. Nikt nie mógł się domyślić, co miała oznaczać ta fantazja, jedna tylko matka Róża, dla swej słodyczy słusznie tak nazwana, spoglądała jeszcze wiele lat później z upodobaniem na drzewo, dorozumiewając się, że było wyrazem hołdu i zdawało się mówić: To Polka.

**) Książę Trubeckoj, po powrocie z kopalń syberyjskich, gdzie spędził dwadzieścia lat, kazał wydrukować na biletach wizytowych, odrazu skonfiskowanych: „Piotr Trubeckoj, urodzony książę Trubeckoj".

w pobliżu bacznych matron i inne tym podobne odcienie. Mężczyzna w takich chwilach pełen jest obawy, kochając drży, stara się mówić nie odkrywając tajemnic duszy, pytać nie wypytując się, nie okazywać zazdrości, która go wewnętrznie pożera, przemawiać za tem, co fałszywe, aby się dowiedzieć o prawdzie lub naodwrót, nie wychodząc przy tem nigdy poza gładkie, kwieciste granice rozmowy salonowej.

Nieustanne naprężenie uwagi musi nakoniec oddziałać męcząco na usposobienie łatwe i szczere i wytworzyć lekkość zadziwiającą zanim się pozna jej rozpaczliwe pobudki. Najpoetyczniejsze uczucia, najtkliwsze marzenia, najskrytsze bóle zaprawia ironją; jest pozorną, więc wymyka się z pod szybkiego a trafnego sądu, biorąc do pomocy własną djalektykę, podobną do dziwacznej zasłony, poza którą kryje się niejedna zaleta. Tym sposobem spotkać można poważne słowa w błyskotliwej szacie, iskry dowcipu, sypiące się, jak snopy ogni sztucznych, słowa żartobliwe, którym towarzyszy powaga, zewnętrzną wesołość służąca za pokrywkę ambitnym nadziejom i gorzkim zawodom. Po ochoczej zabawie następuje surowe skupienie, lub po jęku rozpaczy stłumiony okrzyk trjumfu; umysły przejęte spiskowaniem, ciągłą obawą zdrady w chwili próby i słabości. Któż mógł lepiej od kobiety zrozumieć mężczyzn, wstrzymywać go na pochyłości spisku, bronić od ponęt zdrady?

W błyszczącej grze słów miesza się złoto z miedzią, rubiny szlachetne jak krople krwi z fałszywemi brylantami, niema tam nic bezwzględnie sztucznego, choć wszystko pokryte powłoką sztuczności, trudno naogół rozpoznać prawdę od fałszu w opisach wesołych lub żałosnych skargach bezpośrednio po sobie następujących. Wśród tych pierzchliwych obyczajów ducha wyobrażenia podobnie jak ławice piaszczyste wciąż się zmieniają, trudno je odnaleźć na miejscu takiemi jak się je pozostawiło i już to samo wystarczyłoby do nadania wyróżniającej cechy najzwyklejszej rozmowie. Polacy dali dowód zdolności w tym kierunku, prowadząc w towarzystwach paryskich szermierki na paradoksy, niezrównana werwa pociągała za sobą łączenie prawdy z fikcją, zamienianie ich jak probierze tem pewniejsze, im lepiej ukryte. Jak Gil Blas, który dłużej przemyśliwał nad sposobami utrzymania się przez jeden dzień, aniżeli król hiszpański nad zarządem swego rozległego państwa, podobnie i żywość ta przy każdej sposobności rozrzucała skarby umysłu, sprawiając przytem wrażenie tak przykre, jak niesłychana zręczność kuglarzy, rzucających i chwytających w powietrzu kilka noży, narażając się przy

najmniejszej nieuwadze na niechybną śmierć. Tyle w niej niepokoju, udręki, obawy przed niebezpieczeństwem donosu, prześladowania grożącego za każdą nieostrożnością lub niekonsekwencją, bo z obojętnej rozmowy mógł się wywiązać dramat, stosunek przyjazny zamienić się na wrogi, z czego powstawała pewna mglistość nie pozwalająca dojrzeć wyraźnie zarysów jednego jak i drugiego, ani obliczyć ich następstwa, czyniąca je nieokreślonemi i nieujętemi, przepojonemi niejasną trwogą, pomysłowem pochlebstwem, lękliwą sympatją. Te trzy pierwiastki łączyły się w sercu w zawiłe sploty z patrjotycznemi uczuciami miłości i dumy.

Cóż więc dziwnego, że nawet krótkotrwałe spotkanie w mazurze, na tle pięknych strojów, rzęsistego oświetlenia, w podniecającej atmosferze balowej, tak obfite były w różnego rodzaju wzruszenia?

Czy mogłoby być inaczej tam, gdzie nieporównane kobiety nadawały chwilom spędzonym w tańcu głębokie znaczenie, dla obcego nieodgadnięte i niezrozumiałe. Bywały między niemi i takie, których niezwykłe przymioty i cnoty czyniły je pokrewnemi wszystkim krajom i wszystkim wiekom, i to zjawisko zarówno wszędzie jak zawsze, rzadkie; głównie odznaczały się nader urozmaiconą oryginalnością.

Napół Almee, napół Paryżanki, mające może we krwi tajemnicy uroków haremu, wabią azjatyckiem rozpieszczeniem, płomienistemi spojrzeniami hurysek, upajają powłóczystością ruchów, obiecują niewysłowione rozkosze miękkiem obejściem, co głaszcze a nie ośmiela, układem ciała, z którego zdają się promieniować magnetyczne prądy. Czarują giętką kibicią, nie znającą przymusu ani sztywności etykiety, cieniowaniem głosu, niespodziewanemi zwrotami przypominającymi lekkość gazeli. Podobnie jak wyznawczynie arabskiego proroka, przesądne, łakome, dziecinne, łatwe do zainteresowania i zabawienia; inteligentne, wykształcone, obdarzone niezwykłą przenikliwością, umieją zgrabnie pochwalić się swemi wiadomościami, a w razie potrzeby potrafią też milczeć długo, — choćby przez całe życie!

Wspaniałomyślne, nieustraszone, skłonne do uniesień, głęboko pobożne, cenią niebezpieczeństwo zarówno jak miłość, od której mało dając, dużo wymagają, nadewszystko zaś uwielbiają chwałę. Bohaterstwo ma tak wielki urok w ich oczach, że spełnienie świetnego czynu zdaje się być godnem największej ofiary. Spędzając życie w zaciszu domowem, zajęte troskami codziennemi, znoszą mężnie cierpienia szarpiące wrażliwe dusze, nie tracąc gorącej a niezłomnej wiary w lepszą przyszłość, zachowują młodzieńcze

złudzenia i żywość wrażeń, która jak iskra elektryczna drugim się udziela.

Z natury dyskretne niezwykle umiejętnie używają ważnej broni, udawania, zgłębiając ciekawie duszę przeciwnika a same tak się maskują, że niktby się nie domyślił istnienia tajemnicy.*) W ten sposób też ukrywają z dumną pogardą wspaniałe klejnoty duszy a wyniosłość względem tych, co ich nie mogą zrozumieć, daje im wyższość i możność panowania nad sercami, które osnuwają swym czarem, przyswajają, przywiązują do siebie. Kiedy wreszcie skupią całą swą moc kochania w jednym, jedynym, chętnie z nim idą na śmierć, na wygnanie lub do więzienia, zawsze wierne, równie czułe, z niezmienną pogodą niosące ofiarę z samej siebie.

Hołdy składane Polkom, muszą być żarliwe, bo nie troszcząc się o wywarcie chwilowego wrażenia, szukają przywiązania, oczekują poświęceń, żądają wysokiego poczu-

*) Pomimo ciągłego przymusu udawania w kraju, gdzie najmniejsza niedyskrecja może się stać powodem zesłania na Sybir, nie spotyka się u Polek kłamliwości, właściwej innym kobietom słowiańskim. Te ostatnie posiadają jakby drugą naturę, opartą na kłamstwie narzuconem przez despotyzm nieubłagany, choć pokryty pozorami słodyczy. Konieczność utrzymania się w łasce nakazuje im podwójną grę, jako pierwszy warunek dobrobytu i życia, o tyle daleką od sztuki jak chytrość prostego człowieka, który przedewszystkiem chciałby swego pana wykorzystać, od przebiegłości dyplomaty wobec pokonanego. Bez względu na to czy są damami dworu czy należą do czternastego „czynu", kobiety te z zasady nie mówią prawdy! Gdyby się której spytać o północy czy jest jasno, bez wahania odpowiedziałaby: tak, — poto tylko, aby się przekonać, czyby jej uwierzono. Kłamstwo, zazwyczaj odrażające, staje się pierwiastkiem niezbędnym w stosunkach towarzyskich, wywierając nawet niezdrowy jakiś urok, jak „assa fretida" w zeszłym wieku ogólnie noszona w bonbonierce. Słówko, którem się komuś dowiodło coś wręcz przeciwnego od prawdy pozostawia również miły smaczek na języku. Między Polkami nie znajdzie ani jednej kłamczyni. U nich udawanie to sztuka nawet piękna, a chociaż nie zgodzą się z tem, co wiedzą, udają, że nie widzą tego co spostrzegły, nie można im nigdy zarzucić braku szczerości, ani działania na cudzą szkodę. Mówią zawsze prawdę, cała szkoda po stronie tych, co nie rozumieją. Uchylając się zgrabnie od badania, nie uciekają się przytem do środków niezgodnych z honorem, chętnie z wdziękiem powiedzą każdemu to o czem pragnie się dowiedzieć — o ile to nikomu nie może zaszkodzić... Ciągłe niebezpieczeństwo budzi w nich instynkt, broniący od nierozważnego słowa, choćby w uniesieniu lub gniewie, tak dalece myśl jest przejęta obowiązkiem ochraniania drugich. Pozatem kultura, pobożność, wrodzone poczucie taktu nie pozwalają na pominięcie udawania poza granice konieczności. Między Polką a innemi słowiańskiemi kobietami istnieje taka różnica, jak między branką a niewolnicą. Branka mimo wszystko zachowuje niezależną duszę a niewolnica nie potrafi już pogardzać tym, co ją do kłamstwa zmusza, głównem jej uczuciem strach! A strach przed panem, to pierwszy krok do podłości.

cia honoru i gorącego umiłowania ojczyzny. Wzniosły swój ideał ukazują w rozmowie, jak w zwierciedle, zachęcając niejako do uchwycenia go. Gardząc powodzeniem łatwem do zdobycia, chcą podziwiać tych, co serca im oddają, szukają wcielenia snów o męstwie i wielkości ducha. Podobnie romantycznych pragnień, odgrywających tak wybitną rolę, nie żywią żadne inne kobiety Wschodu ani Zachodu.

W atmosferze ostateczności, w której serca równie gorąco kochają jak nienawidzą, gardząc odwetem, wspaniałomyślnie przebaczają, gdzie miłość jest poezją zanim się w kult zamieni, kobieta stara się przedewszystkiem uczynić przedmiotem miłości to, co sama najbardziej ukochała: Boga i ojczyznę, wolność i chwałę. Mężczyzna pragnie tego, chce, aby go pobudzano do wzniosłego czynu gorącem słowem, błyszczącem spojrzeniem, uśmiechem obiecującym pamięć dozgonną! Osądził to trafnie car Mikołaj: „Załatwiłbym się prędko z Polakami, gdybym mógł sobie dać radę z Polkami!“

Zdarzało się, że mężczyzna demoralizowany powoli ale systematycznie przez ucisk władzy, nie stawał na wysokości ideału, narażając serce kobiety na gorzki zawód. Wtedy zbolała szukała schronienia w murach klasztornych, składając w ofierze za szczęście ojczyzny wdzięk i urodę, niosąc przed ołtarze kadzidło gorących modłów! Istoty stworzone dla świata tak samo jaśniały blaskiem cnót w ciszy zakonnej.

Znane powiedzenie: do tańca i do różańca, najlepiej określa to dziwne połączenie bogatego wewnętrznego życia ze światowością a jestto zarazem największa pochwała, bo Polak, urodzony, wychowany wśród kobiet tyleż uroczych co cnotliwych, wymagał od osoby ukochanej wzniosłych zalet duszy i głębokiej pobożności obok urody i wdzięku. Kobieta-syrena, bez wiary, wyrachowana i nieuczciwa, to potwór w jego oczach, w którego pazury jednak tem łatwiej wpada, że nie może pojąć bezmiaru przewrotności, żyjąc w otoczeniu kobiet, które uświęcają i podnoszą, zachęcają do najwyższych poświęceń. Polka tylko wtedy kochać może, kiedy współczuje, kiedy widzi, że miłość jej koi i leczy, stąd też uczucia zawierające u innych pierwiastki próżności lub zmysłowości nabierają u niej charakteru cnoty tak pewnej siebie, że nie potrzebuje znikomej zasłony pruderji, pogardza sztywną surowością i czuła na zapał, który wzbudza, podziela go śmiało, nie kryjąc się przed Bogiem i przed ludźmi! Wszystkie te przymioty razem wzięte łączą się w całość porywającą, budzącą szacunek i zachwyt! Usiłował ją naszkicować Balzac w słowach,

jakie umieścił na wstępie do swojej „Modeste Mignon“: „Córa ziemi obcej, anioł miłością, szatan zmiennością, wiarą dziecko, doświadczeniem starzec, głową wąż, sercem kobieta, nadzieją olbrzym, boleściami matka, marzeniami wieszcz“.

Genjusz szekspirowski Berlioz znający dobrze mowę ostateczności wyczuł w utworach Chopina czar nieopisany, który nazwał — boskiem przemilaniem — tych kobiet napół wschodnich, co zarazem hojne i skąpe, kołysały serce rozkochane, jak fale kołyszą łódkę pozbawioną wioseł i steru. Tak matki tuliły synów, siostry pieściły braci, czarowały narzeczone, kochanki; — boskiem przymilaniem — również zyskiwały święte nowych męczenników sprawie narodowej. Wszelka zalotność innych kobiet musiała się potem wydawać mdłą i pospolitą, Polacy mieli prawo mówić z dumą: Niema jak Polki!*)

Wyłączna umiejętność tych uroków sprawiła, że tylko te cudne stworzenia mogły spełniać namiętne sny poetów takich jak Chateaubriand, który marząc o „Ewie niewinnej choć upadłej, nieświadomej a wiedzącej wszystko, dziewicy i kochanki zarazem“**) znajduje w osobie szesnastoletniej Polki. Pół odaliski, pół walkirji, urzeczywistnioną sylfidę, nowoczesną Florę!***) Poeta wyznaje, że upojony tem zjawiskiem, nie miał jednak odwagi szukać powtórnego spotkania, bo czuł, że niewątpliwie stałby się bezwolnem narzędziem słabych rączek.

Polaka „Flora nowoczesna“ nie przejmowała obawą, przejęty miłością i szacunkiem, gotów był życie za nią oddać... i ta miłość przedziwna, jak aromat niebiański, nie dozwalała, by sen narodu był snem wiecznym! Obrażała jego istnienie, przynosiła ulgę w ucisku, przygotowując chwalebne zmartwychstanie ojczyzny.

Trzeba przyznać, że jeden tylko naród francuski przeczuł w pięknych, niepocieszonych wygnankach ideał kobiety, jedyny w swoim rodzaju. U innych narodów nawet nie przypuszczano, że dusze tych czarodziejek jednego dnia uśmiechniętych i rozbawionych, a nazajutrz w kościele krzyżem leżących, mogą zawierać skarby wzniosłych cnót, zasługujących na najwyższy podziw!

W Niemczech zarzucano im brak zalet domowych, zbyt mało jasnego poczucia wszechwładnego „Soll und Haben“... zapewnie, nie troszczyły się o mienie, gdzie chodziło o du-

*) Picie zdrowia damy z własnego jej pantofelka jest jedną z najoryginalniejszych polskich tradycyj składania entuzjastycznego hołdu.

**) Pamiętniki pozagrobowe. Tom I. Zaklęcie.

***) Pamiętniki pozagrobowe. Tom III. Atala.

cha, dla idei narażały na konfiskatę miljonowe nieraz fortuny! We Włoszech nie rozumiano możliwości połączenia kultury umysłowej i pragnienia wiedzy z żywością często gorączkową, jak czujność lwicy, co w najmniejszym szeleście przeczuwa niebezpieczeństwo dla swoich młodych. Złudnemi obietnicami przyciągane dążyły Polki do Paryża, do Rzymu, ale nigdzie nie znajdowały pomocy; u potomków Cyda i nad Tamizą nie szukały przyjaźni, Hiszpanja była za daleko, Anglicy zbyt oziębli.

Tylko francuscy poeci i pisarze poznali się na wysokiej wartości Polek, choć nie umieli odczuć w całej pełni prostoty tego ideału, nie mogąc zrozumieć, iż tajemniczy urok odaliski był zewnętrzną ozdobą, że walkirja wyłoniła się z krwawych mgieł unoszących się od lat stu nad jej ojczystą ziemią. Typ polskiej kobiety w niczem nie podobny do konwencjonalności świata paryskiego, tak silnie do nich przemówił, że przypisali mu omal nadprzyrodzoną moc. Wyobraźnia pod wpływem szczegółów przejaskrawiała kontrasty, czyniła z tych czarnobrewych zawiłą zagadkę, gubiąc się w drobnych wynikach analizy, nie mogła dojść do syntezy.

Poezja francuska obrzuciła Polkę mnóstwem najpochlebniejszych określeń, jak garścią różnokolorowych drogich kamieni, o tyle wartościowych, że świadczą wymownie o wielkiem wrażeniu, wywołanem na poetach zaletami pokrewnemi ich narodowi.

Białogłowy, zwane tak z powodu koronkowego nakrycia głowy u mężatek, cywilizowanego wyrazu skromności na wzór barbarzyńskiej zasłony mieszkanek haremu, były bardzo skrępowane wobec prawa, co ich jednak nie obniżało, przeciwnie dawało możność utrzymania się zdala od walki życiowej na wzniosłych wyżynach ducha. Nie mogły rozporządzać własnym majątkiem, ani nawet własną osobą, cała ich władza skupiała się w domu, ale za to tam była nieograniczona. Stały u straży domowego ogniska, w ich rękach spoczywała słodycz i powaga życia codziennego, rządziły niepodzielnie tem swojem królestwem, wywierając pośrednio wpływ szlachetny i łagodzący na sprawy publiczne, jako wierne doradczynie i przyjaciółki ojców, mężów i braci. Dawniej były godnemi towarzyszkami zwycięzkich bohaterów, dziś są aniołami, pocieszycielami zwyciężonych, równie odmienne od tamtych jak odmiennym jest Polak w czasach dzisiejszych od typu dawnego.

Nowoczesna Polka to ten sam ideał pobożności, słodyczy i powagi, bez cienia bigoterji lub sztywności, z dodatkiem wdzięku i żywości, które wniosły do krajów nadwiślańskich obyczaje wersalskie. Zgubnym wpływom XVIII.

wieku oparła się zwycięsko, obroniło ją od złych obyczajów wrodzony wstręt do nieskromności, a w wierze pełnej zapału i nadziei jaśnieje zapowiedź odrodzenia! Śmiało można twierdzić, że Walter i Regencja podkopali byt Polski i przyczynili się do jej upadku. Tracąc swą mężną siłę, o której Montesquieu mówi, że jest główną podstawą państwa, stracili Polacy po ośmiu wiekach potęgi ojczyznę.

Cnoty Polek opiewali wszyscy poeci. W dziejach i literaturze czasów Zygmuntowskich spotyka się często postać matrony, jak piętno kamei na złotym piasku nurtów czasu; poezja nowsza kreśli obrazy niemniej idealne i wzruszające. Na pierwszy plan wysuwają: epiczna i królewska Grażyna, wzniosła samotnica z Wallenroda, Zosia z Pana Tadeusza. Wieleż to uroczych główek gromadzi się dookoła nich, na różanych ścieżkach poezji, w kwitnących sadach, w cudownych ogrodach, wśród szumu dębów tak pięknie w powieściach opisanych! We wspaniałych komnatach, gdzie obok drzewa granatu kwitnie kaktus, wiją się brazylijskie pnacze, widuje się główki podobne do obrazów Palmy Vecchio, o rysach rozjaśnionych uśmiechem, w którym się czai przeczucie przyszłych smutków!*)

*) Nie możemy przytaczać zbyt długich poematów lub za krótkich fragmentów, dodajemy więc tylko dla pięknych rodaczek Chopina kilka strof, które mają być nie do przetłómaczenia, a są wiernym ich obrazem:

Bo i cóż tam za żywość,
Młodych Polek i uroda!
Tam wstyd szczery, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda!
— — — — —
Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia, jak nadzieje,
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje...
Gdy wesołe istne trzpiotki
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna,
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć człek duszy jej nie zbadał,
W koło serca tam tak prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wyspowiadał.
A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije:
Tak cię dojmie tak do żywa,
Iż to cudna, cudna dziwa,
Że się serce nie rozpłynie,
Że od szczęścia człek nie zginie!
Zda się, że to żyjesz społem

Jak już wyżej było powiedziane, trzeba znać kraj ojczysty Chopina, aby móc zrozumieć uczucia, jakiemi nietylko mazury, ale inne jego kompozycje są przepojone. Wszystkie są pełne mglistości, przelatującej jak tkliwy powiew przez Preludja, jak i przez Nokturna i Impromptus; są w nich kapryśne fantazje, jest czarujący powab bezwiednej zalotności i radości krótkotrwałe, co rodzą się z zarodkiem śmierci, podobne do czarnych róż, symbolu żałoby, lub do tych, co białe, jak otaczający je śnieg, słabemi listkami, które lada powiew zdmuchnąć może, smutną roztaczają woń. Igrają płonne światełka ziemskich próżnostek świecące w ciemności jak próchno, uciechy bez wczoraj i bez jutra, niewytłómaczony pociąg kończący jak owoc na pół dojrzały, smaczny wprawdzie lecz cierpki, nieskończona skala niewyraźnych uczuć, które szlachetność wrodzona, piękność i wytworność obyczaji prawdziwą poezją powleka.

W licznych mazurach Chopina panuje niezwykła rozmaitość przedmiotów i wrażeń. W niektórych słychać brzęk ostróg, w innych znów szmer powiewnych szat i dzwonienie złota. Jedne malują uciechę nie pozbawioną niepokoju, jakby złowrogiem przeczuciem zamgloną, w drugich rytm tańca pokrywa ból i łzy rozstania. Inne jeszcze zdają się wypowiadać śmiertelną trwogę i ukryte cierpienia, których huczna muzyka nie jest w stanie stłumić. W niektórych tajemna groza, nieokreślone obawy serca, które walczy i nie ginie, trawione zazdrością, zwyciężonem się czuje, lecz nie przeklina, tylko litością płaci; w tych szaleństwo, wśród którego przelatuje i wraca melodja urywana jak bicie serca, co pęka z bólu, lub też odległe dźwięki trąb, dalekie wspomnienie dawnej chwały, w tamtych rytm niejasny i chwiejny jak uczucia z jakiemi dwoje kochanków wpatruje się w gwiazdę wschodzącą na bezmiernym stropie niebios.

Z rajskiem dzieckiem, czy z aniołem,
Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda;
Jednak lat i łez nie szkoda,
Boć raz w życiu to kochanie!
A jak się która poda
Z całej duszy i statecznie,
To już twoją będzie wiecznie,
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twej duszy nie wyziębi,
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga w głębi;
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jej twarzy,
Jak w zwierciedle się odbije,
Bo w tem łonie przyszłość żyje!
(Wiersze te w oryginale podane są w języku polskim).

IV.

Mówiliśmy dotąd o artyście i o dziełach drgających nieśmiertelnem uczuciem; o tych gdzie genjusz zmagał się naprzemian zwycięski i zwyciężony z bólem, tym strasznym żywiołem rzeczywistości, który sztuka ma za zadanie pogodzić z niebem, o tych co jak łzawnice jednoczą w sobie wspomnienie młodości, oczarowania serca, zachwyty dążeń i niewypowiedzianych uniesień, o tych, w których artysta przegraczając granicę naszej zbyt tępej wrażliwości i szarych pojęc życia codziennego, czerpał natchnienie w świecie leśnych bogiń, nimf i dziwożon. Teraz należałoby wypowiedzieć sąd o talencie wykonawczym Chopina, gdybyśmy mieli smutną odwagę wskrzesić wzruszenia ściśle związane z osobistem wspomnieniem i przystroić ich całun odpowiedniemi barwami. Jakiś mógłby być wynik tego wysiłku? Czy jest możliwem, aby ci co mistrza nie słyszeli, potrafili odczuć w całej pełni czar poetyczny, niewymowny a subtelny jak zapach werbeny, który rozchodzi się tylko w komnatach mało uczęszczanych, a znika jakby w przestrachu przed tłumnem ubraniem, robiąc miejsce dusznej woni rozkwitniętych tuberoz?

Było coś w talencie i pomysłach Chopina, co przypominało styl Karola Nodier, ulubionego przez artystę, skargi chochlików, wróżek i rusałek podsłuchane w podmuchach wiatru i szemraniu strumyków. Niektóre walce, ballady i scherza zawierają te mgliste sny o nieziemskich postaciach podlegających, tak twierdzi baśń, podobnie jak ludzie, zgryzotom i zawodom. Wszystko cokolwiek wykonywał w chwilach podobnego nastroju, nabierało osobliwszego charakteru, bez względu na to, czy to były mazurki lub nokturny, preludje lub scherza, walce lub tarantele, etjudy lub ballady. Rozchodziły się z pod mistrzowskich palców jęki rozpaczy tak nieutulonej, jak ta, która szarpała duszą Jakóba Foscari, kiedy mając do wyboru wygnanie lub śmierć wolał tę ostatnią, niż życie zdala od pięknej Wenecji,*) lub

*) Obrazem wrażeń wyszukanych i subtelnych, odtwarzanych ze szczególnem zamiłowaniem przez Chopina jest Nokturn e-moll, op. 72,

też brzmiały modulacje aksamitnie miękkie a mieniące jak ciało salamandry i westchnienia żałosne jakby dusz w czyścu cierpiących, pozbawionych zbawczej modlitwy.

Umysł Chopina, niezdolnego do pospolitej wesołości, do rubasznego śmiechu, dążył nawet w chwilach humoru do sfer wyższych. Lubiał wtedy sceny w rodzaju Callot'a, malownicze i fantastyczne, pełne drwiącego dowcipu a jedną z takich jest Etuda V., w której wyłącznie posługiwał się czarnemi klawiszami.

Falowaniem melodji, przesuwającej się jak czółenko nad burzliwą tonią, działającej w sposób niematerjalny na zmysły, oddawał artysta przedziwnie drgania serca przejętego obawą na widok czegoś przerażającego swą tajemniczością. W utworach swych oznaczył ten sposób grania właściwy jemu tylko jako „tempo rubato", miara odrywana, giętka, zarazem szorstka i omdlewająca, chwiejna jak płomień poddający się podmuchom, jak wierzchołki drzew skłaniające się raz w tę raz w tamtą stronę, jak kłosy na polu poruszane gorącem tchnieniem powietrza rozgrzanego promieniami słońca.

W późniejszych czasach Chopin zaprzestał zaznaczania tych ustępów, w tem przekonaniu, że słowo nie nauczy odczuwać, a kto je rozumie, ten sam jest w stanie odgadnąć ustanowioną w nich nieregularną regułę. Tajemnica efektów dźwiękowych o mglistej płynności prawie niemożliwą jest do uchwycenia dla tych, co nie słyszeli często grającego samego mistrza. Udzielał jej chętnie licznym swym uczniom a jeszcze chętniej rodakom i rodaczkom, którzy

---

o którym piękna z Buińskich hr. Cielecka napisała następujące wiersze:

Kołysze, zwolna jakby falą morza,
Nuty dźwięcznemi, pełnemi uroku.
Rozjaśnia blaskiem jakby życia zorza,
Którą witamy czasem ze łzą w oku.
Dalej uderza na nas walki przeczucie;
Ton coraz głośniej rozlega się w górę.
Pełen, ponury objawia w swej nucie
Światłość ukrytą za posępną chmurą.
Struny tak silne jakby kute w stali,
Żałosnym jękiem w duszy naszej dzwonią;
Mówią o bolu, co nam serce pali,
Lecz co zostawia duszę nieskażoną!...
Później, podobny do woni wspomnienia
Znów zakołysać czasem nas powraca.
Z urokiem igra; kołysząc cierpienia,
Swoim promykiem jeszcze nas ozłaca.
Nareszcie, jako cicho na dnie woda,
Spokój głęboki z nurt toni się wznosi,
Jak serce, które o nic już nie prosi,
Lecz kwiatów życia, szkoda... mówi... szkoda!

dzięki wrodzonej przenikliwości w sprawach mających związek z uczuciem mogli ją posiąść z łatwością.

Chopin wiedział aż nadto dobrze, że nie jest mu danem oddziaływać na tłumy, że nie zdołałby poruszyć mas ociężałych jak fale ołowianej toni, które chyba potężne ramiona atlety mogłyby wtłoczyć w formę w celu nadania kształtu odpowiedniego zamiarom mistrza. Zdawał sobie dokładnie sprawę, że prawdziwie ocenić mogli go tylko uczestnicy zebrań na nieszczęście zbyt szczupłych, zdolni do przeniesienia się w ślad za jego myślą, na skrzydłach tęczowych snów, do świątyni zdobnej w drzwi z kości słoniowej, wspartej na słupach z djamentu, nad którą fantazja mistrza umieściła kopułę z kryształu igrającego różnobarwnym ogniem na tle mgły oliwkowej, jak opale meksykańskie, co raz gasną a raz płoną... Wszystko tam było szaloną niespodzianką, cudem i spełnieniem snów, lecz tylko wybranym wolno było towarzyszyć mistrzowi do tej krainy wyobraźni, w której chętnie przebywał. Chronił się tam przed walką toczącą się na jałowem polu sztuki muzycznej, gdzie władza trwająca jeden dzień wystarczała zwycięzcy głupiemu a zarozumiałemu na zatamowanie wejścia do świętego gaju Apollina snopami świętych lilji i złotogłowiu. Łaska lub niełaska potężnej władczyni, mody, jest tam rozstrzygającą; jej wasale, przebrani za książąt a w rzeczywistości jarmarczni krzykacze, czyhają na artystę, jak zbóje, gotowi w każdej chwili do podstępnej napaści. Delikatna natura wybrańca wzdraga się na samą myśl o utarczce, choć większe jeszcze cierpienia czekają go od drobnych ukłuć samej mody, sprzedajnej, bezczelnej kurtyzany, co chciałaby nadawać ton w Olimpie wykwintnych salonów, co łakomie zbliża usta do puharu Heby wzywającej z przerażeniem na pomoc Wenus i Minerwę! Niestety, ani piękność ani mądrość nie zdołają wydrzeć natrętnej błazeńskiego berła! Nieśmiertelnym boginiom nie pozostaje nic innego, jak odwrócić się do niej z burzeniem plecami.

Chopin często bywał świadkiem widowiska niezbyt tragicznego a czasem wielce zabawnego, zmiennych kolei losu któregoś z ulubieńców tej siostrzenicy, chociaż za jego czasów śmiałość „przedsiębiorców artystycznego rozgłosu" nie była jeszcze tak wielką jak dzisiaj, a spekulacja dopiero zaczynała grasować w dziedzinie dotąd wyłącznie poświęconej muzom. To co było, wystarczało jednak, aby napełnić obrzydzeniem artystę przejętego czcią dla czystej sztuki. Razu pewnego wyraził się do jednego z przyjaciół występującego często publicznie: „Nie jestem zdolny do dawania koncertów: tłum mnie onieśmiela, odurzają mnie przy-

śpieszone oddechy, ubezwładniają ciekawe spojrzenia, oniemiają obce twarze. Ty, tyś do tego stworzony, bo choćbyś publiczności nie porwał, to masz ją czem ogłuszyć".

Bez wątpienia Chopin czuł się nieswojo wobec licznego zebrania, złożonego z osób, o których się nie wiedziało, czy trzeba je porwać, czy ogłuszyć, poprowadzić tam, gdzie przeczysty powiew sztuki piersi rozszerza lub olśnić potężnem objawieniem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa publiczne występy nietyle fizycznie go osłabiały, co dotkliwie raniły wrażliwość artysty, wolał więc dobrowolnie zrzec się hucznych oklasków ogółu, które odpychały go swą pierwotnością, czasem intuicyjną i namiętną, częściej zaś fantastyczną i kapryśną, a przyciągały dziecinnym zachwytem, zapałem gorącym choć chwilowym.

Ten umysłowy epikurejczyk pragnął zawsze przedstawić się „publiczności" w jak najlepszem świetle i choć ufał, że grono wybranych nie mogłoby go bardziej cenić jako zwycięzcy, słusznie zastanowił się nad tem, czy doznawszy niepowodzenia na rozległem polu, nie straciłby aż nazbyt prędko, najgorętszych wielbicieli? To co mu z zewnątrz ofiarowywano, nie dawało pewności zrozumienia i należytej oceny, więc wstrzymywany wygórowanem poczuciem wrodzonej wyższości i zdając sobie sprawę z rodzaju i wymagań swego talentu, rzadko grywał publicznie. Oprócz kilku koncertów danych w roku 1831. we Wiedniu i w Monachjum, wystąpił w Paryżu oraz w Londynie. Słabe zdrowie nie pozwalało na podróże, wymagając nieustannej ostrożności; przychodziły długie okresy znacznego pogorszenia, poczem następowała ulga a nawet pozorny powrót do sił, wątły ustrój częściej jednak służył za wymówkę, aniżeli był prawdziwą przeszkodą. Chopin bał się szerszej areny a cierpiał nad oddaleniem od niej, tłum napełniał go przerażeniem, a przecież sąd jego wydawał mu się wszechpotężnym. Opinją małego światku salonów, nieco umiejącego patrzyć własnemi oczami, kierował wyłącznie krytyk, niespodziane porywy genjuszu, śmiałość talentu, wybitna indywidualność przyprawiały o zawrót głowy wyperfumowanych panów i panie, nie rozróżniłby potężnych odruchów, namiętnego dążenia do gwiazd od emfatycznych podrygów pospolitej próżności, zarozumiałego samolubstwa, hołdujących chwilowym prądom i demoralizacji, nie przemawiała do nich prostota wielkich myśli, pozbawiona tanich efektów. Zbyt leniwi do zastanawiania się nad czystością uczuć poety, którego sława zdawała się wschodzić jak gwiazda na horyzoncie sztuki, nad tem, co obiecywał i co mógł dotrzymać, świat salonów uparcie popierał schlebiające mu mier-

noty, nie potrzebując się obawiać z ich strony kłopotliwych niespodzianek, niewygodnych błędów ani zbyt jaskrawego blasku!

Czasem mógł przypadkiem odkryć „sławę" ale był to zwykle twór słabowity, który mógł dać chwilę upojenia, jak wino Kaszmiru, z płatków róż i gwoździków zrobione, ale zawsze pozostawał nikłym, niezdolnym do życia, podczas gdy w tłumie, nie zdającym sobie nieraz sprawy, jak i dlaczego został zachwyconym, porwanym, znajdowali się przynajmniej znawcy, którzy wiedzieli, co mówią, o ile ich jeszcze nie dosięgło żądło zawiści i usta nie wydawały, jak u złej wróżki z bajki żmiji i ropuch kłamstwa, zamiast pereł i róż prawdy.

Chopin niejednokrotnie zapytywał się sam siebie, do jakiego stopnia oklaski wytwornego towarzystwa mogły zastąpić entuzjazm tłumów, którego dobrowolnie się wyrzekał? Nie wszyscy uprzejmie uśmiechnięci panowie i wystrojone damy byli w stanie go zrozumieć, a jeżeli, czy rozumieli go prawdziwie? Pytania te nurtowały go, wywołując niewytłómaczone, wewnętrzne niezadowolenie, które sprawiało, że czasem obrażał się z powodu pochwały. Grzmiące odgłosy tych, do których zdawał się mieć prawo, nie dochodziły go, więc te pojedyncze, zwykle niezgrabne i bezkrytyczne hołdy raniły jego miłość własną; czuł się zamało i źle ocenianym, otrząsał więc jak pył złocisty, lecz zbyteczny, pochlebne słowa jakiemi go obdarzano, ceniąc ponad nie spokój i rozmyślania, marzenia i sny poetyczne. Znawca żartów i sam pełen humoru, nie przybierał przytem gestów zapoznanego genjuszu, owszem tak starannie ukrywał urażoną dumę pod pozorami zadowolenia i uprzejmości, że trudno było się domyśleć, co się w jego duszy działo. Mimo to raczej można przypisać wzrastającą niechęć do grania przy świadkach temu pragnieniu uniknięcia niedostatecznego uznania, aniżeli osłabieniu, które mu nie przeszkadzało w długich, a męczących ćwiczeniach w domu i licznych lekcjach.

Wielka to szkoda, że niewątpliwą korzyść jaką artysta powinien był odnieść, udzielając się tylko słuchaczom wybranym, zmniejszał brak prawdziwego zrozumienia piękna z ich strony i nieznajomość środków objawiających je a tworzących sztukę. „Sądy salonowe, to wieczne mniej więcej" twierdził Saint-Beuve, w jednym z tych fejletonów gęsto przetykanych błyskami dowcipnych spostrzeżeń, któremi każdego poniedziałku zachwycał swych czytelników. Dla wykwintnego świata wchodzą w rachubę tylko wrażenia powierzchowne, nie wymagające głębszego zastanowienia, ani

szczerej, skupionej uwagi, tak przelotne, że możnaby je raczej nazwać fizycznemi niż moralnemi. Na inne brak mu czasu zapełnionego bieżącymi wypadkami, zdarzeniami politycznemi, sprawami miłosnemi mniej lub więcej budującemi i obmową. Jego ulubieńcy to artyści próżni a mizerni, z ich pomocą zatraca smak i wrażliwość, aż wreszcie staje się niezdolnym do zrozumienia wielkiego ducha.

Sztuce, prawdziwej sztuce, zimno w tych komnatach, wybitych czerwonym adamaszkiem, omdlewa w salonach żółtych lub blado-niebieskich. Każdy prawdziwy artysta to odczuł, choć nie każdy zdawał sobie sprawę z tego. Jeden z wybitniejszych wirtuozów obeznany lepiej od innych z lodowatą i mrożącą atmosferą arystokratycznych salonów powtarzał często: „nikt nie pragnie nas słuchać, chodzi jedynie o to, aby nas słyszeć!... Mniejsza o treść, byle rytm był łatwy i wywoływał miłe wspomnienia!“

Wymuszoność, przesada, mizdrzenie się kobiet, zawistna hipokryzja młodych ludzi, nie są pierwiastkami mogącemi dać jakiekolwiek zadowolenie poecie, nie mogą go cieszyć pochwały cedzone zwiędłemi ustami sceptyków, co w duszy uważają, że chcąc go wogóle słuchać, zaszczyt mu przynoszą. Temu światu o miernej wrażliwości a przeczulonych nerwach, obcem jest królestwo muz, nieznanym ideał twórcy, ukryty pod postacią piękna; dla niego artysta to towarzyski akrobata, któż w nim kiedy słyszał o czarodziejskiej mowie córMnemosyny, o objawieniach Apollina? Od dzieciństwa karmiony rozkoszami stosownie do jego gustu płytkiemi, zachwyca się tandetą, lichą porcelaną, zmanierowanemi widoczkami, słodkawo mdłemi romansami.

Artysta, zerwawszy ze swem samotnem natchnieniem, jedynie tylko w najżywszem zajęciu słuchaczy tem co uczucie ma w sobie szlachetnego, wzniosłego, niemal boskiego, odnaleźć je może. Nie pojmą tego obecne salony, gdzie muza chyba tylko przypadkiem się zabłąka i skąd czemprędzej ucieka, unosząc na skrzydłach natchnienie, którego artysta już nie zaczerpnie w pustych uśmiechach oczekujących rozrywki, w zimnych spojrzeniach areopagu starych, nieczułych, dyplomatów, zgromadzonych jakby na sąd. Nie wzniesie się już wysoko ponad samego siebie i nie pociągnie za sobą słuchaczy, bo jak ołów cięży mu ich obojętność, czuje, że nie zdoła ich porwać w pęd ku nieskończoności, jak przewodnik skrzydlatego stada, wiodący je do piękniejszych krajów.

Zasadniczo artysta powinien zyskać na towarzystwie światłych patrycjuszów i miał poniekąd słuszność Józef de Maistre, mówiąc, że: Pięknem jest, wszystko to, co się świa-

światłemu patrycjuszowi podoba! Stanowisko socjalne patrycjusza stawia go wysoko ponad wszelkie względy i słabostki zwane naogół mieszczańskiemi, zapewne dlatego, że mieszczaństwo jednoczy w swych rękach materjalne sprawy narodu. Od patrycjusza więc oczekuje się zachęty dla uczuć heroicznych, niezwykłych, bezinteresownych, poświęconych wielkim ideom i wielkim sprawom, które tylko w sztuce z ogromną siłą się objawiają.

Tak jest w teorji. W praktyce chyba tylko w wyjątkowych wypadkach artysta nie traci ni zyskuje przez bywanie w „najpierwszem towarzystwie“. Maleje w niem i niewieścieje, uważany za środek do rozrywki, często zręcznie wykorzystywany.

Na dworach istnieje od niepamiętnych czasów zwyczaj wyzyskiwania poetów i artystów, panuje mniemanie, że uśmiech monarchy, łaskawa pochwała, ozdobna szpilka lub kilka brylantów są aż nazbyt hojną nagrodą. Firdusi, perski Homer, otrzymał zamiast tysiąca złotych monet z wizerunkiem sułtana, jakie mu tenże obiecał, tyleż monet ale w miedzi, a Kryłow opowiada w bajce godnej Ezopa, a wiewiórce, co przez dwadzieścia lat służyła ku rozrywce królalwa, aż otrzymała w nagrodę worek orzechów wtedy, kiedy już nie miała zębów do zgryzienia ich.

Całkiem inaczej postępowali książęta i króle świata finansowego, choćby tylko wymienić takiego Rotszylda, który dał Rossiniemu sposobność do zrobienia majątku, przypuszczając go do spółki w swych doskonałych interesach. Za tym przykładem szło wiele innych Rotszyldów i — Rossinich; niejeden z artystów wolał się wyrzec boskiej ambrozji, a być sytym, mieć całe ubranie i nie dygotać z zimna w nędznej izdebce na poddaszu. Cóż z tego wynikło? Dwory wyczerpywały genjusza i talent, wyobraźnię i natchnienie, tak jak upajające wdzięki kobiety, wywołując nieustanny zachwyt, niszczą siłę mężczyzny; plutokracja przygniatała mętną żarłocznością materjalizm, tucząc ich, jak swoich ulubieńców z rasy „King-Charles“, hodowanych na miękkich buduarowych kanapach. Jedno i drugie było zabójstwem dla tych ludzi naznaczonych przez los znamieniem zguby i piękna, dla tych uprzywilejowanych, o których dawni Grecy mówili, że zamiast bogactw ziemskich otrzymali od władcy wszechświata możność wznoszenia się ku niemu, wiele razy tylko zapragną. Wydani bezbronnie na pastwę pokus, ulegali im nieraz i mimo swych nadprzyrodzonych darów, chodzili po ziemi, zapominając o niebiosach, czego główną winę należy przypisać środowisku,

które chęcią użycia, jak kamieniem, obciążało im skrzydła, korzystając z talentu, nie troszczyło się o natchnienie!

Na dworach uwaga jest zbyt rozprószona, aby mogła w skupieniu wchłaniać myśli i porywy poety lub artysty, wśród licznych samolubnych kłopotów niema miejsca na troskę o jego dobrobyt i stanowisko społeczne, wykorzystuje się go więc bez skrupułu aż do chwili, kiedy niespodzianie umysł i dusza otwierają się dla sztuki, osiągając odrazu szczyt odczucia. Wieluż artystów oczekiwało całe życie takiej chwili jasnej, choćby krótkiej i niepowrotnej, i wielu razy napróżno!

Tak jak w atmosferze dworskiej przeważał sybarytyzm, tak w świecie finansowym panował interes, nie dopuszczając umysłów do przejęcia się rozkoszą umartwienia, świętem oburzeniem cnoty walczącej z przeciwnościami, poświęceniem wymaganem przez honor, wogóle wszystkiemi temi uczuciami, które znajdują swój wyraz w poezji i sztuce, a nie mają nic wspólnego z wrażeniami czerpanemi z ksiąg rachunkowości podwójnej.

Artysta z natury koniecznie wymaga ciepła, zachęty, odczucia, sposobności wypowiedzenia się, gdyż inaczej traci zaufanie do samego siebie, a przecież niejeden wolał wbrew jej wymaganiom dzielić los Szekspira lub Camoënsa, znosić głód i chłód moralny i fizyczny aniżeli napróżno oczekiwać spełnienia zwodniczych nadziei, być karmionym nieszczerą i jałową strawą, oznak płytkiego podziwu. Były to jednostki silne, te, które dobrowolnie skazywały się na życie i śmierć w samotności, słabszym uniesionym złudną wyobraźnią, zdawało się, że ogniem zapożyczonym z niebios, rozgrzeją zimny przepych dworów i wspaniałość potęgi pieniężnej

Józef de Maistre nie był w błędzie, mówiąc o „światłym patrycjuszu“ jako o sprawiedliwym sędziu Piękna, lecz nie dokończył swej myśli. Zadaniem arystokracji jako takiej nie jest pisanie gloss o Homerze, monografji o zapomnianym poecie arabskim lub odnalezionym truwerze ani nawet głębokich studjów o Fidjaszu, Michale-Aniele, Rafaelu, lub ciekawych notatek o Josquin - des- Prés, Orlando - di - Lasso, Monteverde i innych, ale przewodniczenie współczesnym dążeniom. Tylko wtedy może się utrzymać na tem stanowisku, jeżeli potrafi się być opatrznością dla muzyka, poety, malarza i rzeźbiarza, nie odstępując komu bądź opieki nad niemi. Ludzie należący do patrycjatu powinni się starać w tym celu o dokładne poznanie poza dziejami ojczyzny i własnego roda, wielkich epok w dziedzinie sztuki, stylów, przemian, prawdziwych powodów i następstw walki i współzawodnictwa. Tradycyjnie, z pokolenia na pokolenie powinien patrycjat przekazywać zamiłowanie do czystej sztuki i prawdziwego piękna, a tem samem szczere zainteresowanie tymi, co opiewając najszlachetniejsze uczucia, bohaterskie czyny, subtelną tkliwość, miłość najczystszą, wspaniałomyślne przebaczenie, ofiarę z samego siebie, słowem wszystko to, co podnosi duszę wysoko ponad samolubstwo i epikureizm. Powinien też zrzucić jarzmo mody, wyzwolić się od jej zgubnego despotyzmu, osiągnąć należny mu stopień wyższości i korzystając ze swego przywileju „nadawania tonu“ nadawać prawdziwie „dobry ton“ nakazujący szacunek dla myśli i kierujący czarującemi, salonowemi owieczkami Panurga. Jak dotąd w rozmowach wielkich panów z artystami i poetami ujawnia się, aż nazbyt jaskrawo, ich zupełna nieświadomość w sprawach dotyczących sztuki i mierność umysłu pokrywana obojętnością.

Rola jaką Chopin odgrywał wobec naszej publiczności, jest dla nas sprawą drugorzędną. Choćby mu były przypadły w udziele ze strony tych, którzy mają być z innej gliny ulepieni niż wszyscy śmiertelnicy, takie hołdy, na jakie zasługiwał, choćby go były podziwiały liczne kraje i narody, choćby krocie a nie setki głosiły jego sławę, nie rozpisywalibyśmy się o tych krótkotrwałych powodzeniach. Bo czemże są bukiety dla tych, których skroń wzywa nieśmiertelne wawrzyny? Przemijające sympatje, przelotne pochwały nie są nawet godne wzmianki wobec mogiły, której się należy nieśmiertelna chwała.

Utwory Chopina przeznaczone były do niesienia najdalszym krajom i pokoleniom tysiącznych radości i pocieszenia. Mowa ich nie rozumiana przez współczesnych, trafiała do dusz cierpiących, które łakną i pragną, upadają lecz podnoszą się, bo wierzą.

„Są różne rodzaje wieńców“ — mawiał Goethe — „są nawet takie, które można wygodnie uwić w czasie przechadzki“. Takie przez chwil kilka czarują wonną swą świeżością, ale czyż można je stawiać obok tych, na które Chopin zasłużył wytrwałą i przykładną pracą, poważnem zamiłowaniem do sztuki, bolesnem odczuciem wzruszeń tak mistrzowsko wypowiedzianych?

Za to, że nie poszukiwał chciwie wieńców łatwych do zdobycia, któremi niejeden z nas by się pysznił, że przeszedł przez życie czystym, szlachetnym, dobrym i litościwym, z sercem przepełnionem jednem tylko uczuciem miłości ojczyzny, najszlachetniejszem z uczuć ziemskich, choć jak widziadło tylko, przemknął się wśród nas, namaszczony wszystkiem co Polska ma najświętszego, strzeżmy się od

ubliżenia jego pamięci! Nie obdarzajmy go sztucznemi kwiatami! Nie splatajmy wieńców lekkich i łatwych! Wznieśmy nasze uczucia do wysokości tej trumny!

Uczmy się wszyscy od niego, malarze, rzeźbiarze, muzycy, przeznaczeni do wypowiadania odwiecznego piękna, potępiać bezwzględnie dążenia nie prowadzące do czystej sztuki, skupić się w wysiłku, co ryje bruzdy głębokie i trwałe! Za jego przykładem odrzućmy wszystko co nie jest godnem wielkiej sprawy, co nie obiecuje trwania, co nie ma w sobie choćby cząstki przedwiecznej, niewcielonej Prawdy, którą sztuka świeci i oświeca.

Pamiętajmy o starożytnej modlitwie Dorów, którzy w słowach pełnych prostoty i pobożnej poezji błagali bogów, aby przez Piękno dali im Dobro! Zamiast zadawania sobie tyle trudu w celu podbicia Hunnów i podobania im się za wszelką cenę, usiłujmy raczej, w ślad za Chopinem pozostawić po sobie niebiańskie echo naszych uczuć, cierpień i umiłowań!

Uzyskanie godności w mistycznem państwie sztuki niechaj będzie naszym celem, nie żądajmy od rzeczywistości, bez poszanowania dla jutra, tych wieńców, które zaledwie zgarnięte, już więdną — zapomniane!...

Najpiękniejsze wawrzyny, jakie artysta może za życia otrzymać, zostały wręczone mistrzowi przez znakomitości stojące z nim na równi. Entuzjazmem darzyło go kółko szczuplejsze jeszcze od tego, które zwykło słuchać go w salonach, składające się z ludzi o sławnych imionach, którzy jak królowie przeróżnych państw zbierali się, aby uczcić wspólnego towarzysza, przypatrzeć się jego nieocenionym skarbom, wspaniałemu państwu, wielkości potęgi, stworzonym dziełom. Od nich wyłącznie doznawał należnego uznania, nie mogło zresztą być inaczej we Francji, gdzie poczucie gościnności umie oznaczyć każdemu właściwe mu stanowisko.

W salonie Chopina zgromadzały się najwybitniejsze umysły Paryża. Nie były to zebrania takie jakiemi je sobie wyobrażają niektóre koła pogrążone w ceremonialnej nudzie. Wesołość, dowcip, zapał do zabawy nie przybywają na rozkaz u nikogo a tem mniej u artystów, z których każdy prawie cierpi z powodu zranionej miłości własnej lub nużących nastrojów. Dopiero gdy się z nich otrząśnie może wydobyć z siebie te sztuczne ognie zadziwiające wtajemniczonych, którzy widzą tylko rakiety, ognie bengalskie i świecące kaskady, nie domyślając się głębszego źródła. Swobodę i wesołość rzadko znaleźć można u artystów i poetów. Niewielu wśród nich pokrywa wewnętrzny rozstrój, kpiąc

wraz z towarzyszami drogi życia z trudów podróży, nie każdy krzepi z dobrotliwą łagodnością zniechęconych, podnosi upadających na duchu. U większości niezmierna wrażliwość na każdego rodzaju wzruszenia powoduje wielką łatwość w zmienianiu nastroju, wywołując raczej zadumę, niż pustotę.

Chopin nie należał właściwie ani do jednych ani do drugich. Posiadał w wysokim stopniu dar gościnności wrodzonej Polakom, która otacza gościa wszystkiemi swojemi przywilejami, wysuwa gospodarza domu z woli osobistej, czyniąc go sługą życzeń i upodobań gości. Pewni dobrego przyjęcia i miłego spędzenia czasu wszyscy chętnie do niego spieszyli i każdemu musiało być dobrze, bo gospodarz oddawał się na rozkazy, a goście czuli się jak u siebie. Podobną gościnność okazuje między Słowianami zarówno prosty wieśniak w skromnej chacie, jak wielki pan w złoconych komnatach. Tak jeden jak i drugi ofiarowują co mają najlepszego tłómacząc się z wdziękiem i powagą, właściwą tradycyjnym polskim obyczajom: „czem chata bogata, tem rada".

Na zebraniach w swoim salonie nie odstępował Chopin w niczem od dawnych zwyczajów. Naogół mało towarzyski, bywając i przyjmując niechętnie, był dla gości uprzedzająco grzecznym, nie ominął nikogo w dowodach uprzejmości i nie zajmując się pozornie nikim z osobna, umiał każdego zająć tem, co mu największą przyjemność sprawić mogło.

Chcąc zniewolić Chopina do otwarcia domu i fortepianu, trzeba było najpierw stoczyć walkę z nieco dziwacznym uporem, mogli to czynić tylko ci, którzy szczerą i głęboką przyjaźnią pewne prawa zdobyli.

Zapewne niejednemu z nas pozostał żywo w pamięci wieczór zaimprowizowany u niego, na przekór jego woli, w mieszkaniu przy Chaussée d'Antin. Salon zdobyty znienacka oświetlony był kilkoma świecami od strony fortepianu, jednego z tych fortepianów Pleyela, jakie przekładał nad inne z powodu srebrnego, nieco przytłumionego tonu i łatwości uderzenia. Grą swoją wydobywał z niego dźwięki jakby należące do tych szkanych instrumentów w rodzaju harmonji, sporządzanych przez starych mistrzów romantycznych Niemiec.

Cienie zalegające kąty dawały złudzenie, że pokój ten nie ma krańców i przypiera do mrocznych, zaświatowych przestrzeni. Tu i ówdzie w półcieniu przebłyskiwał jakiś sprzęt o białawem pokryciu niewyraźnie zarysowany, jak widziadło co wywabione muzyką z nicości przyszło jej posłuchać. Światło skupione dokoła fortepianu padało na po-

sadzkę i ślizgając się po niej łączyło się z niepewnemi błyskami ognia płonącego na kominku, wybuchającego od czasu do czasu krótkiemi płomykami podobnemi do krasnoludków nadsłuchujących ciekawie. Jeden tylko portret serdecznego przyjaciela, pianisty, zdawał się być raz na zawsze zaproszonym na świadka tego wspaniałego przypływu i odpływu tonów, śpiewnych lub rozmarzonych, jęczących lub grożących, ginących w szepcie na wybrzeżu instrumentu, nad którym był umieszczony. Miłym trafem odbijała się w błyszczącej powierzchni zwierciadła pokazując się powtórnie naszym oczom, piękna twarz otoczona bujnemi puklami, hrabiny d'Agoult, tylokrotnie uwieczniane pędzlem dla wielbicieli wykwintnego pióra. W świetlanym kręgu około fortepianu gromadziło się kilka sławnych głów. Bywał tam Heine, ten najsmutniejszy z humorystów, słuchający z zajęciem duchowego ziomka, opowiadań Chopina o tajemniczej krainie, którą ulotna jego wyobraźnia nieraz zwiedzała, poznając dokładnie czarujące zakątki. Rozumieli się doskonale, rozmawiając półsłówkami i półdźwiękami. Muzyk snuł dziwną opowieść o roześmianej rusałce odpowiadającej na ciche zapytania poety, który chciał wiedzieć: „czy zawsze z równie drażniącą zalotnością otula srebrzystą zasłoną swe szmaragdowe sploty? Czy bożek rzeczny z długą, siwą brodą ciągle jeszcze naprzykrza się swą śmieszną miłością psotnej najadzie?“ Dobrze powiadomiony o chwalebnych dziwach, jakie się tam daleko daleko... dzieją, dopytywał się: „Czy róże po dawnemu płoną? Czy drzewa taksamo melodyjnie szemrzą przy bladem świetle księżyca?“

Chopin odpowiadał. Długo trwała ta ich rozmowa poufna o czarach wspólnej nadziemskiej ojczyzny, a potem wpadali w smętną zadumę zmożeni gwałtowną do niej tęsknotą. Heine lubiał się porównywać z holenderskim kapitanem okrętu widma, który wiecznie pędzony przez nielitościwe fale, wzdychał napróżno do tulipanów, hjacyntów, fajek z morskiej pianki, filiżanek z chińskiej porcelany!... „Amsterdam! Amsterdam! Boże, kiedyż znów ujrzymy Amsterdam!“ wołał, a głos jego rozpaczliwy ginął w ryku fal miotających okrętem, jak słabą łupiną. „oRzumiem dobrze“ mówił Heine, „całą wściekłość tego nieszczęsnego kapitana, gdy wykrzykiwał: „Jeżeli powrócę do Amsterdamu wolałbym tam pozostać rogatką, niż kiedykolwiek jeszcze go opuścić“ Biedny Van der Deken!... Dla niego ideałem był Amsterdam!“

Heine zdawał się dokładnie znać cierpienia jakie znosił „biedny Van der Deken“ w straszliwej nieustannej tułaczce po oceanie, który w bokach okrętu zatopił swe szpony trzymając go jak na kotwicy o niewidzialnych łańcuchach. Kiedy

satyryczny poeta stosownie był usposobiony opowiadał nam o bólach, nadziejach, rozpaczy, męczarniach i zwątpieniu nieszczęsnej załogi tego statku, na którego pokład zaklęty dał się zwabić na chwilę zakochanej Ondynie, co nadaremnie wynajdywała przeróżne dziwy, aby rozprószyć nudę, gorycz i przygnębienie ogarniające kochanka w jej perłowym pałacu otoczonym koralowym lasem, bo na to, o czem on zamarzył, nie stać było całego zbytku jej królestwa.

Na tej niezniszczalnej łodzi Heine i Chopin zwiedzali razem bieguny. Byli tam, gdzie zorza północna, wspaniały gość nieskończonych nocy, przegląda się w olbrzymich soplach wiecznych lodów i na zwrotnikach, gdzie światło Zodjaku zastępuje w czasie krótkich ciemności palące promienie bolesnego słońca. Przebiegając miejsca, gdzie życie leniwie płynie i gdzie zawrotnie szybko ucieka, uczyli się poznawać cuda niebiańskie znaczące drogę żeglarzy, dla których niema przystani. Wsparci na dzióbie pozbawionym steru spoglądali na niedźwiedzice błyszczące majestatycznie na północy i na świetny krzyż południa, po za którym rozpościera się na ziemi i na niebie pustynia, nie pozostawiając przerażonemu oku nic, prócz żadnym promykiem nieoświetlonej przestrzeni nieba nad bezbrzeżnem morzem. Długo odprowadzali wzrokiem smugi świetlane, któremi gwiazdy spadające znaczą lazur... komety bieżące nieobliczalnemi drogami, wzbudzające obawę, podczas gdy są tylko smutne a nieszkodliwe w swych samotnych wędrówkach... wpatrywali się w Aldebarana zdającego się nieustannie mieć na oku ziemię, do której nie śmie się zbliżyć... i w Plejady wabiące blaskiem przyjaznym i pełnym pociechy, jak zagadkową obietnicą...

Wiele innych jeszcze dziwów widział Heine oprócz tych, które oglądał pod różnemi postaciami, jakie na każdym południku przybierały. Wszakże był świadkiem szalonego cwałowania Herodjady, miał wstęp na dwór króla olch, niejedno złote jabłko zerwał w ogrodzie Hesperyd, znał dokładnie najskrytsze ustronia w krainie baśni, gdzie żaden śmiertelnik nie miał dostępu, o ile go nie wprowadziła opiekuńcza wróżba, co sobie za zadanie wzięła chronić go od złej doli, olśnić i oczarować!...

Powracając z wycieczek do fantastycznego państwa poezji, opisywał je dokładnie przyjacielowi, który nam wszystko w swojej mowie powtarzał, nie natrafiając na sprzeciw ze strony zasłuchanego poety.

Tego wieczoru o jakim mówimy, obok Heinego siedział Meyerbeer, dla których już nie stać słów pochwalnych. Harmonista, twórca jakby cyklopowych budowli, przeżywał roz-

koszne chwile, śledząc subtelne arabeski owijające myśli Chopina, jak przeźroczysta tkanka z koronek.

Trochę dalej to Adolf Nonritt, artysta szlachetny, zarazem namiętny i surowy. Gorliwy katolik, marzył z żarliwością mistrzów średniowiecza o odrodzeniu czystego Piękna w sztuce. Odmawiał swego talentu wszystkim przeciętnym scenom i ostatnie swe lata poświęcił wyłącznie sztuce wzniosłej i szlachetnej, wznosząc oczy do niej jak do świętości, której „piękność była blaskiem prawdy". Trawiony namiętną melancholją miał już wtedy na czole cień złowieszczy, zrozumiany dopiero w oświetleniu rozpaczy przez ludzi naogół tak ciekawych tajemnic serca a tak niezdolnych do odgadywania ich.

Był tam też Hiller. Talentem pokrewny współczesnym nowatorom, w szczególności zbliżony do Mendelsohna; często także zbieraliśmy się u niego. Pisał wtedy drobniejsze kompozycje na fortepian: „Duchy", „Marzenia", 24 Etud (poświęconych Meyerbeerowi) poprzedzające dzieła większe, z których najpierwszem było oratorjum „Zburzenie Jerozolimy". Były to szkice silnie zarysowane, przypominające te studja krajobrazów, w których mistrz zapomocą jednego motywu szczęśliwie ujętego, jednego drzewa, jednego pęku kwiatów leśnych, tworzy cały poemat świateł i cieni.

Widziadła, których tyle unosiło się w powietrzu, że ucho zdawało się słyszeć ich szelest, zadziwiały i pochłaniały uwagę Eugenjusza Delacroix, tego Rubensa ówczesnego romantyzmu. Czyżby zastanawiał się nad tem, jakiej palety, jakich pędzli, jakiego płótna musiałby użyć, aby im dać życie swej sztuki? Czy myślał w duszy, że trzebaby na to płótna utkanego przez Arachny, pędzli zrobionych z rzęs wróżki, a palety pokrytej mgłą tęczowych odcieni? Czy nie uśmiechał się sam do siebie na myśl o tych przypuszczeniach, poddając się zupełnie wrażeniu, które je obudziły, przyciągnięty tajemniczym magnesem, łączącym wielkie talenta z żywiołami stanowiącymi ich przeciwieństwo?...

Stary Niemcewicz w naszem gronie pozornie najbliższy grobu, słuchał w skupionem milczeniu i kamiennej nieruchomości swoich własnych „Śpiewów historycznych", które Chopin przenosił z poezji w muzykę, odtwarzając mistrzowsko szczęk, broni, śpiew triumfalny, uroczyste hymny, skargi dostojnych jeńców, ballady na cześć zmarłych bohaterów! Przechodzili razem długi szereg dni chwały, wzbudzali wspomnienia królów, królowych, hetmanów... aż rzeczywistość wydała się starcowi złudzeniem i ujrzał przeszłość zmartwychtsałą, tyle było życia w zjawiskach gromadzących się nad klawiszami!

Na uboczu zarysowywała się ciemna i nieporuszona postać Mickiewicza. Temu Dantemu północy wydawała się zawsze „gorzką sól obca, próg obcy trudnym do przestąpienia..." Jak gdyby głuchy na piękne akordy mówiące o Grażynie, o Wallenrodzie, jedynie tylko swą obecnością dowodził zrozumienia ich, a więcej, nikt według zdania jego, nikt nie miał prawa wymagać!...

Zatopiona w fotelu, ręką wsparta o konsolę, siedziała pani Sand, wdzięcznie poddana bacznemu zaciekawieniu. Płomienny dar spostrzegania piękna we wszystkich jego objawach w sztuce i w przyrodzie, którego odblask promieniował od niej na nasze zebranie, był może tym „drugim wzrokiem" przypisywanym przez wszystkie narody natchnionym kobietom. Pod magją spojrzenia odpadała powłoka formy, odsłaniając wcieloną w niej duszę poety, jego ideał zaklęty w strumieniu dźwięków lub gamie barw, w marmurze lub w kamieniu, w tajemniczym rytmie strof lub dramatycznych scenach. Ta zdolność zwykle niewyraźnie odczuwana, objawia się tchnieniem proroczem, świadomem przeszłości, przewidującem przyszłość; przez bliskie obcowanie z cudem przyrody może odrazu zgarniać najtrudniejsze zagadnienia, do których umysł przeciętny liczne zasoby wiedzy mozolnie gromadzić musi.

Tylko w stałem sam na sam z naturą, mieszczącem w sobie cały urok i wielkość życia wiejskiego, można uchwycić niezrównaną harmonję linji, dźwięków, świateł, grzmotów i szczebiotania, grozy i rozkoszy! Wszystko to razem odważnie a cierpliwie zbadane, daje klucz do pojęcia licznych pokrewieństw między zmysłami a uczuciem, ukrytych związków pozornych sprzeczności, równorzędnych antytez, przepaści rozdzielających wązką lecz nieprzebytą szczeliną to, czemu choć do siebie podobne nie wolno zlać się w jedną całość, co przeznaczone do zbliżenia się nie ma się spoić. Udziałem poety jest właśnie ta możność podsłuchania szeptów przyrody, któremi ona wtajemnicza uprzywilejowanych w mistyczne obrzędy, lecz tylko kobieta może się od niej nauczyć przenikania marzeń człowieka wtedy, kiedy na wzór jej tworzy, bo na to nie wystarcza talent, lecz potrzeba intuicji serca.

Po wymienieniu tej, której urok i silna osobistość, tak mocno działały na wątłego artystę, jak wino, co zbytnio musując, rozsadza kruche naczynie, niema już nikogo więcej do wywołania z otchłani przeszłości, pełnej niewyraźnych obrazów, nieokreślonych skłonności, niepewnych zamiarów, chwiejnych wierzeń, gdzie każdy z nas mógłby rozpoznać zarysy własnych uczuć zrodzonych bez nadziei życia.

Wiele z pośród tych zainteresowań, dążności, pragnień i namiętności, zapełniających epokę, w której zebrało się kilku ludzi wzniosłego ducha i światłego umysłu, posiadało wystarczający zasób siły życiowej, aby się oprzeć zarodkom śmierci otaczającym kolebkę każdej idei i każdego uczucia?... Czy wiele jest takich, o których nie wyrzeczono w danej chwili krótkiego lub dłuższego istnienia, tych słów bezmiernie smutnych. „Szczęśliwy, gdyby umarł! Szczęśliwszy, gdyby się wcale nie był urodził!“ Z tylu gorących uczuć pobudzających do bicia tak szlachetne serca, czy wiele było nie obciążonych taką klątwą? Nie znalazłoby się może ani jego, co wskrzeszone z popiołów i powstałe z grobu, jak samobójca z poematu Mickiewicza, który w dniu zadusznym odżywa dawnem życiem i cierpi dawne bóle, nie nosiłby na sobie stygmatów i kalectwa, zniekształcających pierwotną piękność i kalające przeczystą białość. Pomiędzy temi posępnemi widmami czy byłoby dużo takich, co za życia miały tyle władzy i nadziemskiego blasku, aby teraz nie zaparli się ich ci sami, których szczęściem byli i męczarnią? Jakiego grobowego obrachunku trzebaby dokonać, jakiego zaklęcia użyć, chcąc wywołać jedno za drugiem, aby zdały sprawę, wiele złego i dobrego sprawiły w tym świecie serc naoścież dla nich otwartym, a także, co uczyniły w dziedzinie, w której serca te panowały, czy upiększyły lub wstrząsnęły, budowały lub burzyły na los przypadku?

Lecz jeżeli z przytoczonych tu ludzi, z których każdy przykuwał do siebie liczne dusze i nosił w sumieniu bodziec niejednej odpowiedzialności, jest chociaż jeden, co nie wydał na pastwę zapomnienia najczystszych pierwiastków uroku, łączącego ich jakby w snop jasnych promieni, który wyłączając ze swego wspomnienia fermenty zawarte w najsłodszej nawet woni, pozostawił sztuce nienaruszone dziedzictwo najgłębszych skupień i boskich zachwytów, uznajmy w nim jednego z wybranych, jakich istnienie stwierdziła poezja ludowa swą wiarą w duchy „dobre“. Przypisywała tym istotom nadprzyrodzonym, dobroczynny wpływ na losy ludzkie i bezwzględną wyższość ducha uznaną wspaniale przez włoskiego poetę, który przyznawał genjuszowi „wyraźniejszą niż u innych cechę Boskości“.*)

Pochylmy więc czoło przed temi postaciami, naznaczonemi piętnem mistycznem a szczególnie głęboką cześć oddajmy tym, którzy, jak Chopin, wyższości swojej użyli wyłącznie do nadania życia i wyrazu najpiękniejszym uczuciom.

*) Manzoni.

V.

Zupełnie zrozumiałą ciekawość wzbudza zwykle życiorys genjusza, który poświęcił wielki swój talent zbudowaniu pomnika wzniosłym porywom ducha, we wspaniałych dziełach sztuki. Wywołany przez nie podziw i sympatja, łączą się z imieniem, któremu tłum gotów jest oddawać cześć boską, uważając go za symbol szlachetnej wielkości w tem mniemaniu, że ci co tak pięknie umieją wyrażać czyste uczucia, muszą je również posiadać. W ślad za tem idzie chęć przekonania się na podstawie faktów z życia uwielbianego artysty, o słuszności tego pochlebnego przypuszczenia. Widząc, że posiadł tajemnicę najsłodszej tkliwości i dostojnej prostoty męstwa, że z łatwością opanowuje każde położenie, odrazu natrafia na nić rozwiązującą splątane węzły wypadków i wznosząc się ponad wielkości i przewroty, osiąga niedostępne szczyty, patrząc na piękne obrazy miłości takiej, o jakiej się marzy w młodości i takiej co później rozpaczą napełnia, nasuwa się pytanie, czy ta cudowna siła jasnowidzenia wypływa ze szczerej wiary we wszystkie te uczucia, lub jest poprostu zręczną igraszką myśli? Pragnie się bliżej zbadać życie tych ludzi, czy też wychodząc z ram pospolitości odpowiadało pięknością ich ideałom? Jak sobie radziła wysoka godność poetycka z rzeczywistością i jej powszedniemi sprawami? O ile wzruszenia miłosne opiewane przez nich były wolne od zwykłych zawodów i goryczy?... Czy nie zasłużyli na zarzut ci, co nieraz szlachetnem unosili się oburzeniem?... Czy chwaląc nieskazitelność nie kupczyli swojem sumieniem, czy głosząc bohaterstwo nie byli trwożliwi, czy szerząc podziw dla siły woli, nie wchodzili w układy z własną słabością?...

Znajdzie się wielu takich, co starać się będą poznać polubowne umowy, łączące ze względami ambicji i chęcią zysku, honor, prawość, delikatność tych, których zadaniem było utrzymanie nas we wierze i przywiązaniu do uczuć szlachetnych i pięknych, aby dowieść, że można wygodnie jedno z drugiem połączyć. Głośno też twierdzą, że układy

między cnotą a podłością, wielkością a małostkowością, brzydotą a etycznem pięknem, są nieuniknionym wynikiem naszej ułomności i z jakim pośpiechem tacy duchowi „realiści“ obdarzają, na podstawie smutnych przykładów, najpiękniejsze owoce natchnienia mianem sztucznych tworów! Wiele słodkiej, podstępnej hipokryzji w doktrynach celowo obmyślanych, z jaką okrutną radością wyliczają te wypadki wobec dusz niepewnych i słabych, których młodzieńcze zapędy i przekonania, z coraz słabnącą siłą opierają się jeszcze pokusom! Jakie zniechęcenie musi ogarniać tych walczących, jak bezsilnymi są wobec gwałtownego nacisku kuszących nadziei, czyhających na drodze życia, kiedy wspomnienie przywiedzie im na myśl te serca najgoręcej w pięknie rozmiłowane, ściśle wtajemniczone we wszystkie odcienia wrażliwości, przejęte czystością ideału, które czynem zaparły się bóstw swoich! Straszne zwątpienie wywołane tak jawnemi sprzecznościami i wielką boleść jątrzyło nielitościwe, bluźniercze szyderstwo: „Poezja, to coś co być mogło!“ Nie, nigdy, przenigdy! Poezja to nie cień naszej wyobraźni, rzucony i wyolbrzymiony, na pochyłej równi niepodobieństwa. Świadczą o tem bogowie, mówią sumienia, potwierdzają sprawiedliwi, powtarza skrucha, dowodzą bohaterzy! „Poezja i Rzeczywistość“*) bynajmniej nie są pierwiastkami niezgodnymi, przeznaczonymi do istnienia obok siebie, bez wzajemnego przenikania się. O jednym ze współczesnych poetów powiedział Goethe, że „żyjąc dla poezji, uczynił z życia poezję!“**) sam zaś za wielkim był poetą, aby nie wiedzieć, iż poezja tem tylko istnieje, że odnajduje wiekuistą rzeczywistość w najpiękniejszych popędach serca ludzkiego. Oto tajemnica jaką „starzec olimpijski“ zataił w Fauście, gdzie w ostatniej scenie ukazuje nam Poezję, która rozpętana przez wyobraźnię i niesiona na skrzydłach fantazji poprzez dzieje świata, powraca do sfer niebiańskich, prowadzona przez Rzeczywistość: miłości, skruchy i pokuty!

Dawniej zwykliśmy mówić: „Na równi ze szlachectwem genjusz obowiązuje“,***) dziś chciałoby się powiedzieć: „Bardziej od szlachectwa obowiązuje genjusz“, bo szlachectwo nosi tak jak każde dzieło ludzkie cechy niedoskonałości, a genjusz pochodząc od Boga jest z natury doskonałym, o ile go człowiek nie oszpeca i nie obniża do miary swych namiętności i złudzeń. Posłannictwem jego nie jest nakazywanie dobra i nauczanie prawdy, lecz objawienie jej pięk-

*) Dichtung u. Wahrheit.
**) „Er lebte dichtend, und dichtete lebend“.
***) Powiedziałem to o Paganinim, po jego śmierci.

kna oczarowanej i rozpętanej wyobraźni, wskazywanie drogi prowadzącej przez piękno ku dobru, sercom dążącym do wyżyn życia duchowego. Można więc żądać od talentu, który w poezji i w sztuce daje wyraz pięknu, aby działał nietylko owocem swej inteligencji, natchnienia i rozmyślań, ale również życiem całem, aby podnosił słowa i czyny do wysokości twórczego śpiewu! Winien to samemu sobie i sztuce swojej, która inaczej uzyska miano próżnej igraszki lub znikomego widziadła. Genjusz poety i artysty tylko wtedy może obliżyć poezję do rzeczywistości a sztuce nadać właściwą dostojną powagę, jeżeli uczynkami dowiedzie głębokiej wiary, bez której prawdziwość poezji wzbudzi wątpliwości i zaprzeczenia a majestat sztuki poniżenia dozna.

Usposobieniom rozważnym i spokojnym, wystarczyłoby kilka przykładów nieskazitelnej cnoty, nieugiętej prawości i surowości życia, lecz ludzie namiętni i ruchliwi, poszukujący wszędzie sławy, zaszczytów i uciech za wszelką cenę, wyzwalają się z pod władzy uznanych powag, zarzucają im, że zagarnęły świat dla suchych swych wymagań, że zbyt dowolnie chcą rozporządzać skutkami przyczyn i wydają prawa w państwie, którego na własność zdobyć nie mogą. Spojrzenia swe zwracają w stronę tych, co pili z wrzącego źródła boleści, tryskającego u stóp urwisk, na których dusza gniazdo sobie usłała, obojętnie pomijając milczące, surowe postacie, spełniające dobro bez uniesień dla piękna.

Młodość płomienna nie potrafi zastanowić się nad powodami tego milczenia, znaleźć klucz do ich zagadkowości; zbyt pośpieszne uderzenia serca nie pozwalają dojrzeć cierpień ukrytych pod powierzchnią spokoju, tajemnych zmagań i samotnych walk. Cicha prostota sprawiedliwych, bohaterski uśmiech mędrca żadnego nie wywierają wrażenia na duszach szarpanych namiętnościami, potrzebujących wzruszeń i egzaltacji, obrazów i łez, przenoszących wyniki zachwytu ponad trudy rozumowania. Zwracają wzrok pełen chciwej ciekawości ku tym szlachetnym poetom i artystom, którzy potrafili ich nieprzeparcie za sobą pociągnąć i oczarować, zapytując o ostatnie słowo tego porywu i czaru.

W chwilach rozterki, wśród udręczeń losu, kiedy szlachetne popędy i sumienie drzemiące lecz nie uśpione, zanadto zaciężą na słabej łódce istnienia, grożąc niebezpieczeństwem zatonięcia, o ile ich się w przepaść zapomnienia nie strąci, czy znajdzie się dużo takich, co wobec grożącej zagłady, nie wywołają dostojnych cieni, pytając ich się, co czynili w podobnych wypadkach, co mogło być wtedy dobrowolnem zboczeniem, co wypływało z wyrachowania a co było właściwością usposobienia? Równocześnie zja-

wia się dotąd odpychana potwarz i chciwie zgarnia wszystkie bez wyjątku słabostki, błędy, zaniedbania tych, którzy to wszystko potępiali. Zagrabiwszy swój łup, przywłaszcza sobie, opierając się na faktach, prawo pogardy dla natchnienia, które zalicza do zwykłych środków wykwintnej rozrywki, poszukiwanej przez patrycjuszów we wszystkich krajach i po wszystkie czasy, odmawiając mu władzy nad naszemi postanowieniami, czynnościami, przyzwoleniami lub odmowami.

Z szyderczym cynizmem wybiera w łanie dziejów ziarnka dobre i złe; dobre umyślnie odrzuca a wyszukując starannie kąkol rozsiewa czarne nasienie po nieskalanych kartach, w których unosi się tchnienie przeczystych pragnień serca i najszlachetniejszych marzeń wyobraźni, poczem zapytuje z ironją zwycięstwa: Co za cel tych wycieczek w dziedzinę, nie wydającą żadnego owocu? Co warta pszenica rodząca tylko głód? Co warte piękne słowa, z których jałowe wykwitają uczucia? Dobre to chyba dla rozrywki pałaców i stanu trzeciego, dla urozmaicenia ludowych wieczornic, gdzie zawsze się znajdą dusze na tyle naiwne, aby złudę wziąć za prawdę i uwierzyć dobrodusznie, że poezja może być rzeczywistą!...

Z jakiem urąganiem potwarz stara się wtedy uwydatnić sprzeczności istniejące nieraz pomiędzy szlachetnym porywem a niegodną słabością poety, między cudnym śpiewem a karygodną lekkomyślnością artysty! Jaką sobie wyższość przywłaszcza nad pracowitą zasługą „poczciwych ludzi", których uważa za skorupiaki skazane na nieruchomość marnego istnienia i nad dumnem panoszeniem się tych mędrców, co stojąc wyżej od innych, jednak biorą udział w powszechnej gonitwie za bogactwem, próżnem zadowoleniem i chwilową uciechą! Jak liczne korzyści jej zestawienie tych dążeń z zasadami będącemi najzupełniejszem ich przeciwieństwem, z jaką łatwością przezwycięża wahania i niepewności, tych co chcieliby jeszcze wierzyć w możność połączenia uczuć żywych, namiętnych wrażeń, darów umysłu, poetycznej intuicji, z nieskazitelnością charakteru, z życiem bez zarzutu, z postępowaniem, które nigdy nie zaparło się ideału.

Trudno się oprzeć fali głębokiego smutku, na widok poety sprzeniewierzającego się natchnieniom muz, strzegących jak anioły talentu, które jedne jedyne mogą nauczyć zamieniać życie w najpiękniejszy z poematów, jak też wobec złowrogiej niewiary, pożałowania godnych zniechęceń, bolesnych odstępstw, jakie pociąga za sobą upadek artysty. Wielu tracąc wiarę w piękno i genjusz, zwątpi o boskiem

objawieniu i z pogardą szydzi z mądrości ludzkiej, nie wiedząc już czemu ufać, komu wierzyć!

A jednak świętokradzkim byłby głos potępienia obejmujący jedną klątwą te zejścia na manowce, z czołgającą się podłością i samochwalczym bezwstydem, bo jeżeli artysta czynem zadał kłam swym pieśniom, czy pieśń tem potężniej nie wyparła się czynu? Czy dobry wpływ dzieł nie mógł się okazać silniejszym od zgubnego działania przykładu! Zapewne, zło bywa zaraźliwem, ale jakże płodnem jest dobro! Śmiertelne zwątpienie ogarnia współczesnych wobec genjuszu poniżającego się dobrowolnie, poety używającego przyjemności źle nabytego bogactwa, artysty złorzeczącego czynem prawdzie i obrażającego dobro, lecz nie podziela go nowe pokolenie. Ginie wspomnienie złych królów, myśli w otchłani niebytu, a pozostają dzieła wzniosłego ducha, jako źródło ożywcze dla dusz łaknących piękna! Nie wolno więc porównywać poety lub artysty, odstępcy, z tymi, co „siejąc wiatr, zbierają burzę", pozostawiają po sobie zgniliznę występku, gruzy i niekształtne odłamy nagromadzone niszczycielską siłą, bo oni przemijającego zła nie odkupili dobrem trwałem. Niesprawiedliwością by było potępiać poety, czy artysty, nie napiętnowawszy poprzednio tych, którzy go na złą drogę poprowadzili: księcia noszącego niegodnie imię opromienione sławą, bogacza wlewającego strumienie złota w nienasyconą paszczę zepsucia. Na ich czole przedewszystkiem należy położyć krwawą pieczęć hańby, niechaj pierwsi przejdą przez wąwóz Kandyjski, tak, jak pierwsi występowali we wielkiem widowisku świata, w chwale gorącego rozgłosu, nie mogąc się niczem wykupić od wyroku świętego oburzenia! Poeta i artysta okup ten posiadają; nie powinni zbytnio na niego liczyć, ale zaprzeczać im go nie można.

Choćby nawet poeta nagiął swe zasady do namiętności niegodnych orlego spojrzenia, stworzonego do spoglądania w słońce, do korzyści bardziej przelotnych od pierzchliwej fali, niemniej jednak uświetnił uczucia, przeciw którym zawinił, a które przenikając jego dzieła, nadały im znaczenie bez porównania donioślejsze od przykładu życia. Otoczył nieśmiertelną aureolą ideał miłości, cnoty i poświęcenia, surowość zasad i czystość życia, owoce jego twórczości, obdarzone wiecznem życiem po wszystkie czasy, krzewią prawdę i dobro, niosąc pociechę i siłę górują nad zgorszeniem, które smutne wypadki żywota wywołać mogły.

Objawem odwiecznego piękna jest to, co artysta tworzy pod natchnieniem sztuki stokroć potężniejszej od niego, to co niezależnie od jego chwiejnej woli jej życiem żyje

i z epoki na epokę niezmienione przechodzi. Usposobienia bardziej wrażliwe niż rozważne wyczuwają dobro wyraźniej jeszcze w pięknie, aniżeli w prawdzie, może dlatego, że jest ono źródłem zarówno jednego jak i drugiego. Każde dzieło piękne nazwać można dobrem, i naodwrót o każdym dobrym postępku powiedzieć, że jest pięknym, bo z piękna musi promieniować prawda a z fałszu może się tylko brzydota urodzić.

Sprawiedliwością byłaby w tym wypadku pobłażliwość, lecz jakże gorzkiem jest zadaniem bronić czegoś, coby się uwielbiać pragnęło, tłómaczyć tam, gdzieby się uczcić chciało! Tem większa duma napełniać może pierś przyjaciela, kiedy wspominać przyjdzie żywot niezamącony bolesnemi dysonansami, sprzecznościami wymagającemi pobłażania, pomyłkami niewytłómaczonemi, ostatecznościami godnemi ubolewania. Tem milej mówić o jednym z tych, co życiem dowiedli, że nietylko naturom biernym, nie wrażliwym na żaden urok, nie znającym złudzeń ani zwodniczych obrazów fantazji, stosujących się ściśle do praw szanownych i szanowanych, danem jest wznieść się do pogody ducha, jakiej nic zamącić nie może. Tem droższem jest czyste wspomnienie Chopina dla przyjaciół i artystów, których na drodze życia spotkał, dla tych, których sobie dziełami zjednał a także dla następców jego; usilnem ich staraniem być powinno stać się godnymi mistrza.

Niezwykły charakter Chopina zdradzał we wszystkich swoich objawach najgłębszą delikatność odczucia, a jednak trudno byłoby znaleźć usposobienie zawierające tyle szorstkiego dziwactwa i nieznośnych nieraz błędów, zaś słabe i chorowite ciało trawiły gwałtowne uczucia i gorąca wyobraźnia. Dotkliwych cierpień, wynikających z tych sprzeczności nikt nie byłby w stanie zmierzyć; tajemnicę ich dla siebie samego zachował, ukazując światu niezmienną pogodę dumnej rezygnacji.

Delikatność jego ustroju i serca miała w sobie coś niemal kobiecego. Wstrzymywany brakiem sił od gorączkowej areny dążeń życiowych, przejęty wstrętem dla bezużytecznego rojowiska, gdzie kilka pszczół obdziela tłumy szerszeni, stworzył sobie komórkę na uboczu, zdala od dróg utartych i zbyt uczęszczanych. Dnie miał wypełnione lekcjami, udzielanemi sumiennie i chętnie, prostoty życia nie przerywały nadzwyczajne wypadki, nagłe zmiany, ani zawiłe wydarzenia, pomimo, że wszystko przemawiało za tem, że dziać się powinno przeciwnie. Jedynie ważne były wrażenia i uczucia własne, na to, co się na zewnątrz działo, nie zwracał uwagi. Serce wezbrane znajdowało upust w kom-

pozycjach, przelewało w nie tęsknoty niewypowiedziane i niewysłowione żale, tak jak dusze pobożne co pogrążają się w modlitwie, i dźwiękami wyrażało to, co one na klęczkach szeptają: tajemnice bólu i namiętności, które bez słów zrozumieć można, bo żadne słowo nie jest w stanie ich wyrazić.

Unikając krętych dróg, wybryków i rozdrabniania się, utrzymał Chopin linję życia czystą i prostą. Nie wmięszał się do żadnego działania, nie brał udziału w żadnym dramacie, nic nie zawiązał i nic nie rozwiązał, nie wywarł rozstrzygającego wpływu na niczyje istnienie. Wola nie kierowała się żadnem pragnieniem, żadnego umysłu przewagą swojego nie zgnębił, żadnego serca samowładnie nie ogarnął, nie położył zdobywczej ręki na żadnem istnieniu, niczego nie szukał, zanadto dumny, aby prosić. Można było powiedzieć o nim podobnie jak o Tassie:

„Brama assai, poco spera, nulla chiede". Uchylał się od wszelkich więzów, stosunków lub przyjaźni grożących wciągnięciem do światowej sławy; zawsze gotów do oddania wszystkiego, samego siebie zazdrośnie strzegł. Może czuł jak wyłączne poświęcenie i bezwarunkowe oddanie się mógł wywołać, zrozumieć i podzielić. Może sądził dumnie, że miłość i przyjaźń, o ile nie są wszystkiem, nie są niczem, a może więcej, by go kosztowało, odczuwać je gorąco, aniżeli nigdy ich nie zaznać i widzieć w nich na zawsze niedościgniony ideał! Są to przypuszczenia, czy tak rzeczywiście było, nikt odgadnąć nie może, bo nigdy o miłości ani o przyjaźni nie mówił. W przeciwieństwie do tych, co żądają więcej niż im się należy, mało wymagał a do świętego przybytku jego duszy nawet najbliżsi dostępu nie mieli.

W przestawaniu z ludźmi i rozmowie zdawał się zajmować wyłącznie tem, co drugich dotyczyło, pozostawiał każdego w zakresie własnej osobistości, nie starając się go do siebie przyciągnąć. Jeżeli czasu swego skąpo udzielał, to z tego, co oddawał, nic już dla siebie nie zatrzymywał. O czemby śnił, czegoby pragnął, coby chciał i zdobył gdyby smukła, biała ręka umiała łączyć złote struny liry z mosiężnemi, o to nikt nie pytał ani nie myślał w jego obecności. Niemożliwem było trzeźwo się nad nim zastanowić, taki wywierał urok, a indywidualność jego nie zachęcała do podstępnych badań i ciekawych poszukiwań. Mimo to prowadząc rozmowę, omijał zręcznie przedmioty głębsze, sprowadzał ją do spraw codziennych i nie pozwalał jej zatoczyć szerszych kręgów w obawie, aby jego nie objęła.

Powierzchowność nadzwyczaj harmonijna zdawała się nie potrzebować żadnych komentarzy. Spojrzenie niebieskich

oczu raczej bystre było, niż marzące, uśmiech łagodny nigdy nie stawał się gorzkim, cera miała przeźroczystą delikatność, faliste jasne włosy otaczały twarz, którą zdobił zgrabny nos. Nie bardzo wysoki, szczupły, ruchy miał szybkie i wdzięczne, dźwięk głosu robił wrażenie cokolwiek przytłumionego, czasem nawet stawał się bardzo cichym, całą postawę cechowała wrodzona wykwintność. Widok jego przywodził na myśl powój kołyszący na wiotkich łodygach cudnie zabarwione kielichy, z tak cienkiej utworzone tkanki, że za najlżejszem dotknięciem rozedrzeć się mogą.

W stosunkach towarzyskich okazywał zawsze równą wesołość, właściwą osobom, które nie mają zmartwień, bo niczego nie oczekują. Umysł skłonny do złośliwości chwytał w lot śmieszności, które odtwarzał miną i ruchami z niewyczerpaną werwą. Z niezwykłą trafnością naśladował w zabawnych improwizacjach różnych wirtuozów, ich sposób grania i wyraz twarzy, zarysowując w jednej chwili obraz danego osobnika. Rysy jego zmieniały się wtedy do niepoznania, ale nawet w naśladowaniu brzydoty i cudactwa nie zatracał wrodzonego wdzięku, tak jak nigdy nie przekraczał granic dobrego smaku i nawet w chwili najpoufniejszej wesołości wystrzegał się niezręcznego słowa lub zbytecznej żywości.

Już przez to samo, że był Polakiem, nie brakło mu dowcipu, który zaostrzał jeszcze, przestając z Berliozem, Hillerem i innemi znakomitościami. Dla ludzi, którzy chcieli talent jego niezgrabnie wykorzystać, miał zawsze gotową odpowiedź. Opowiadano sobie ogólnie w Paryżu powiedzenie jego, kiedy po kolacji, na którą został do pewnego domu zaproszony, wskazano mu otwarty fortepian. Zrazu odmówił grzecznie prośbom o zagranie, aż znudzony nalegaganiem, dodał głosem przyciszonym, kładąc nacisk na słowa: „Ależ panie, ja nic prawie nie jadłem". Tego rodzaju objawy humoru były jednak raczej nabyte, aniżeli naturalne; umiał odbić pchnięcie i uderzyć, ale z chwilą rozbrojenia przeciwnika rzucał broń i zapominał o wszystkiem.

Przez wykluczanie rozmów, których on sam mógłby się stać przedmiotem, przez nieustanne ukrywanie własnych uczuć pozostawiał po sobie najmilsze wrażenie, bo przynosił tylko przyjemność i swobodę, nie obarczając nikogo smutnemi zwierzeniami, reakcją nieuniknioną w usposobieniach, o których można powiedzieć: Ubi mel, ibi fel. Wprawdzie świat z pewnym należnym szacunkiem odnosi się do tych reakcji, jest niemi zaciekawiony, a nieraz nawet je podziwia, nie przypadają mu jednak do smaku, woli więc trzymać się od nich zdaleka, gotów do podzielania ich wzruszeń,

jak i do zupełnego pominięcia. Obecność Chopina była zawsze pożądaną. Nie chcąc, aby go obgadywano, nie mówiąc nigdy o sobie, usuwał się całkowicie na bok, zajmował usilnie wszystkiem, co tylko jego nie dotyczyło, a osobistość swoją czynił niedostępną pod powierzchnią gładką i ślizką, na której niemożliwem było kroku zrobić.

Zdarzyło nam się kilka razy widzieć go głęboko wzruszonym, kiedy zbladła twarz nabierała trupich odcieni, ale nawet wtedy nie tracił panowania nad sobą i jak zwykle skąpy w słowa, po chwili skupienia zachowaniem zadawał kłam wrażeniu, z którem się zdradził. W tem natychmiastowem odzyskaniu swobody, objawiała się silna wola obejmująca zarówno potężnie moc ducha i słabość ciała.

Takie ciągłe panowanie nad gwałtownością charakteru, podobnem było do smutnej wyższości tych kobiet, które znając daremność wybuchów, szukają siły w odosobnieniu i skrytości, starannie ukrywając tajemnicę uniesień.

Chopin umiał wspaniałomyślnie przebaczać i nie chował w sercu żalu do tych, co go obrazili, lecz każda uraza tak głęboko w duszę mu sięgała, że pozostawała tam długo, sprawiając ból dotkliwy, nawet wtedy jeszcze, kiedy już pamięć jej przyczyn nie ogarniała. Mimo tego doszedł przez ustawiczne poddawanie uczuć temu „co musiało być, aby było dobrze", do pewnego rodzaju wdzięczności względem przyjaciół, choć nieraz w najlepszej chęci ranili jego wrażliwość. A jednak najciężej znosić właśnie takie błędy niezręczności usposobieniom nerwowym, skazanym na ciągłe powściąganie swej gwałtowności i trawione skutkiem tego przez głuche rozdrażnienie, o którem możnaby mylnie sądzić, że istnieje bez powodu, bo nie mści się na tem, co je wywołało. Chopin posiadał w tak wysokim stopniu poczucie obowiązków światowości, że nie znał chyba pokusy zejścia z drogi przez nie wyznaczonej, nigdy też nie dał odczuć osobnikom silniejszym i brutalnym, z którymi zmuszony był wchodzić w styczność, przykrość jaką mu przystawanie z niemi sprawiało.

Powściągliwość w rozmowie stosował również do przedmiotów związanych z fanatyzmem z przekonań i stąd fałszywe o nim wnioski, wysnute z braku tego, czego z powodu ciasnego zakresu działalności dokonać nie mógł. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek wspominał o Polsce, o jej przeszłości i przyszłości, o dotyczących jej zagadnieniach dziejowych. Gorącą miłość jaką dla niej odczuwał nie była zaprawiona nienawiścią. Płakał z uciemiężonymi, śpiewał o ukochaniu swojem, bez filipik, bez wycieczek w dziedzinę akcji dyplomatycznej lub wojennej, prowadzących do dążeń rewolu-

cyjnych przeciwnych jego naturze. Polacy widząc, jak coraz bardziej słabła nadzieja wstrząśnięcia sławną „równowagą europejską", opartą na podziale ich ojczyzny, byli przekonani, że świat powstanie przeciw zbrodni, jaką na nich dokonano. Jak dalece mieli słuszność, przyszłość dopiero okazać mogła, a Chopin nie przewidując co się stanie, odruchowo odrzucał nadzieje, dające mu jako sprzymierzeńców ludzi i rzeczy mających być tylko przyczynami.

Jeżeli czasem brał udział w rozmowie o wydarzeniach ogólnie we Francji omawianych, o ideach ostro atakowanych lub gorąco bronionych, to zadowalniał się krytyką, nie trudząc się wypowiadaniem poglądów nowych. Zniewolony do utrzymywania stosunków ze znakomitościami swego czasu, ograniczał je do uprzejmej obojętności, zachowując zupełną niezawisłość rządu. Bywał nieraz świadkiem dysput, do których nawet słówka nie wtrącał, mierząc pokój krokiem nieraz przerywanym, na co jednak nikt uwagi nie zwracał, oprócz gości nowych, którzy obserwując go, widzieli, jak się wzdrygał nerwowo, słysząc jakąś niedorzeczność. Przyjaciele jego byli zdziwieni, gdy im się na to uwagę zwracało, tak dalece nie zdawali sobie sprawy, że on obok nich a nie wraz z niemi żyje, nie udzielając im nic ze swego lepszego „ja" i nie zawsze biorąc, to co mu w swem mniemaniu dawali.

Widzieliśmy go nieraz jak się usuwał w milczeniu od dysput żywych, nawet porywających, kiedy zapomniano o nim, my zaś zamiast słuchać, śledziliśmy grę jego twarzy. Stawała się ponurą w miarę jak z rosnącą zaciekłością roztrząsano zagadnienia społeczne pierwszej wagi tak jak gdyby los życia i śmierci w tejże chwili miał się rozstrzygnąć. Zdawało się, że odczuwał fizyczne cierpienia, kiedy z całą powagą mówiono od rzeczy i nagromadzano stosy argumentów pustych i fałszywych. Raziło go to jak szereg dysonansów, lub muzyczna kakofonja.

„Il mondo va da se" mówił sobie widać w duszy, kiedy odczuwał ochotę wtrącenia swego zdania a może żal mu było odrywać się od ukochanej liry. Czasem ogarniał go smutek i nastrój marzący. Był wtedy jak podróżny, który stojąc na pokładzie okrętu miotanego burzą, rozgląda się po widnokręgu, błądzi wzrokiem po gwiazdach i pogrążony we wspomnieniu dalekiej ojczyzny, widzi wprawdzie manewry załogi, lecz sam niema dość siły do uchwycenia zbawczej liny...

Bystry rozsądek przekonał go wcześnie o zupełnej jałowości rozpraw politycznych, filozoficznych i religijnych, szybko też doszedł do wprowadzenia w czyn maksymy

jednego z wybitnych ludzi, markiza Juljusza de Noailles, który lubiał powtarzać w swej zgorzkniałej, starczej mądrości, gromadzącej się dokoła niego młodzieży, kiedy zaczynała się wdawać w zbyt ożywioną wymianę zdań: „Niebawem przekonacie się tak jak ja, że dziś już z nikim, o niczem mówić nie można".

Demokracja była w oczach jego nagromadzeniem różnorodnych żywiołów silnych a zanadto niespokojnych, aby mogła mu być sympatyczną. Już dwadzieścia lat temu porównywano te objawy kwestji społecznej z najazdem barbarzyńców a Chopin należał do rzędu tych, co truchleli na myśl o tem porównaniu. Czy można było spodziewać się od przywódców stojących jak Attyla na czele nowoczesnych Hunnów, ocalenia Rzymu złączonego losem ściśle z Europą? Wątpił czy uda się uratować cywilizację chrześcijańską a równocześnie europejską, zachować od zniszczenia sztukę, jej dzieła i zamiłowania, całe to życie wytworne, miękkie, wyrafinowane, które Horacy opiewał. Pozostając na uboczu śledził bacznie wypadki i nieraz z trafnością sądu, jakiej by nikt u niego nie przypuścił, przepowiadał rzeczy całkiem nieoczekiwane, nawet dla ludzi najlepiej powiadomionych. Jeżeli się kiedy ze zdaniem swojem zdradził, nie miał zwyczaju rozwijać go, często więc przebrzmiało niezauważone, aż je fakta sprawdzały.

Pod jednym tylko względem odstępował od zwykłego milczenia i przestawał być neutralnym, a to wtedy, kiedy chodziło o sztukę. W poczuciu swej powagi wielkiego artysty, nie wstrzymywał się nigdy od wypowiadania sądu w sprawach jej dotyczących i nie przestawał działać wpływem i zasadami w tej dziedzinie, której zagadnienia zawsze z właściwej strony ująć potrafił. W szczególności podczas zaciętego sporu romantyków z klasykami, zabierał głos, namiętnie stając po stronie tych pierwszych, pod sztandarem Mozarta. Nieśmiertelny twórca Requiem, symfonji zwanej Jupitera i innych, był według niego jednym z pierwszych, którzy otwarli dla muzyki nowe, nieznane horyzonty.

W niedługim czasi po przybyciu Chopina do Paryża, utworzyły się zarówno w muzyce jak i w literaturze, nowe szkoły, której uczniowie głośno zaczęli zrzucać jarzmo dawnych formuł. Wzburzenie pierwszych lat rewolucji lipcowej przeniosło się z całą siłą na zagadnienia dotyczące literatury i sztuki, które zaprzątały wszystkie umysły. Romantyzm był hasłem dnia, walczono za nim lub przeciwko. Nie było możliwości pojednania między zwolennikami starego sposobu a wyznawcami nowego, według którego artysta miał prawo zastosować formę do myśli swojej lub stwarzać nową,

w miarę jak dawna nie odpowiadała uczuciom odmiennego rodzaju. Jedni wierząc niezachwianie w istnienie praw ustalonych, których doskonałość jest wyrazem bezwzględnego piękna, sądzili z tego punktu widzenia każde dzieło sztuki a twierdząc, że wielcy mistrzowie dosięgli najwyższego stopnia udoskonalenia, nie pozostawiali ich następcom nic, prócz nadziei zbliżenia się do nich przez naśladownictwo, które nigdy nie może się podnieść do poziomu samoistnej twórczości. Drudzy wątpili, aby piękno mogło być ograniczone stałą formą, a różnorodność stylów stanowiła w ich mniemaniu jakoby namioty rozbijane na drodze do ideału, przestanki chwilowe, z epoki na epokę przybytek genjusza, które następcy jego dążąc naprzód omijać powinni. Jedni usiłowali wtłoczyć w symetryczne i zawsze jednakowe ramy, natchnienia różnych czasów i usposobień, drudzy żądali dla każdego z osobna prawa stwarzania własnego języka i sposobu wyrażania się, nie uznając innych reguł prócz tych, które wypływają ze ścisłej zgody formy z uczuciem.

Chopin widział jasno, że istniejące wzory nie były mimo całej swej wspaniałości ostatniem słowem uczuć i stosownych form. O doskonałość tej ostatniej dbał o tyle tylko, o ile uczucie tego wymagało, wiedząc dobrze, że forma niedoskonała przyćmiewa jak nieprzeźroczysta zasłona, blask promieni padających z wewnątrz. Tym sposobem poddawał techniczną stronę tworzenia natchnieniu, pozostawiając genjuszowi ukształtowanie formy stosownie do wymagań treści. Klasycznym swym przeciwnikom czynił zarzut, że skazują natchnienie na męczarnie Prokustowego łoża, nie chcąc uznać istnienia uczuć, których niepodobna wyrażać w pewnej z góry oznaczonej formie, że pozbawiają sztukę dzieł, jakie mogłyby obdarzyć ją uczuciami nowemi w szacie nowych form, czerpanych w stopniowym rozwoju umysłu i ducha ludzkiego.

Chopin żądał prawa bytu dla wszystkiego co piękne, podziwiając bogactwo rozmaitości na równi z doskonałą jednością. Nie chciał, aby wieża gotycka przygniotła fronton grecki, aby wdzięczna architektura włoska była przyćmioną zbytkowną fantazją maurytańskich budowli. Pragnął używać rozkoszy, którą mu dawało zarówno dzieła Fidjasza, jak Michała Anioła, taki „Sakrament“ Poussina jak i „Dantejska łódź“ Delacroix, „Improperia“ Palestriny i „Królowa Mab“ Berlioza. Ten ostatni był najzdolniejszym i najdzielniejszych przedstawicielem nowej szkoły jednoczącej tych co pragnęli, aby płomień genjuszu obrócił w popiół spróchniałe wiązania starych budowli. Chopin zupełnie do nich przystąpił i usilnie pracował nad wyzwoleniem z pod służalczych formuł starego stylu, nad usunięciem szarlatanizmu, który mógł na miejsce dawnych nadużyć wprowadzić nowe, może nawet gorsze, bo wybujałość czasem bardziej razi od jednostajności. Nie dawały mu zadowolenia Nokturny Fielda, sonaty Dusseka, hałaśliwa i ozdobna uczuciowość Kalkbrennera, chciał znaleźć coś innego, odmiennego od słodkich mizdrzących się tonów jednych i rozwichrzonej maniery drugich.

Przez kilka lat trwania walki romantyzmu, z której wyszła niejedna zwycięska próba, zachował Chopin w całej pełni upodobania swoje i odrazy. Nie wszedł w żadne układy z tymi, co według jego zdania nie dość godnie przedstawiali postęp, lub niedość szczerze byli mu oddani, dbając raczej o wyzyskiwanie sztuki na korzyść rzemiosła, goniąc za przelotnym rozgłosem i oklaskami kapryśnego tłumu. Zrywał dawniej nawiązane stosunki, o ile się przekonywał, że go zatrzymują u brzegu przestarzałymi łańcuchy, natomiast uparcie odmawiał zawierania nowych przyjaźni z młodymi artystami cieszącymi się przesadnem powodzeniem. Nie był poprostu w stanie wypowiedzieć słówka pochwały o czemś, co nie było prawdziwie cenną zdobyczą dla sztuki i nie wypływało z poważnego pojmowania wzniosłego zadania artysty.

Własna bezinteresowność była mu ostoją i mocą. Pragnąc sztuki tylko dla niej samej, tak jakby dobrze czynił dla miłości samego dobra, był wyższym ponad wszystko. Nie uznawał i nie żądał wzajemnego oszczędzania się w walce, ani ustępstw czynionych zwykle na rachunek przywódcy, które wprowadzały w zamęt współzawodnictwa i upadków, dyplomatyczne układy, będące nieraz powodem zupełnego utracenia skrupułów. Nie godził się nigdy na popieranie dzieł sztuczkami, które miały im dopomóc do podbicia ogółu, twierdząc, że posiada dość silne poczucie ich wartości, aby mieć pewność, że same, własnemi zaletami, potrafią uzyskać odpowiednie uznanie; nie zależało mu wcale na tem, aby takowe ułatwiać lub przyśpieszać.

Zapatrywanie się z pewnego wyłącznego punktu widzenia na sztukę, na uczucia, których wyrazem być powinna, musiało się odbić na upodobaniach Chopina. W arcydziełach sztuki i wzniosłych wzorach wybierał to, co było odpowiedniem jego naturze, a niezwykle pewny sąd chronił go od małostkowej stronniczości. Najdoskonalsza piękność i największa zasługa nie mogły wywrzeć na nim wrażenia, o ile czemkolwiek raziły jego poetyczne pojęcia. Jakkolwiek wielką oddawał cześć dziełom Beethovena, budowa ich wydawała mu się zanadto atletyczną, tony zbyt grzmiące, namiętn-

ność za bliską żywiołu, lwia moc niektórych fraz zanadto istotną. Anielskie pienia i rafaelowskie piękności pojawiające się obok potężnych pomysłów tego genjuszu sprawiały mu niemal przykrość w tak rażącej sprzeczności.

Pomimo czaru jaki przyznawał kilku melodjom Schuberta, nie lubiał słuchać tych, w których ucho niemile odczuwało ostre zarysy, gdzie groza boleści była nieledwie że dotykalną. Melodramat był dla niego zarówno w życiu, w muzyce i w literaturze, męczarnią; odpychał frenetyczne właściwości romantyzmu, nie znosił ogłuszających efektów i gorączkowych wykroczeń. „Lubiał Szekspira lecz nie bez zastrzeżeń; znajdował charaktery zanadto żywcem wzięte, mowę ich zbyt prawdziwą. Wolał syntezy epiczne i liryczne, pozostawiające w cieniu nędzne szczegóły ludzkości. Dlatego też mało mówił i wcale nie słuchał, chcąc wyrażać myśli swoje i poznawać cudze dopiero wtedy, kiedy osiągną pewien stopień udoskonalenia“.*)

Usposobienie to nieustannie opanowane, pełne delikatnej skrytości, musiało odczuwać jako bezwstyd wypowiadanie wszystkiego, co się w duszy dzieje. Zdaje się, że gdyby miał otwarcie wyrazić swe zdanie w tej sprawie, wyznałby, że według niego wyrażanie uczuć jest dozwolonem tylko pod tym warunkiem, że lepsza ich cząstka pozostanie ukrytą. Jeżeli to co w sztuce zwą „klasycznością“ narzucało mu więzy metodyczne, bronił się przed niemi i nie dawał się zamknąć jak w klatce w granicach sympatji, chcąc swobodnie wzlatywać pod niebiosa, śpiewać tam jak skowronek bujający pod lazurowym stropem i nigdy nie być zmuszonym do zniżenia lotu. Nie chciał się wdzierać w odmęty puszczy, dla posłuchania rozlegającego się tam życia i groźnych pomruków, ani zwiedzać przerażające bezmiarem pustynie, tylko wznieść się w obłoki jak rajski ptak, który zwieszony na skrzydłach, kołysany powiewem wiatru błogo usypia.

Z pomiędzy kompozytorów fortepianowych największą jego sympatją cieszył się Hummel. Muzyki włoskiej, tkliwej, melodyjnej, prostej i niezbyt mądrej nie lubiał, na równi z pierwotną siłą niemieckich utworów. Co do Schuberta powiedział pewnego razu, że „wzniosłe idee bywają obniżane o ile po nich następują myśli pospolite i trywialne“. Mozart był w jego oczach wcieleniem ideału; cenił w nim to, co inni za błąd uważali i co wywołało zarzut jaki mu ojciec po przedstawieniu „Idomeneusa“ uczynił: „źle zrobiłeś, nie wkładając w to nic dla oślich oczu“. Udzie-

*) Pani Sand „Lucrezia Floriani“.

lała się Chopinowi wesołość Papagena, tajemnicze przejścia miłosne Tamina zaprzątały mu myśli. Zerlina i Mazetto bawili go wyrafinowaną prostotą, rozumiał dobrze chęć zemsty donny Anny. Pomimo tego przeczulenia i nieprzezwyciężona odraza do komunałów, kazała mu wynajdywać nawet w arcydziele tej miary co „Don Juan“ ustępy, które wolałby w niem nie widzieć. Odkrycia takie napawały go smutkiem, nie wpływając na zmniejszenie kultu dla Mozarta; mógł też z czasem zapomnieć o tem, ale pogodzić się nigdy! Czy nie wypływało to z wrodzonej wyższości, mimowolnej a nieubłaganej, której nic do pobłaźliwości zniewolić nie mogło? Co najwyżej mogła zachować obojętność wobec tego, co było dla niej niemiłem lub napawało ją odrazą zakrawającą na idjosynkrazję.

Chopin dawał naszym ówczesnym usiłowaniom i walkom, pełnym wahania i niepewności, przesady i błędów, znajdującym więcej „mędrców chwiejących głowami“ niż otwartych przeciwników, oparcie niezwykle stałych przekonań, niezmiernie szlachetnego postępowania, stałości charakteru nie ulegającej pokusom ani znużeniu, oraz potężną pomoc cennych dzieł przynoszących chlubę sprawie. Śmiałości jego towarzyszyło tyle wdzięku, umiarkowania i wiedzy, że przebaczano mu ze szczerym podziwem, pokładanie zaufania wyłącznie w samym sobie. Staranne wykształcenie jakie odebrał, młodość rozważnie spędzona, kult dla klasycznej piękności jaki weń zawczasu wpajano, uchroniły go od niepewnych prób i połowicznych powodzeń, będących udziałem niejednego ze stronników nowych idei. Pilną cierpliwością w opracowaniu i wykańczaniu tworów, stwarzał sobie jakoby tarczę przed zatrutemi strzałami krytyki, zwykłej walczyć i zwyciężać łatwym sposobem wyszukiwania omyłek i przypadkowego zaniedbania. Przyzwyczajony wcześnie do wypełniania wymagań reguły, stworzył piękne dzieła w najściślejszych jej granicach, — o ile zaś je przekraczał czynił to z głębokim namysłem.

Jeżeli szedł naprzód, to w imię zasady, nie dając się unieść przesadzie ani do układów skusić, porzucając, gdy zachodziła tego potrzeba, teorję dla wyników. Przejęty troską o doskonałość dzieła, patrzył obojętnie na sprzeczki szkół, dzięki czemu unikał osobistych zawiści i niemiłej nieraz ugody a kiedy z chwilą zwycięstwa idei zmniejszała się konieczność działania na jej korzyść, nie starał się zająć naczelnego stanowiska w jakiemkolwiek stronnictwie. Jeżeli już okoliczności go do tego zmusiły, dawał dowód przekonań bezwzględnie stałych, w rodzaju tych, które się, wiedząc o ich istnieniu, rzadko spotyka. Ale i w tym wypadku jak

tylko widział, że liczba uzyskanych zwolenników jest dość duża, aby mogli zapanować i wywrzeć wpływ rozstrzygający na przyszłość, wycofywał się z walki, nie chcąc się mieszać w utarczki mniej potrzebne dla sprawy, aniżeli pożądane przez ludzi, którzy lubią się bić, a szczególniej bić, narażając się na pobicie. Tak szlachetnie pojmował dowództwo, że w żadnym wypadku nie ścigał tylnych straży rozbitych zastępów przeciwnika, postępując jak wspaniałomyślny książę, któremu wystarcza osiągnięcie bezpieczeństwa dla swojej sprawy.

Bardziej nowoczesny i prosty od mistrzów średniowiecza posiadał Chopin w tym samym stopniu głęboki kult dla sztuki. Taksamo jak dla nich była dla niego pięknem, świętem nawet powołaniem, tak jak oni, nosił dumnie jej piętno i spełniał obrzędy z pobożnem namaszczeniem. Uczucie to objawiło się przed jego śmiercią życzeniem, które trudno zrozumieć, nie znając staropolskich obyczajów, nakazujących umierającemu, dziś jeszcze, choć już coraz rzadziej, wybór ubrania, w jakiem chce być pochowanym i które zawczasu miało być przygotowane.*) W ten sposób wyrażano po raz ostatni najdroższe i najskrytsze pragnienia. Zdarzało się, że osoby światowe wybierały strój zakonny, dygnitarze chcieli mieć ze sobą lub odrzucali oznaki piastowanych godności, zależnie od wspomnień przykrych lub wspaniałych, jakie wywoływały. Chopin, który najrzadziej ze wszystkich współczesnych artystów występował publicznie, jednakowoż pragnął być złożonym do grobu w ubraniu, jakie nosił na koncertach. Gorące uwielbienie dla sztuki było zapewne pobudką tej jego ostatniej woli, kiedy spełniwszy pobożnie obowiązki chrześcijanina, porzucał na ziemi to, czego nie mógł zabrać ze sobą do niebios. Miłość dla sztuki i wiarę w nią związał na długo przed zgonem z nieśmiertelnością, a w chwili, kiedy ciało miało spocząć w trumnie, chciał raz jeszcze dać dowód umiłowania, któremu życie całe poświęcił. Skonał wierny samemu sobie, przejęty niezmierną czcią dla mistycznej wielkości i cudownych objawień sztuki.

Odsuwając się poniekąd od wiru towarzyskiego, zachowywał Chopin całą swą serdeczność i troskliwość dla rodziny, przyjaciół młodości i rodaków. Utrzymywał starannie częste z niemi stosunki a szczególną miłością darzył

*) Autor „Adolfa i Julji" (romansu na wzór Nowej Heloizy, mającego swego czasu duże powodzenie), którego poznałem w czasie mej bytności na Wołyniu, jako 80-letniego starca, posiadał trumnę sporządzoną, stosownie do powyżej wymienionego zwyczaju i umieszczoną od lat trzydziestu u wejścia do jego pokoju.

siostrę swą Ludwikę; pewne podobieństwo sposobu myślenia i popędów uczucia przyczyniało się jeszcze do większego zbliżenia. Odbyła kilkakrotnie podróż z Warszawy do Paryża, aby się z bratem widzieć a wtedy, kiedy już dogorywał spędziła tam trzy miesiące, otaczając go najczulszą opieką.

W stosunkach z rodziną rozwijał Chopin ujmujący wdzięk. Nie wystarczała mu wymiana listów, lecz korzystając ze stałego pobytu w Paryżu, wymyślał tysiączne dla nich niespodzianki w postaci nowości i miłych drobnostek. Przesyłał ich mnóstwo do Warszawy, wyszukując starannie coby tam mogło przyjemność sprawić. Zależało mu na tem, aby rzeczy te zachowywano, niejako w zastępstwie jego obecności, ze swej strony zaś wysoko cenił każdą oznakę czułości z ich strony. Otrzymywanie listów i dowodów pamięci od bliskich mu osób, sprawiały mu radość widoczną mimo że się nią z nikim nie dzielił. Upominki miały w jego oczach tak wysoką wartość, że nie pozwalał ich nikomu używać i przykro mu było, jeżeli ich się ktoś dotykał.

Wszyscy przybywający z Polski mile byli widziani i przyjmowani z otwartemi rękoma, bez względu na to, czy mieli polecające listy. Osobom nieraz zupełnie nieznajomym dozwolonem było, tylko dlatego, że z kraju przyjeżdżały, naruszać porządek dnia, czego z naszej strony nie znosił. Z całem zaparciem się siebie chodził z niemi, oprowadzał po mieście, powracając cierpliwie choćby dwadzieścią razy do tych samych miejsc, aby zaspokoić ich ciekawość, i nie zdradzał przytem nigdy znużenia, jakie mu sprawiać musiała rola przewodnika. Zapraszał na obiad ludzi, o których istnieniu dnia poprzedniego nie wiedział, oszczędzał im drobnych wydatków, pożyczał w razie potrzeby pieniądze. Widać było, że czyni to z rozkoszą, wdzięczny za sposobność mówienia po polsku i oddychania niejako atmosferą ojczyzny. Słuchał chętnie smutnych opowiadań, starał się oderwać myśli swych gości od ponurych obrazów, zagłuszyć krwawe wspomnienia, ukoić żal przepowiednią lepszej przyszłości.

Pisywał często do swoich ale wyłącznie tylko do nich. Jednem z jego dziwactw była odraza do wszelkiego rodzaju korespondencji. Zmuszony czasem do skreślenia słów kilku używał najrozmaitszych wykrętów, byle się od tego uchylić; można było go posądzić o jakiś ślub, który samemu sobie uczynił. Aby uniknąć wysłania kartki wolał nieraz dla odmówienia obiadu lub dania żądanych objaśnień, jechać choćby na drugi koniec Paryża. Większość znajomych nie znała prawie jego pisma; podobno czynił jedyny wyjątek w tej regule na korzyść pięknych rodaczek, za-

mieszkałych w Paryżu, z których niejedna była szczęśliwą właścicielką autografów w języku polskim. To wykroczenie przeciw zasadzie można chyba tylko usprawiedliwić przyjemnością, jaką odczuwał, używając ojczystej mowy, której trafne wyrażenia chętnie cudzoziemcom tłómaczył.

Tak jak wszyscy Słowianie znał Chopin wybornie język francuski a będąc pochodzenia francuskiego tem dokładniej mógł go posiąść. Mimo to zarzucał mu brak dźwięku i chłód i niezbyt wysoko cenił. Podobne przekonanie jest dość rozpowszechnione między Polakami, którzy z wielką łatwością posługują się językiem francuskim i mówią nim między sobą nieraz bieglej niż po polsku. Twierdzą przytem, że tylko we własnej mowie mogą wyrazić tysięczne odcienie uczucia i myśli, bo słowom francuskim brak, zdaniem ich, dostatecznej namiętności, pociągającego wdzięku i odpowiedniej wspaniałości. Jeżeli ich się ktoś obcy pyta o znaczenie wiersza lub pojedynczego słowa wymienionego po polsku, odpowiedzą niechybnie „to jest niemożliwem do przetłómaczenia!“ Z następujących po tem objaśnień widzi się, jakie przeróżne znaczenia i rozliczne odcienie, stosownie do okoliczności, posiada taki wyraz nieprzetłómaczony. Z tych kilku przykładów jakie przytoczyłem i z innych sądzić można, że język polski posiada większą od innych zdolność stwarzania obrazów rzeczy abstrakcyjnych, oraz, że z biegiem rozwoju umożliwił zbliżenie najróżniejszych idei, oświetlając każdy wyraz odblaskiem barwnym, rzucając nań jasność lub cień.

Możnaby powiedzieć, że słowa tej mowy budzą w umyśle dźwięki enharmoniczne lub odpowiadające tercji, które natychmiast ukształcają myśl w akord majorowy lub minorowy. Bogactwo jej słownika ułatwia wybór dźwięku, lecz może także stanowić utrudnienie i któż wie, czy nie należałoby przypisać tak rozpowszechnionego w Polsce używania obcych języków, lenistwu umysłu, który chciałby uniknąć trudu poznania dokładnie języka pełnego niespodzianych głębi i tak ścisłej zwięzłości, że wszelka ogólnikowość w nim razi, a pospolitość niemożliwą jest do zniesienia. Niewyraźne oddźwięki źle określonych uczuć, wymykając się z pod silnych wiązadeł jej gramatyki, myśl musi znaleźć wyraz jasny i silny, aby się nie wydać ubogą i marną. Dzięki temu zapewne posiada literatura polska, mimo stosunkowo małej liczby pisarzy, poważną ilość wiekopomnych dzieł, bo na to, aby ośmielić się używać tego pięknego i bogatego języka trzeba się czuć mistrzem.*)

*) Trudno byłoby zarzucić mowie polskiej brak harmonijności. Twardości języka nie powoduje zbytek spółgłosek lecz ich układ, możnaby nawet powiedzieć, że brak dźwięków mocnych i stale oznaczonych wywołuje bezbarwność lub zimny koloryt. Niemiłe i ostre potrącanie się różnych dźwięków musi ranić ucho delikatne i kulturalne, o ile zaś częste powtarzanie się spółgłosek w harmonijnem połączeniu wzmacnia rytmiczność to znów przewaga samogłosek wywołuje zabarwienie bladawe i jasne wymagające cieniowania. W językach słowiańskich znajduje się naogół mnóstwo spółgłosek, prawie zawsze jednak zgodnych, nawet wtedy, kiedy są raczej uderzające, niż melodyjne. Pełne ich dźwięki posiadają wielkie bogactwo odcieni a rozmaitość w intonacji przyczynia się do rozszerzenia rejestru. Im dalej na Wschód tem wyraźniej występuje ta filologiczna cecha, zaznacza się w języku semickim a także w chińskim, gdzie słowo przybiera różne znaczenia stosownie do tonu, w jakim zostaje wypowiedziane. Niemożliwa do wymówienia dla cudzoziemca spółgłoska „ł“ bynajmniej nie jest sucha ani twarda; sprawia wrażenie dotknięcia wełnianej tkaniny zarazem szorstkiej i miękkiej. Porównanie to można rozciągnąć na ogół wrażenia, jakie wywołuje u obcych. Dużo jest słów polskich, które brzmieniem naśladują wyrażany przedmiot. Charakterystycznym tego przykładem jest słowo „dźwięk“; trudno lepiej oddać wrażenie odniesione przez zmysł słuchu. Wielką pomocą jest znaczna ilość różnych połączeń między spółgłoskami, zmiękczania i stwardniania, samogłoski nosowe. Obok „c“ używa się „ć“, obok „s“ twardego miękkie „ś“, „z“ posiada podobnie jak akord trzy dźwięki: z, ź, ż; „y“ tworzy samogłoskę równie trudną do wymówienia jak „ł“. Dźwięki te nadają mowie kobiet tego rodzaju dziwną śpiewność a nieraz powodują przeciąganie, którego, zachowując się w obcych jękach, zamienia się z wdzięku w błąd. Polki umieją mówić poważnie, jak senatorzy a zaraz potem szczebiotać jak dzieci, kiedy zaś się rozweselą, świergocą tak szybko, że słowa robią się podobne do perełek wychodzących ze słowiczych gardziołków i rozsypując się, wpadają w serce, pozostając tam nieraz w tkliwem przechowaniu. W ustach mężczyzn język polski niema tyle słodyczy i pieszczotliwości; przemawiają z powagą, starannie dobranemi słowami, tak jak nakazuje tracja. Wielka ilość rytmów, miar i rymów zasila poezję, która może dzięki temu malownicze roztaczać obrazy. Porównywano słusznie język polski z rosyjskim, tak jak łaciński z włoskim, może jednak rosyjski bardziej jeszcze jest śpiewny i powłóczysty; w niektórych poezjach Żukowskiego i Puszkina słowa zdają się układać w melodję. Taki „Czarny szal“ lub „Talizman“ wywołują podobne wrażenie jak arioso lub słodkie cantabile.

Wytworność umysłu Chopina objawiała się również w jego życia i zachowaniu, w otaczających go przedmiotach. W mieszkaniu zachowywał wyszukaną, nieledwie zalotną staranność; ozdabiał je kwiatami, które bardzo lubił. Daleki od zbytku, jakim niektóre współczesne znakomitości przeładowywały swe mieszkania, zachowywał pod tym względem jak też co do ubioru i kosztowności granicę wytwornego umiarkowania.

Nie lubiąc dzielić się z nikim, czasem i myślami wolał nieraz od innych towarzystwo kobiet, jako mniej obowiązujące. Zachowując nieskalaną czystość duszy, której życie nie zdołało zamącić, tak jak nie mogło osłabić skłonności uczciwych i dobrych, nie utracił Chopin nigdy młodzień-

czej żywości, dzięki której potrafił godzinami bawić się z dziećmi w ciuciubabkę i pobudzać je opowiadaniem różnych historyjek do szalonego śmiechu, milszego dla ucha niż najsłodszy śpiew ptasząt.

Wszystko to razem sprawiało, że Chopin, żyjąc tak blisko z wybitnemi osobistościami ówczesnego ruchu artystycznego i literackiego, że istnienia ich omal nie zlewały się w jedno, niemniej pozostawał obcym pomiędzy nimi a indywidualność jego z żadną inną w ścisły nie weszła związek. Żaden z Paryżan nie był w stanie zrozumieć tego połączenia najszczytniejszych porywów genjusza z czystością pragnień. W ich mniemaniu wyobraźnia musiała być do białości rozżarzona w ogniu rozpusty i zmysłowości, aby móc przybrać kształty arcydzieła. Tem mniej odczuć mogli tę wrodzoną szlachetność, wytworność i męską czystość, piękną przez swą odruchową pogardę dla pospolitej chęci użycia. Chopin w prostocie ducha nie podejrzywał nawet że to, co zwykł nazywać u niektórych wybrykami genjuszu, było kultem dla bóstwa materjalizmu, przed którego tronem wznosiły się z mosiężnych kadzielnic kłamliwej poezji, bezwstydne nadzieje, chciwe myśli i pragnienia.

Do tego stopania lubiał życie na wsi, że gotów był tam przebywać nawet w niemiłem towarzystwie. Możnaby z tego wnioskowac, że raczej potrafił oderwać uwagę od otaczających go ludzi, ich rozmów i hałaśliwych śmiechów, niż uchronić się od przykrości oddychania ścieśnionem powietrzem, przyzwyczaić się do braku światła i przestrzeni, do prozaicznych miejskich widoków. To co się tam widzi, słyszy i czuje, uderza raczej niż kołysze, rozprasza zamiast skupiać. Chopin boleśnie to odczuwał, ale tak długo, jak obecność jego była potrzebną w gronie znajomych a walka pomiędzy zapatrywaniami literackiemi i artystyczne myśli zaprzątała, nie zdawał sobie sprawy z tego. Dla sztuki mógł chwilowo zapomnieć o przyrodzie; piękno dzieł ludzkich mogły zastąpić cudowne dzieła Stwórcy: lubiał więc Paryż. Jakże szczęśliwym czuł się jednak z chwilą, kiedy mógł go daleko poza sobą zostawić!

Zaledwie przybywał na wieś, widział dokoła siebie ogrody, sady, drzewa i roślinność, stawał się innym zgoła człowiekiem. Wszystko go bawiło, był niewyczerpany w wymyślaniu coraz to nowych rozrywek, ożywiony powietrzem, które go wzmacniało, uradowany upragnioną swobodą. Niestrudzony na przechadzkach, pieszo i końmi, odczuwał żywo piękność widoków, choć je rzadko opisywał i pozornie nie zauważał. Z kilku przypadkowo wypowiedzianych zdań możnaby przypuszczać, że znajdując się wśród pól, łąk

i lasów, które wszędzie jednakowo rozkoszną woń roztaczają miał złudzenie, że jest w ojczyźnie.

Pozatem też chętnie na wsi pracował. Powietrze zdrowe i czyste, odświeżało jego organizm nadwątlony wdychiwaniem dusznych miejskich wyziewów. Kilka najlepszych jego utworów pochodzi z tych letnich wywczasów i zawiera może wspomnienie najmilszych jego chwil.

VI.

Chopin urodził się w Żelazowej Woli, pod Warszawą, w r. 1810. Daty tej nie odnajdywał w pamięci, lecz oznaczał ją zapomocą napisu: „Catalani dziesięcioletniemu Fryderykowi Chopinowi“, umieszczonego na zegarku, który otrzymał w r. 1820 od jednej z wybitnie muzykalnych kobiet. Nic zresztą nadzwyczajnego nie odznaczyło pierwszych lat jego życia, żadne przedwczesne uzdolnienie, ani zapowiedź potężnego rozwinięcia, nie zdradzały przyszłej wielkości. Był dzieckiem wątłem i chorowitem, cała więc miłość rodziców skupiała się w trosce o jego zdrowie. Wskutek tego zapewne nabrał łagodności w obejściu i widząc obawy jakie wzbudzał, starał się je uśpić starannem ukrywaniem wszystkiego, co mu cierpienie sprawiało. Nikt też nie przypuszczał, widząc go zawsze cierpliwym i uśmiechniętym, że umysł ten i serduszko mają swoje tajemnice. Są dusze, które na wstępie do życia, jak hojni podróżni przybywający pomiędzy ubogich pastuszków, niezdolnych należycie ocenić dostojnych gości, obsypują swych gospodarzy darami drobnymi, w stosunku do ich bogactwa, wystarczającymi jednak przy skromnych wymaganiach tych ludzi do uszczęśliwienia ich. Istoty te wyższe dają swemu otoczeniu znacznie więcej niż od niego otrzymać mogą; postępują na pozór wspaniałomyślnie, podczas gdy to, co rozdają, stanowi zaledwie cząstkę ich skarbów i daleko więcej utaiły w sobie.

Jak w miękkiej, wygodnej kołysce wzrósł Chopin na łonie rodziny zgodnej, spokojnej, oddanej pracy, stąd też wyniósł przykłady prostoty, głębokiej wiary i dobrego wychowania, które na zawsze w serdecznej zachował pamięci. Ciche cnoty, pobożne zwyczaje, miłosierdzie i skromność, otaczały go czystą atmosferą, wyobraźnia jego mogła więc pokryć się tym nieskalanym puszkiem, jaki się widuje na roślinach nie wystawionych na kurzawę uczęszczanych gościńców.

Wcześnie, bo już w dziewiątym roku życia zaczął się uczyć muzyki, a nieco później przeszedł pod kierownictwo

gorącego zwolennika Sebastiana Bacha. Żywny, kształcił go przez szereg lat według błędów najsurowszego klasycyzmu. Można śmiało przypuszczać, że rodzina pozwalając mu stosownie do jego woli, na wybór zawodu muzyka, nie żywiła żadnych fantastycznych nadziei. Wpajano mu naukę poważnie i sumiennie, aby został dobrym nauczycielem, a o to czy owoce jego pracy większy lub mniejszy rozgłos zyskają, nikt się nie troszczył. Umieszczono go wkrótce w jednym z pierwszych zakładów wychowawczych w Warszawie, gdzie otrzymał miejsce za poparciem księcia Antoniego Radziwiłła, który nigdy nie odmawiał pomocy młodym talentom, odgadując odrazu bystrem okiem wytwornego artysty i człowieka. Uprawiał sam muzykę i był zdolnym kompozytorem. Co roku wykonuje akademja śpiewu w Berlinie jego „Fausta“, który to utwór posiada przez ścisły związek z duchem epoki, w jakiej pierwsza część poematu powstała, bezwzględną wyższość nad wszystkiem, co w tym przedmiocie próbowano. Przychodząc w pomoc niedostatecznym środkom rodziny Chopina, obdarzył go książę pięknem i starannem wychowaniem. Od pierwszej chwili wstąpienia do szkół aż do ukończenia nauk, ponosił wydatki za niego, używając w tem pośrednictwa Antoniego Kożuchowskiego, który od tego czasu pozostał w stałych stosunkach przyjaźni z Chopinem.

Pozatem zapraszał Radziwiłł młodego artystę na wycieczki i przyjęcia, z których wyniósł wspomnienie licznych miłych chwil spędzonych w wesołem, wykwintnem towarzystwie. Odgrywał tam pewną rolę dowcipem swym i talentem i zachował tkliwie w pamięci obraz niejednej z piękności, jakie się przed jego oczami przesunęły. Szczególniej jedna z nich, zmarła w zaraniu młodości, księżniczka Eliza Radziwiłłówna pozostawiła mu słodkie wrażenie anioła, który na chwilę tylko spoczął na tej ziemi.

Łatwością charakteru i miłem usposobieniem zyskiwał sobie Chopin przyjaźń kolegów; wśród innych nawiązał miłe stosunki z księciem Kalikstem Czetwertyńskim i jego braćmi. Niejedne wakacje i święta spędził w domu ich matki księżnej Idalji Czetwertyńskiej, która uprawiała muzykę z prawdziwem odczuciem i wnet odkryła w Chopinie niepospolity talent. Dzięki niej doznał może po raz pierwszy rozkoszy, jaką daje świadomość, że się jest nietylko słuchanym ale także zrozumianym. Księżna posiadała obok niezgasłej jeszcze urody, umysł żywy, piękne cnoty i liczne zalety duszy. Salon jej był jednym z najbardziej odwiedzanych w Warszawie, Chopin spotykał tam najznakomitsze i najpiękniejsze damy będące ozdobą towarzystwa. Miał

zaszczyt być przedstawionym księżnie Łowickiej przez ks. Czetwertyńską, która go również zapoznała z hr. Zamoyską, ks. Michaliną Radziwiłłową, ks. Teresą Jabłonowską, z wszystkiemi temi czarodziejkami otoczonemi tłumem innych piękności mniej świetnych, choć także pełnych blasku.

Na zebraniach, na których schodziły się jak wróżki na wieczorne pląsy, towarzyszył im nieraz na fortepianie do tańca. Miał wtedy sposobność uchwycić odsłonięte w wirze, tajemnice rozpłomienionych i tkliwych serc; mógł czytać bez trudu w duszach skłaniających się przyjaźnie ku jego młodości. Przekonywał się z jakiej mieszaniny słodkich drożdży i różanego ciasta, pierwiastków zapalnych i anielskich łez, jest urobiony ideał poetyczny kobiet w jego kraju. Wodząc roztargnionemi palcami po fortepianie, dobywając z niego nagle wzruszające akordy, widział jak płyną ukradkiem łzy zakochanych dziewcząt lub opuszczonych młodych kobiet, jak błyszczą zazdrością lub wilgotnieją oczy młodzieńców pragnących wzajemności. A nieraz może się zdarzyło, że jedna z tych czarujących istot zbliżywszy się do niego z prośbą o zagranie skromnego preludjum, opierała główkę rozmarzoną na zgrabnej rączce zdobnej w klejnoty i mową oczu zdradzała wzruszenie serca albo też podbiegały ku niemu gromadką, jak rozbawione rusałki, prosząc o jakiegoś zawrotnie szybkiego walca, ogarniając go siecią wesołości i uśmiechów.

Tam zrozumiał czem jest miłość wogóle a czem jest w Polsce, w sercach gorących i szlachetnych, i poznał czar Polek, ich porywy żywe a jednak umiarkowane, znajdujące wyraz w tych figurach mazura, jakie tylko nawskróś rycerski naród mógł stworzyć. Okiem pełnem podziwu patrzył na dorodną parę pędzącą w rytmie tanecznym przez salę, jak dusze ulatujące na skrzydłach pragnień od jednej gwiazdy do drugiej, lekko potrącając jedną, usuwając inną z drogi jak świecący kamyk... aż kawaler w uniesieniu radości upadał na kolana w środku koła, gdzie skupiały się wszystkie spojrzenia, zatrzymując rączkę swej damy nad głową, jakby do błogosławieństwa. Trzy razy oprowadzał ją dokoła siebie, jakby potrójną koroną chciał otoczyć głowę, ona trzy razy, spojrzeniem, uśmiechem i skinieniem głowy na to się zgadzała, aż wreszcie znużona pochylała swą kibić a kawaler zrywający się kolan, unosił ją prawie w powietrzu i tak w szalonym wirze kończyli taniec.

W późniejszych latach swego zbyt krótkiego żywota grał raz Chopin jednego z mazurów przyjacielowi, który bardziej może odczuwał niż rozumiał, magnetyczne jasnowidzenia wypływające ze wspomnień a kształtujące się w dźwię-

kach. Nagle przerwał, aby mu opisać powyższą figurę taneczną a obracając się znów do fortepianu, wyszeptał w zamyśleniu te wiersze Somuet'a głośnego wówczas poety:

...Kocham cię,
Semido, ku tobie wzlatuje me serce,
W dymie kadzidła lub burzy rozterce".

Zdawało się, że ujrzał jedną z tych wizji minionych dni, które danem jest widzieć tylko tym, co przez krótką chwilę istnienia wpatrywali się w nie całą duszą, jakby na zawsze chcąc je wyryć w pamięci. Łatwo było domyśleć się, że Chopin odnajdywał wzrokiem duszy jakąś piękność uroczą, jak zjawisko, szczupłą i powiewną, o cudnych alabastrowych ramionach i oczach zakrytych długiemi rzęsami, z pod których spływały błękitne fale na głowę klęczącego przed nią młodzieńca, podczas gdy z ust jego wyrywały się westchnienia wznoszące się ku niej: „w dymie kadzidła lub burzy rozterce". Chopin opowiadał chętnie z pozorną niedbałością, ale nie bez ukrytego wzruszenia, towarzyszącego zwykle wspomnieniu pierwszych zachwytów, że zrozumiał wiele uczuć różnych a głębokich, mogły zawierać i wyrażać rytmy i melodje narodowe, w te dni, kiedy widywał na wspaniałych przyjęciach piękne warszawskie damy, strojne w tysiące olśniewań i zalotności, które wabiąc serca ku sobie oślepiały je i unieszczęśliwiały miłością. Zamiast wonnych róż i cudnych cieplarnianych kamelji nosiły wtedy u staników pęki brylantów; jedwabie i gazy złotem haftowane i weneckie koronki zastępowały te przeźroczyste tkaniny do skromniejszego użytku przeznaczone, o których mówili Grecy, że są utkane z powietrza. Wydało mu się tylko, że przy dźwiękach choćby najlepszej orkiestry, mniej szybko przesuwały się po posadzce, uśmiechy były mniej wdzięczne, spojrzenia mniej błyszczące i znużenie szybsze, aniżeli bywało w te skromne wieczory, kiedy zasiadał do fortepianu i wstrząsając niespodzianym prądem zebrane towarzystwo improwizował taniec. Jeżeli potrafił wywołać takie wrażenie, to dzięki posiadaniu hieroglificznej umiejętności dźwięków i dlatego że w melodjach tanecznych, wykwitłych na ojczystej glebie, łatwych do zrozumienia dla wtajemniczonych, umiał powtórzyć namiętne szepty tych serc, które porównać można do kwiatów otoczonych gazem subtelnym i łatwo zapalnym.

W tej przejrzystej atmosferze ujrzały nas jego oczy, ulotne widma, niebiańskie zjawiska! Odgadł rój namiętności brzęczący tam nieustannie, wzruszonem spojrzeniem wodził za niemi, widząc je w każdej chwili gotowe zmierzyć się ze sobą, dręczyć nawzajem, podnosić i ratować, pod pozo-

rami niezakłóconego, szlachetnego, zewnętrznego spokoju. W ten sposób nauczył się poważać wysoko umiarkowane i godne zachowanie, jeżeli idzie w parze z wewnętrzną mocą, niedopuszczającą, aby wykwintność przeszła w przesadę, światowość wyrodziła się w tyranję, dobroć smaku w pedanterję, która często sprawia, że wzruszenia duszy stają się podobne do tych roślin twardych i kruchych, smutnie nazwanych kwiatami z żelaza: flos-ferri.

Zasady dobrego tonu surowo zachowywane w tych sanach, nie służyły do ukrywania zniekształceń umysłu i serca, ale przyczyniały się do uduchowienia zetknięć, uszlachetnienia wzajemnych stosunków, do wysubtelnienia wrażeń. Z tego szlachetnego środowiska wyniósł więc Chopin mniemanie, że zwyczaje towarzyskie zamiast sprowadzać wszystkich do wspólnego mianownika, poskramiają namiętności nie przygniatając ich, pozbawiają je surowości tonów, poniżającego realizmu, zużywającej gwałtowności, nużącego rozpasania, ucząc zwolenników niepodobieństwa jak mają łączyć cnoty, które poznanie zła w duszy zasiewa, z temi co dają zapomnienie własnego „ja“ na korzyść istot ukochanych.*) Umożliwiały tem niepodobne na pozór urzeczywistnienie Ewy „niewinnej a upadłej, dziewicy i kochanki zarazem“.

W miarę jak te pierwsze wrażenia młodości Chopina usuwały się coraz bardziej w dal wspomnienia, zyskiwały jeszcze w jego oczach trzymając go pod urokiem, tembardziej, że sprzeczna rzeczywistość nie osłabiała ich czaru ukrytego gdzieś w głębi wyobraźni. W miarę jak życie płynęło, czasy te cofały się w przeszłość, lecz tem gorętszą pałał miłością do postaci, które wywoływał w pamięci w najróżniejszych obrazach. Doszło wreszcie do tego, że go już nigdy nie opuszczały a obecnością swą wzbudzały coraz głębszą odrazę do brutalnego panowania kaprysu, zbytniej swobody obyczajów, tej zapamiętałej żądzy wychylenia do dna kielicha fantazji, dzikiej gonitwy za wrażeniami, które ogólnie panowały w dziwnie ruchliwem kółku zwanem cyganerją Paryża.

Powracając do okresu, jaki Chopin spędził w pierwszem warszawskiem towarzystwie tak świetnem wówczas, chcemy przytoczyć kilka zdań odnoszących się do jego osobistości, określających go lepiej od innych, w których zdawałoby się widzieć jego podobiznę, gdzie jednak trudno ją odnaleźć chyba w fałszywych zarysach sylwetki, narysowanej na sprężystej tkaninie dwoma sprzecznemi ruchami skośnie wyciągniętej.

*) Lucrezia Floriani.

„Łagodny, wrażliwy, pod każdym względem wytworny, „posiadał jako 15-letni chłopiec wdzięk młodości obok po„wagi wieku dojrzałego. Pozostał delikatny umysłem za„równo jak i ciałem, lecz to niedostateczne fizyczne rozwi„nięcie pozwoliło mu zachować wyjątkową piękność, którą „się usuwało z pod dokładniejszego określenia. Nie była to „postawa butna i męska potomka tej rasy możnowładców, „którzy umieli tylko pić, polować i wojować, lecz także nic „wdzięk zaróżowionego cherubinka. Był czemś w rodzaju „tych idealnych istot, których obrazem przyozdabiała poezja „wieków średnich chrześcijańskie świątynie. Anioł z obliczem „pięknem lecz tęsknem jak u zasmuconej kobiety, o kształ„tach smukłych jak u olimpijskiego boga a całość uwień„czona wyrazem jednocześnie tkliwym i surowym, czystym „i namiętnym.

„Takie były zasadnicze zarysy jego istoty. Trudno o coś „bardziej nieskalanego a równocześnie bardziej ognistego, „niż jego myśli; nie było nic słabszego, wyłączniejszego „i bardziej oddanego jak jego uczucia... Ale nie rozumiał „też nic co nie było niejako równoznaczne z nim samym, „reszta nie istniała dla niego chyba jako przykry sen, od któ„rego uciekał w życie. Stale zatopiony w marzeniach od„pychał rzeczywistość. Dzieckiem będąc nie mógł wziąć do „ręki ostrego narzędzia bez skaleczenia się; jako dojrzały „mężczyzna nie mógł się znaleźć wobec człowieka odmien„nego charakteru, aby się nie urazić tą żyjącą sprzeczno„ścią...

. . . . . .

„Od ustawicznych przeciwieństw chroniło go przyzwy„czajenie dobrowolne i wkrótce głęboko zakorzenione, nie „spostrzegania i nie słuchania wszystkiego, co mu było „niemiłem a nie dotykało jego uczuć osobistych. Kto nie „myślał podobnie jak on, stawał się w jego oczach czemś „w rodzaju ducha, ale przy uprzedzającej jego grzeczności „można było wziąć nieprzezwyciężoną odrazę i zimną po„gardę za uprzejmą życzliwość.

. . . . . .

„Nie było chwili wylania, którejby nie odkupił kilku „godzinami zamknięcia się w sobie. Wewnętrzne przyczyny „tego były zanadto subtelne do uchwycenia ich gołem okiem. „Trzeba było chyba użyć mikroskopu dla czytania w duszy, „którą tak skąpo przenikało światło żyjących...

„Dziwnem jest, że z podobnem usposobieniem mógł „mieć przyjaciół, a jednak ich posiadał i należeli do nich „nietylko życzliwi jego matce, co w nim syna najszlachetniej„szej z kobiet cenili, ale także młodzi ludzie w jego wieku,

„którzy gorąco do niego przywiązani, wzajemnem uczuciem „z jego strony się cieszyli... O przyjaźni wysokie miał po„jęcie i wierzył mocno w wieku pierwszych złudzeń, że za„równo on sam jak i jego przyjaciele, wzrośli mniej wię„cej w podobnych zasadach, trwać będą przy swoich prze„konaniach i nie znajdą się między sobą w zupełnej sprze„czności... Wskutek dobrego wychowania i wrodzonego „wdzięku był tak miłym, że miał dar podobania się nawet „tym, którzy go bliżej nie znali. Pociągający wyraz twarzy „uprzedzał na jego korzyść, delikatność ustroju czyniła go „zajmującym w oczach kobiet, wykształcenie i żywość umy„słu, łagodny i pochlebny sposób prowadzenia rozmowy, „zwracały na niego uwagę ludzi wybitnych. Mniej wyma„gający lubili go za jego wytworną uprzejmość, tembardziej, „że nie pojmowali w szczerej swej dobroduszności, do ja„kiego stopnia wypływała z obowiązku a pozbawiona była „wewnętrznych pobudek.

„Gdyby ci ostatni byli zdolni go przeniknąć, powiedzie„liby, że on raczej daje się kochać niż sam kochać umie, „i mieliby słuszność odnośnie do siebie. Ale jakże mogli „to odgadnąć, kiedy rzadko objawiane przywiązanie tak ży„we bywało, tak głębokie i nie do odrzucenia?...

. . . . . .

„Zachowanie jego w życiu codziennem miało niesłycha„nie dużo uroku, nadawał wszystkim formom grzeczności „niezwykły wdzięk a jeżeli mówił o wdzięczności czynił „to z głębokiem wzruszeniem, którem płacił z lichwiarskim „zyskiem za przysługę. Wyobrażał sobie nieraz, że lada „chwila umrze i w myśli tej przyjmował starannie przy„jaciół, ukrywając przed nimi jak niedługi czas z tego ko„rzystać będzie. Na zewnątrz okazywał wielką odwagę i choć „z młodzieńczą niedbałością nie dopuszczał myśli o bliskim „zgonie, oczekiwał go z pewnego rodzaju gorzką rozkoszą.*)

. . . . . .

Do ówczesnej epoki jego młodości odnieść należy przywiązanie, jakie powziął ku pewnej młodej osobie, która na zawsze dochowała mu uczucia połączonego z gorącem uwielbieniem. Burza, która w gwałtownym podmuchu uniosła Chopina, jak ptaszę w zamyśleniu porwane z gałązki, rozerwała tę pierwszą miłość pozbawiając wygnańca wiernej małżonki oraz słodyczy życia w ojczyźnie. Znalazł wprawdzie sławę o jakiej może nigdy nie zamarzył, ale szczęścia takiego sobie z nią obiecywał nigdy już nie zaznał. Była słodką i piękną, ta jego ukochana, jak jedna z tych świętych dziewic Luini'ego o spojrzeniu pełnem poważnej tkliwości. Po-

*) Lucrezia Floriani.

została spokojną po rozstaniu choć smutną; tem smutniejszą, gdy się przekonała, że nikt prawdziwem przywiązaniem nie osłodził życia temu, którego gotowa była umiłować z przeczystą wyłącznością i poświęcić mu życie, z tem prostem a wzniosłem oddaniem się, co kobietę w anioła zamienia.

Istoty obarczone ciężkiem brzemieniem darów genjuszu i odpowiedzialnością, o której skłonne są zapominać, posiadają może prawo stawiania granic zaparciu się własnej osobistości, nie mogąc troski o własną sławę zaniedbywać dla miłości. Może się jednak zdarzyć, że najwspanialsze dary genjuszu nie potrafią stłumić żalu za boskiem wzruszeniem, jakie daję bezwzględne poświęcenie. Jedynie tylko miłosne oddanie się kobiety, która zatraca całe swe istnienie, wolę zarówno jak nazwisko, w ukochanym mężczyźnie, upoważnić go może do przekonania, kiedy nadejdzie ostatnia chwila jego życia, że prawdziwie dzielił je z nią, dając jej to, czego od nikogo innego otrzymać nie mogła: cześć swego imienia i spokój serca.

Niespodzianie rozłączona z Chopinem, pozostała ta młoda panienka, co miała być a nie została jego narzeczoną, wierną jego pamięci i pamiątkom jakie po nim pozostały. Rodziców jego otoczyła serdecznem staraniem; ojciec Chopina nie chciał innego obrazu syna, choćby najbieglejszego pędzla, jak ten, który narysowała kiedyś w lepszych czasach. Widzieliśmy wiele lat później blade policzki tej zasmuconej kobiety pokrywające się zwolna rumieńcem, jak alabastrowe przeźrocze wobec uderzającego w nie światła, kiedy wpatrzona w ten portret poczuła na sobie spojrzenie któregoś z przyjaciół przybyłego z Paryża.

Ukończywszy nauki szkolne, zaczął Chopin pobierać lekcje harmonji pod kierownictwem profesora Józefa Elsnera, od którego nauczył się dwóch rzeczy najtrudniejszych do nabycia i dlatego rzadko umianych: być wymagającym dla samego siebie i nie zaniedbywać korzyści, jakie się tylko cierpliwością i pracą zdobywa. Po ukończeniu kursu z doskonałym wynikiem został wysłany w podróż dla poznania sławnych mistrzów i pięknych dzieł w doskonałem wykonaniu; w tym celu zatrzymywał się niedługi czas w kilku niemieckich miastach.

Kiedy w r. 1830 opuścił Warszawę dla jednej z tych krótkich wycieczek, wybuchło powstanie listopadowe. Zmuszony pozostać we Wiedniu, wystąpił tam parę razy z koncertem, trafił jednak na chwilę roztargnienia u publiczności wiedeńskiej, zazwyczaj tak bystrej i wrażliwej na wszystkie odcienia wykonania i subtelności myśli i nie wywołał

takiego wrażenia, jakiego miał prawo się spodziewać. Opuścił Wiedeń w zamiarze udania się do Londynu, ale wpierw odwiedził Paryż, gdzie miał niedługo pozostać i nawet na paszporcie kazał zaznaczyć: „w przejeździe przez Paryż".

W późniejszych latach, kiedy zdawał się już ściśle zżyty z Francją, powtarzał nieraz z uśmiechem: „Jestem tu tylko w przejeździe".

Niebawem po przybyciu do Paryża dał dwa koncerty i odrazu zdobył gorący podziw nietylko zgromadzonego towarzystwa, ale i młodych artystów. Pamiętamy dokładnie pierwszy jego występ w salonach Pleyela, kiedy grzmiące oklaski wydały nam się niedostateczną oznaką zapału, jaki powinien był budzić ten talent, który rozpoczynał nową erę w uczuciu poetycznem a w zakresie formy tak szczęśliwe zaprowadził zmiany.

Od rodaków przebywających wtedy w Paryżu doznał najżyczliwszego przyjęcia. Był odrazu poufałym gościem w Hotel Lambert, gdzie stary książę Czartoryski, jego żona i córka zgromadzali dokoła siebie polskich rozbitków wygnanych ostatniemi wypadkami z ojczyzny. Ks. Marcelina Czartoryska stała się jedną z najmilszych jego uczennic, osobą uprzywilejowaną, której przekazywał tajemnice gry i wywoływania magicznych widzeń, jako prawowitej i godnej spadkobierczyni jego wspomnień i nadziei! Bywał także często u hr. Plater, urodzonej z hr. Brzostowskich, zwanej panią kasztelanową. W salonie jej uprawiano z zamiłowaniem muzykę, gdyż w wysokim stopniu posiadała umiejętność zachęcania młodych talentów, obiecujących wzbić się wysoko i utworzyć świetlaną plejadę. Artysta nie był tam wykorzystywany ciekawością jałową i nieraz barbarzyńską, ani ceniony według ilości zaproszeń na obiady i kolacje w arystokratycznych domach; hrabina Plater, jako prawdziwie wielka pani, w dawnem tego słowa znaczeniu, stwarzała błogą atmosferę w gronie wybranych i naprzemian była dla nich czarodziejką, muzą i opiekunką. Utrzymywał miłe stosunki z młodzieżą polską, do której należeli: Plater, Grzymała, Ostrowski, Szembek, Kazimierz Lubomirski, Orda co tak wielkie rokował nadzieje a zaledwie dwadzieścia lat mając, zginął w Algierze.

Odwiedzał gościnny dom pani Komarowej, jej córki, księżny Ludmiły Beauveau i słynnej hrabiny Delfiny Potockiej, której piękność, nieopisany wdzięk i dowcip uczyniły z królową salonów. Widywano ją zawsze spowitą w powiewne szale, w zwoje przezroczystej gazy, co nadawało jej pewien pozór sztuczności lecz sztuka ta była tak rozkoszną a przytem tak pełna wytwornego wdzięku pa-

trycjuszki wyrafinowanej w wyborze powabów, jakiemi raczyła podkreślać wrodzoną wyższość, że trudno było osądzić, co jest bardziej godnem podziwienia: natura czy sztuka. Dźwięczny jej głos, którego z wielkim talentem używała, wabił Chopina czarodziejskiem zaklęciem i w samej chwili śmierci zachwycał jego ucho, łącząc się ze słodkiem pieniem witających go aniołów.

Kółko znajomych powiększało się coraz bardziej, bo każda z rodzin polskich, przyjeżdżając do Paryża, starała się z mistrzem zapoznać, on zaś najchętniej z rodakami przystawał. Przez nich dokładnie był powiadomiony o wszystkiem, co się w ojczyźnie działo i utrzymywał z nią pewnego rodzaju muzyczną korespondencję. W tym celu lubiał, aby mu dawano poezję i najnowsze piosenki przywiezione z Polski, a jeżeli mu się słowa której z nich spodobały, dorabiał do nich własną melodję, która wkrótce rozpowszechniała się w kraju, często pozostając bezimienną. Kiedy ilość tych pieśni wzrosła już znacznie, pomyślał Chopin o zbiorowem ich wydaniu, ale niestety nie zdążył już tego zrobić, pozostały więc rozprószone i nieujęte, jak aromat kwiatów, co rosnąc w ustroniu, upajają swą wonią wędrowca, który przypadkiem swe kroki tam skieruje. Będąc w Polsce mieliśmy sposobność słyszeć kilka melodji jemu przypisywanych i godnych jego talentu, ale któżby dziś się odważył oddzielić w nich natchnienie pojedyncze od zbiorowego?

Polska naogół bogata w talenta, posiada niejeden godny stanąć w szeregu pierwszych znakomitości świata. Jej poeci usiłują teraz, więcej niż kiedykolwiek, rzucać jaskrawe światło na dzieje narodu i chwalebne jego karty, piękność i malowniczość ojczystego kraju i panujące w nim obyczaje.

Chopin zasadniczo od nich się różnił, bo nie kierował się z góry wyznaczonem zadaniem; sztuka jego na pierwsze wejrzenie zdawała się nieodpowiednią dla „poezji narodowej", nie wymagał też od niej więcej aniżeli dać mogła. Zadowolnił się wspominaniem chwały przeszłości i rozumiał, nie biorąc ich pod rozbiór, boleści i łzy chwili obecnej. Nie wysilał się wcale, aby zostać muzykiem polskim, może nawet byłby okazał zdziwienie, słysząc, że go takim nazwano a jednak był wzorem narodowego muzyka.

Nieraz się zdarzy widzieć poetę lub artystę, który streszcza w sobie poczucie poetyczne jakiegoś środowiska a w dziełach swoich odtwarza typy w niem żyjące lub pożądane. Mówiono to o epopei Homera, satyrach Horacego, dramatach Calderona, pastelach Latoura, czemużby więc i muzyka nie mogła się czemś podobnem pochwalić?

Czemu nie miałby się pojawić artysta-muzyk, który stworzyłby obraz ideałów, uczuć gorących i ducha towarzystwa, tworzącego przez pewien czas osobną i charakterystyczną grupę w jakimś kraju. Takim poetą swojej ojczyzny oraz epoki w jakiej się urodził stał się Chopin, bo streścił wyobraźnię i przedstawiał talentem zmysł poetyczny narodu, wrodzony każdemu ze współczesnych jemu rodaków. Jak każdy prawdziwy poeta, śpiewał Chopin bez wcześniej nakreślonego planu, bez obmyślanego wyboru, to co mu natchnienie podsuwało i tym sposobem wyłaniają się w jego pieśni w najidealniejszych zarysach, wzruszenia lat dziecinnych i młodzieńczych, urzeczywistnienie uczuć, jakie żywili w kraju wszyscy wogóle i każdy z osobna. Bez szczególnego w tym kierunku zamiaru, zebrał w promieniste snopy uczucia tlące niewyraźnie w sercach, czasem zaledwie przeczuwane. Dar ten skupienia w poetycznej formule, która wszystko czarem swym objąć może, mglistych zarysów uczuć rozproszonych lecz istniejących w ojczyźnie, najwyraźniej zdradza narodowego artystę.

Ponieważ nie bez słuszności zajęto się obecnie zbieraniem pieśni ludowych, wydawałoby nam się bardziej ciekawem jeszcze zbadanie charakteru, jaki mógłby przybrać talent tych wirtuozów i kompozytorów, którzy bardziej od innych czerpali w rodzimych źródłach. Jak dotąd mało jest takich, których wybitne dzieła wychodziłyby poza obręb istniejącego już podziału między muzyką włoską, francuską i niemiecką. Jest więc do przewidzenia, że przy zapowiadającym się ogromnym rozwoju tej sztuki w naszym wieku, który może odnowi dla nas chwalebną epokę „cinquecenta", pojawią się również artyści o samoistnej twórczości, których dzieła nosić będą wybitne piętno rasy, obyczajów a nawet klimatu. Z czasem muzyk amerykański będzie się różnił od muzyka niemieckiego, symfonista rosyjski od symfonisty włoskiego i wtedy jasno będzie można rozpoznać w muzyce tak jak dotąd w innych gałęziach sztuki, wpływ kraju na wielkich mistrzów oraz mniejszych twórców. W utworach ich łatwo będzie ujrzeć odblask ducha ludowego, bardziej uzupełniony i poetycznie prawdziwszy, a zarazem nieskończenie więcej zajmujący aniżeli w niepoprawnych i chwiejnych, choć może wzruszających prostaczych natchnieniach.

Wówczas stanie Chopin w pierwszym rzędzie muzyków, którzy w ten sposób skupili w sobie zmysł poetyczny narodu i to nie dla samego użycia rytmów i nazw polonezów, mazurów i krakowiaków; gdyby się był ograniczył do samego pomnażania ich, musiałyby powracać wciąż te

same zarysy a w nich jednakowe wspomnienia, wywołując nudną jednostajność. Imię jego pozostanie ściśle złączone z twórczością polską, bo jakiejkolwiek formy używał, wprowadzał w nią sposób odczuwania i środki wyrażania go, właściwe w jego kraju, prawie nieznane gdzieindziej. Jego Preludja, Etudy, Nokturny szczególniej, także Scherza, Sonaty i Concerta, kompozycje najdrobniejsze zarówno jak największe, odznaczają się tym samym rodzajem uczuciowości, choć wyrażonej tysiącznemi sposobami zawsze jednej i samodzielnej. Jako autor wyłącznie podmiotowy, ożywił swoje utwory jednem istnieniem, które było własnem jego życiem, wszystkie zatem są połączone jednością przedmiotu, ich piękno i wady są tylko wynikiem tego samego porządku wzruszeń i wyłącznego sposobu odczuwania, co stanowi główny warunek u poety, którego śpiew dostroił się do drgania pokrewnych serc.*)

*) Chcielibyśmy przytoczyć tu kilka zdań hr. Karola Załuskiego, dyplomaty austrjackiego, wnuka ks. Ogińskiego wyżej wspomnianego autora polonezów. Hr. Załuski z pośród rodaków Chopina był jednym z tych, którzy najlepiej umieli uchwycić ducha jego dzieł. — W ciekawym artykule, który został wydrukowanym w jednym z wiedeńskich przeglądów literackich „Die Dioskuren II. Band", mówi ten wytworny poeta a zarazem wybitny uczony: „Kein Werk des Meisters ist aber geeigneter, einem Einblick in den erstaunlichen Reichtum seiner Gedanken zu gewähren, als seine Präludien. Diese zarten, oft ganz kleinen Vorspiele sind so stimmungsvoll, dass es kaum möglich ist, beim Anhören derselben sich der herandringenden poetischen Anregungen ze erwehren. An und für sich bestimmt musikalische Intentionen mehr auszudeuten als auszuführen, zaubern in lebhafte Bilder hervor oder sozusagen selbstenstandene Gedichte, die dem Herzensdrang entsprechenden Gefühlen Ausdruck zu geben suchen. Bewegt, leidenschaftlich, zuletzt so wehmütig ruhig ist das Prälude in Fis-moll, dass man unwillküllich daran einen deutlichen Gedanken knüpft, indem man sagt:

Es rauschen die Föhren in herbstlicher Nacht,
Am Meer die Wogen erbrausen,
Doch wildere Stürme mit böserer Macht
In Herzen der Sterblichen hausen.
Denn rüht wohl die See bald und seufzet kein Ast,
Das Herz, ach! muss grollen und klagen.
Bis dass ein Glöcklein es mahnet zur Rast
Und jetzt es aufhört zu schlagen!

Zwei reizende Gegenstücke erinnern an eine Theokritische Landschaft, an einen reiselnden Bach und Hirtenflötentöne. Die Absicht, die Rollen unter beide Hände zweifach zu vertheilen, entsprang die doppelte Darstellung, deren Analogien und Contraste in fast mikroskopischen Verhältnissen wunderbar erscheinen. Sie erinnern an jene wundervollen Gebilde der Natur, die im kleinsten Raum eine so erstaunliche Zahlenmenge aufweisen. Man zähle nur die Noten des zuerst erwähnten Vorspieles; ihre Zahl beträgt gegen fünfzehnhundert; die kaum eine Minute ausfüllen. Anderswo rollen Orgeltöne im weiten Domesraum, oder es erzittern im fahlen Mondlichte Friedhofsklagetöne, während Irrlichtergeisterschaft vorbeichuschen. Dort wandelt der Sänger am Meeres-

Godzi się jednak zapytać czy muzyka ta wybitnie narodowa i wyłącznie polska spotkała się odrazu z uznaniem i czy przyjęli ją jako swoje dobro ci, których myśli opromieniała, wypowiadając dźwiękami poematy Mickiewicza, poezje Słowackiego, piękne karty Krasińskiego? Urok jaki sztuka mieści w sobie, jest tak zagadkowy, działanie jej na serca otoczone jest tak słodką tajemnicą, że nieraz nawet najbardziej oczarowani nie umieliby określić skarbów, jakie ona w sobie mieści, dopiero po wiekach oddychania jej cudowną wonią, mogą następne pokolenia poznać całą jej odrębność i odgadnąć ojczystą nazwę.

Polacy skupiali się dokoła Chopina, brali żywy udział w jego powodzeniu, cieszyli się i chlubili jego sławą, tembardziej, że należał do ich grona. Czy jednak zdawali sobie sprawę, do jakiego stopnia muzyka jego do nich należała? Wprawdzie pobudzała ich serca do żywszego bicia, wyciskała łzy z oczu i dusze rozpromieniała, ale czy wiedzieli dlaczego? Wolno przypuszczać temu, co dużo z niemi przestawał i szczerze przyjaźnie dla nich był usposobionym, że jednak ich zmysł artystyczny i muzyczny nie był na tyle rozwinięty, aby mogli w całej pełni zrozumieć istotę wzruszeń wywołanych czarownemi dźwiękami. Ze sposobu jakim rozkoszowali się tą muzyką widać było jasno, że obudzał w nich dumę genjusz rodaka, o tem zaś, że on ich poetyzuje i o nich śpiewa, pojęcia nie mieli.

Nie bez wpływu na to były odmienne czasy i młode pokolenie. Ta Polska, którą Chopin znał, zdobiła czoło wawrzynami zdobytemi w wojnach napoleońskich, opromieniła się rycerską chwałą ks. Józefa Poniatowskiego, pochłoniętego przez zimne nurty Elstery! Polska ta, którą pamiętał, była jeszcze upojona sławą i radością, miłością i tańcem, żywiła zawrotne nadzieje podczas kongresu wiedeńskiego i nie przestawała ufać pod rządami Aleksandra I. Lecz potem przyszło panowanie cara Mikołaja! Śmiertelne przerażenie nastąpiło po wzruszeniach barwnych i wytwornych, zalało je morze łez, zginęły zduszone w trumnach, zapomniano o nich w smutnej rzeczywistości nędzy i wygnania, pod ciężarem rozdzierającej żałoby, wobec grozy syberyjufer und der Athemzug des bewegten Elementes umweht ihn mit unbekannten Stimmungen aus fernen Welten.

Es fehlt nicht an traditionellen Auslegungen mancher Schöpfungen Chopin's. Wer denkt da nicht gleich an das Prälude in Es-dur, das an einem stürmischen Tage auf den Balearen entstand. Gleichmässig und immer wiederkehrend fallen bei Sonneschein Regentropfen herab; dann verfinstert sich der Himmel und ein Gewitter durchbraust die Natur. Nun ist es vorübergezogen und wieder lacht die Sonne; doch die Regentropfen fallen noch immer!...

skich kopalń, katorgi i knutu. Ci którzy przybywali do Paryża, unosząc w duszy obraz ojczyzny znękanej i ociekającej krwią, nie mogli już nawiązać nici wspomnień Chopina, zerwanej w lepszych czasach.

Pragnęliśmy określić tu zapomocą słów i obrazów wrażenia odpowiadające wytwornej a drażliwej uczuciowości, właściwej sercom gorącym a płochym, duszom wyniośle dumnym a głęboko zranionym. Nie śmiemy pochlebiać sobie, aby nam się udało zamknąć ten płomień ulotny i wonny w ciasnych ogniskach słowa, czy zadanie to zresztą byłoby możliwe? Czy słowa nie wydałyby się mdłe i pospolite, zimne lub twarde w porównaniu do słodkich wzruszeń jakie daje sztuka? Czy nie miała słuszności ta mądra i światła kobieta, która mówiła: „ze wszystkich sposobów wyrażania uczucia, najgorszym jest słowo". Nie mogliśmy nawet w przybliżeniu osiągnąć tej delikatności pociągnięć pędzla, jakiej wymagało to, co Chopin z tak niezrównaną lekkością odmalował. Wszystko tam jest nawskróś subtelnem, nawet gniew i gwałtowność uniesień; brak popędów surowych i prostych, bo przekształciła je starannie płodna i wymagająca wyobraźnia, zanim ukazały się światu. Do uchwycenia i wypowiedzenia ich potrzeba bystrości, połączonej z delikatnością, kto więc tak jak Chopin te zalety w całej pełni posiadł, zasłużył na miano mistrza i dopiero po długiej a cierpliwej pracy nad dziełami jego, idąc śladem jego myśli poprzez tysiączne jej rozgałęzienia, można zrozumieć i podziwiać, jak lekką i niemal dotykalną musiał ją uczynić.

Jeden z przyjaciół Chopina, muzyk podobnie jak on, będąc często jego słuchaczem, podziwiał go szczerze, choć tylko intuicyjnie, bo długo nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co Chopin poznał i ukochał w ojczyźnie i co go do niej przykuło. Bez objawień mistrza muzyk ten nie byłby nigdy poznał, mimo przestawania z niemi, Polek i Polski, naodwrót zaś ułatwiło mu poznanie ideału Chopina, zetknięcie się z tym ofiarnym, wspaniałomyślnym i bohaterskim narodem, we własnym jego kraju.

W miarę coraz dłuższego pobytu w Paryżu, zaczął Chopin podlegać obcym wpływom i odsuwać się mimowoli od pięknych i wykwintnych salonów.

Ideały polskie ani wytworność znamionująca patrycjat, nie były znane towarzystwu, do którego wszedł. Wprawdzie przykuła go tam moc genjuszu, ale królewskość ta nie była otoczona szlachetnymi poddanymi, zdolnymi do wywyższenia jej i uwieńczenia skroni koroną z brylantów lub wawrzynem. Może zanadto cierpiał z powodu sprzeczności,

w jakiej ten salon znajdował się z tymi, gdzie go napróżno oczekiwano, aby mieć siłę wyrwać się, albo może odczuwał w tem otoczeniu gorzką rozkosz, która zajęła miejsce czystych zachwytów, jakiemi dawniej darzyła go ojczyzna. Czy który z tych przypadkowych towarzyszy wiedział, że istnieje świat, gdzie rządzą czyste i pobożne polskie czarodziejki? Czy pomiędzy temi rozczochranemi głowami, zaniedbanemi brodami, rękami nie mającemi rękawiczek, mógł kto pojąć, co to za świat mglistych sylwetek, wrażeń gorących a przelotnych, choćby go nawet na własne oczy oglądał? Czy ujrzawszy go, nie odwróciłby się każdy z nich od nieuchwytnego czaru, który żadnego wrażenia wywrzeć nie mógł na wściekłych politykach!

Jaka boleść musiała szarpać duszę mistrza na widok genjuszu, tego dziecięcia niebios, co poniżając swą godność, do rzędu zwykłych śmietelników i nawet rąbek swej szaty w błocie gościńców włóczył!... Z jakiem spojrzeniem pełnem niewypowiedzianej trwogi musiał się nieraz przenosić z rzeczywistości, pozbawionej wszelkiego uroku w przeszłość pełną poezji, gdzie widział tylko namiętność bez granic i wyniośle milczącą hojność nie skąpiącą nigdy pożywienia duszy i wzmocnienia woli, gorącą atmosferą oczyszczającą wszystko swym żarem.

Podobnie jak Van Dyck, który przekazał potomności rysy słodkiej i uroczej Angielki, co ponad szlachectwo rodu przeniosła wielkość genjuszu, nie mógł Chopin pokochać kobiety, nie posiadającej wyjątkowej wyższości, lecz mniej szczęśliwy od sławnego malarza, nie spotkał na drodze życia wytwornej panny znakomitego pochodzenia, godnej dzielić z nim nieśmiertelną chwałę.

Od znakomitości Paryża, onieśmielających go hucznym swym orszakiem, trzymał się długi czas zdaleka, mniejszą też od nich wzbudzał ciekawość charakterem i zwyczajami, które choć odrębne nie były zaprawione ekscentrycznością. Nieszczęście chciało, że na tej wysokości, gdzie ponad wszystkiem się unosił, dosięgło go spojrzenie, którego dziwna moc ubezwładniła go tak, że wpadł w sidła napozór złote, perłami przetykane, gdzie każdy węzeł stał mu się więzieniem, każdą nicią sączył się w duszę jad, niezdolny wprawdzie zniszczyć genjusza lecz zatruwającej źródło życia.

VII.

W r. 1836 wydała pani Sand nietylko „Indianę“, „Walentynę“, „Jakóba“, ale też „Lelię“ ten poemat, o którym później mówiła: „jeżeli żałuję, że go napisałam, to dlatego, że już go nie mam do napisania. Obecnie, w podobnem usposobieniu umysłu, doznałabym wielkiej ulgi, gdybym go

mogła nanowo rozpocząć“.*) Akwarela powieści musiała się wydać cudną tej, co rzeźbiarskiem dłutem i młotem wykuła posąg, o wielkich zarysach i silnych muskułach, a przecież harmonijnie piękny w swej nieruchomości. Patrząc na niego odczuwa się bolesne wzruszenie, jak gdyby cudem przeciwnym jak u Pigmaliona stała przed nami żyjąca Galatea, z ruchami miękkiemi, pełna rozkosznego drżenia, którą rozkochany artysta zaklął w kamień, oddech jej zdusił w piersi i w żyłach krew zmroził, aby wyolbrzymić i unieśmiertelnić jej piękność. Wobec tej natury zamienionej w dzieło sztuki musi się odczuwać zamiast podziwu połączonego z miłością, smutek z powodu miłości, zamieniającej się w podziw.

Czarnowłosa i smagła Lelio! Błąkałaś się samotnie w pustkowiach, jak Manfred z rozpaczą w duszy, ponura jak Lara, zbuntowana jak Kain, lecz o wiele więcej nielitościwa, dzika i niepocieszona od nich, bo nie było dość kobiecego serca mężczyzny, co potrafiłoby cię pokochać taką miłością, jakiej oni byli przedmiotem, złożyć wdziękom twoim hołd ślepego poddaństwa, gorącego i żarliwego poświęcenia, oddać się z bezwarunkowem posłuszeństwem twej mocy, amazonko! Kobieto-bohaterze, jak one dzielną byłaś i spragnioną walki; nie wahałaś się wydać na pastwę wiatrów i słońc delikatnego twego oblicza, hartować trudem szczupłych twych członków i pozbawiać je przez to potęgi słabości. Jak one pokryłaś twardym i raniącym pancerzem twą pierś dziewiczą, uroczą i kształtną, ubóstwianą przez mężczyznę, jeżeli serce jest jedyną jej tarczą!

Stępiwszy dłuto na wygładzaniu tego posągu, którego wyniosła pogarda, wzrok niespokojny, przyciemniony chmurnemi brwiami, falujące włosy, przypominały greckie rzeźby marmurowe, ich wspaniałe rysy, groźne czoło i uśmiech gorzki jak u Gorgony, której widok osłupiał i w piersiach tętno życia wstrzymywał, szukała pani Sand napróżno innej formy dla uczucia dręczącego jej niezaspokojoną duszę. Przyozdobiła już z niezrównaną sztuką tę dumną postać, mieszczącą w sobie całą męską wielkość, lecz pozbawioną tego co genialny poeta „wiekuistą kobiecością“ nazwał i pod niebiosa podnosił, co jest miłością, źródłem wszelkiej radości i każdego bólu przetrwaniem; pozwoliła złorzeczyć Don Juanowi i wyśpiewać hymn o pożądaniu tej, co jak Don Juan, odpychała od siebie jedyną rozkosz zdolną zaspokoić żądzę: zaparcie się siebie;pomściła Elwirę stwarzając Stenię; pogardziła mężczyzną bardziej jeszcze,

*) Lettres d'un voyageur.

niż Don Juan poniżył kobietę. Wszystko to nie dało jej uspokojenia i w „Listach podróżnika“ opisywała pani Sand to gorączkowe ubezwładnienie, tę bolesną ociężałość jaka ogarnia artystę, kiedy już wcielił w dzieło sztuki niepokojące go uczucie, a jednak wyobraźni od niego wyzwolić nie może ani znaleźć innej formy odpowiedniej dla wyidealizowania go.

Takie cierpienie poety odczuł prawdziwie Byron; łzy wylewane przez Tassa nie płyną z powodu więzienia, krępujących łańcuchów, fizycznego bólu albo ludzkiej podłości, ale z żalu za utraconym światem myśli zamkniętym w ukończonem dziele, wobec pojawiającej się odrazu szarej rzeczywistości.

Znajdując się w podobnem usposobieniu słyszała pani Sand dużo o Chopinie, od jednego z przyjaciół, którzy go z wielką radością w Paryżu powitali.

Bardziej jeszcze od talentu chwalono przed nią jego poetyczny genjusz, zachęcona tem starała się zapoznać z jego dziełami, które odrazu wprawiły ją w zachwyt miłosną swą słodyczą, bogactwem uczucia, wywnętrzeń serca tak szlachetnych i wzniosłych. Kilku rodaków Chopina wyrażało się przed nią o kobietach w Polsce z tem większym zapałem, że świeżo znów dały liczne dowody bohaterskiej odwagi i poświęcenia. W ich słowach podobnie jak w poetycznem natchnieniu polskiego artysty, dojrzała ideał miłości przybierający formę kultu, wydało jej się, że wolna od wszelkiej zawisłości, obdarzona przywilejami, posiada tam kobieta czarodziejską potęgę jako umysł wyższy i towarzyszka mężczyzny. Nie odgadła zapewne wiele boleści, milczenia, cierpliwości, zaparcia się siebie, przebaczenia i odważnej wytrwałości, stworzyło ten ideał dumny w swej rezygnacji, wspaniały w swym smutku, sprawiający podobne wrażenie jak bluszcz, który zapuszczając korzonki w szczeliny rozpadających się murów, pokrywa je gęstą siecią i nadaje pozór życia zniszczeniu.

Widząc że polski mistrz nie obleka swej wyobraźni szatą z marmuru lub porfiru, nie wybudowuje jej w kształt karjatydy, z której szczytu myśl rzuca żarzące promienie, jak słońce rozpalone w południe, ale pozbawiając ją ciężaru i łagodząc zarysy najchętniej zawiesiłby całą budowlę w obłokach, jak te powietrzne pałace na złudnych obrazach Fatamorgany, czuła się pani Sand może bardziej jeszcze przyciągniętą temi formami niedotykalnie lekkiemi, do ideału, jaki zdawała się w nich dostrzegać. Ramię jej miało wprawdzie dość siły do wykucia posągu a dłoń była przytem dość delikatną, aby stworzyść nawet tak nieznaczne rzeźby,

że zaledwie od kamienia odstając, zdają się być cieniem niezatartej sylwetki; świat nadprzyrodzony również nie był jej obcym, zdawało się, że natura odrzuciła wobec niej cudowny swój pas, odsłaniając czarowne wdzięki. Spojrzenie zdolne ogarniać najszersze widnokręgi nie pogardzało widokiem tęczowego pyłku na skrzydłach motylich, umiała przyglądać się bacznie misternej sieci, którą paproć, jak baldachim, nad krzakiem leśnych jagód roztacza, słuchała uważnie szmeru strumyków przewijających się wśród murawy i cichego przesuwania się żmiji, syczeniem przywołującej kochanka. Widziała błędne ogniki tańczące na łąkach i bagnach, odgadywała tajemne ich ukrycia, do których wabią zdradliwemi skokami spóźnionego wędrowca. Odwiedzała koncerta koników polnych i ich przyjaciół, odprawiane po ścierniskach, znała po imieniu skrzydlatych mieszkańców leśnego państwa, rozróżniała ich po upierzeniu, po kwileniu żałosnem lub wyzywającym śpiewie. Nie były jej tajne przyczyny olśniewającej białości lilji ani powód rozpaczy Genowefy,*) tej dziewczyny rozkochanej w kwiatach.

W snach odwiedzali ją „nieznani przyjaciele“ przychodząc „kiedy zdjęta trwogą była na bezludnem wybrzeżu...“ Fale przynosiły łódkę, na którą wskakiwała, aby „podążyć do tych krajów nieznanych, gdzie rzeczywistość zdaje się być niewyraźnym snem dla tych, co w dzieciństwie ukochali wielkie perłowe muszle, do których wsiadłszy, przenieść się można na te wyspy, gdzie wszyscy są piękni i młodzi... wszyscy strojni we wieńce z kwiatów na włosach spływających na ramiona... z puharami w dłoni i harfami o dziwnych kształtach... gdzie śpiewają głosami, które nie są z tego świata... kochają się wzajemnie miłością boską!...“ Gdzie do srebrnych sadzawek spadają wonne wodotryski... gdzie błękitne róże rosną w chińskich wazonach... gdzie z każdej strony czarujące są widoki... gdzie się stąpa boso po mchu miękkim i gładkim jak aksamit.. gdzie śpiewając biegają wśród pachnących krzewów...*)

Znała tak dobrze tych „nieznanych przyjaciół“, że przy każdem ponownem widzeniu się z niemi „nie mogła myśleć o nich bez drżenia serca...“ W fantastycznym świecie Hoffmanna była jak u siebie, umiała podpatrzyć dziwne uśmiechy na portretach ludzi nie żyjących oddawna,**) ona, która widziała na jakich to głowach kładły aureolę, promienie przenikające gotyckie witraże smugami świetlanej ku-

*) „André“.
*) Lettres d'un voyageur.
**) Spiridion.

rzawy, ona, która w chwale zachodzącego słońca widziała zjawiska błyszczące złotem i purpurą odziane!

W dziedzinie fantazji nie było chyba tak tajemnego mitu, któryby jej nie był znanym.

Ciekawą była poznać tego, co orlim lotem wzbił się w tę „krainę nieopisanie piękną, istniejącą niewątpliwie gdzieś na ziemi lub na jednej z tych planet, co rozświetlają głębie boru w noc ciemną". Chciała spoglądać własnemi oczyma na artystę, co raz poznawszy te kraje, nie chciał ich już opuszczać ani oddawać serca i wyobraźni światu podobnemu do wybrzeży finlandzkich, gdzie chcąc uniknąć błota i grzązkich kałuż piąć się trzeba na samotne granitowe skały. Umęczona tym ciężkim snem, który nazwała Lelią, znużona marzeniem o jakiemś olbrzymiem niepodobieństwie ulepionem ze zwykłej gliny, pragnęła spotkać kochanka tej bezcielesnej, obłocznej, blizkiej nadksiężycowych krain, niemożebności!

Jeżeli do wyższych tych sfer nie dolatują trujące wyziewy otaczającej nas atmosfery, nie są one niestety wolne od strapień. Widać tam słońca, które gasną i inne, które się zapalają, jak świetlana rosa spadają gwiazdy, ginąc w nieodgadnionych głębiach a wyobraźnią, błądzącą po tej błękitnej Sacharze zrzadka tylko przerywanej oazami, ogarnia przejmujący smutek, którego nic nie jest w stanie rozprószyć, żaden podziw ani żaden zapał. Dusza wchłania te obrazy, przyswaja je sobie, pozostając nieporuszoną, podobnie jak jeziora o stojących wodach, których powierzchnia odbija obrazy brzegów i ruchliwego ich życia, nie budząc się z odrętwienia. „Smutek ten ostudza najżywotniejsze „wrzenia, przez trud jaki sprawia duszy, przebywanie „w nadziemskich strefach... daje odczuć po raz pierwszy „ubóstwo słowa tym, co go się pilnie uczyli i doskonale „niem władali... Unosi daleko od wszystkich popędów czyn„nych... śmiałym lotem pośród przestrzeni, wysoko ponad „chmurami... gdzie wzrok utkwiony w niebo nie zauważa „już piękności ziemi... gdzie nie zabarwia się już rzeczywi„stości uczuciem poetycznem, lecz idealizuje samą poezję, „zapełniając wzorem Manfreda, wytworami własnych myśli „nieskończoność.*)

Czy pani Sand przeczuła tę nieopisaną melancholję, tę nieugiętą wolę, tę dumną wyłączność kontemplacji właściwą wyobraźniom żyjącym w nieziszczalnych marzeniach, czy przewidziała do jakiego bezwzględnego poświęcenia ludzie tacy są zdolni, jak zupełne oddanie się jest dla nich synonimem tkliwości? Aby odkryć tajemnicę takich skupionych charakterów, trzeba być, pod niektórymi przynajmniej względami, tak jak one mimowoli podstępnym, bo są podobne do tych kwiatów, co rozsychają się tylko pod łagodnem działaniem ciepła i słońca, stulając trwożnie listki za lada ostrzejszym powiewem. Powiedziano o podobnych usposobieniach że są „bogate wyłącznością", w przeciwieństwie do tych, których bogactwo na bujności polega. „Jeżeli się spotkają i zbliżą do siebie, to nie mogą zupełnie się złączyć", mówi dalej wspomniany autor, „jedno z nich musi pochłonąć i zniszczyć drugie". Podobną naturę posiadał mistrz, o którym tu mówimy, ginął, trawiąc się wewnętrznie, nie chcąc i nie mogąc żyć innem życiem, jak tylko tem jednem, odpowiadającem wymaganiom ideału.

*) Lucrezia Floriani.

Chopin zdawał się obawiać tej kobiety stojącej o tyle wyżej od innych, która jak kapłanka delficka, mówiła o rzeczach, o jakich inni nie wiedzieli. Opóźniał, unikał spotkania się z nią, czego ona się nie domyślała i w prostocie stanowiącej jeden z głównych jej wdzięków, nie odgadła tej trwożliwości sylfa. Pierwsza zbliżyła się do niego, a widok jej rozprószył odrazu wszelkie uprzedzenia do kobiet-autorek, uparcie dotąd żywione.

W jesieni r. 1837 pojawiły się pierwsze niepokojące oznaki choroby, która pozbawiła Chopina niemal połowy sił żywotnych; zatrważające objawy zniewoliły go do przepędzenia zimy na południu.

Pani Sand, bacznie troskliwa o przyjaciół swoich, widząc wiele starań stan jego wymaga, postanowiła mu towarzyszyć. Jako cel podróży obrano wyspy Balearskie, z powodu łagodnego klimatu, szczególnie korzystnego dla piersiowo chorych. W drodze Chopin czuł się tak źle, że niejednokrotnie żądano w hotelach, do których zajeżdżał, zapłaty za pościel i łóżko przeznaczone na spalenie, z powodu obawy przed mieszczącemi się w nich zarazkami. Żegnający go przyjaciele niewiele mieli nadziei ujrzenia go zdrowym, a jednak, po długiej a bolesnej chorobie przebytej na Majorce, gdzie pozostał sześć miesięcy, od pięknej jesieni aż do wspaniałej wiosny, w zdrowiu jego nastąpiło polepszenie, trwające lat kilka.

Czy sam tylko klimat powołał go nanowo do życia? Czy też życie samo zatrzymało go największym swym czarem? Może dlatego tylko żył dalej, bo żyć chciał? Któż wiedzieć może, jak wielkiem jest panowanie woli nad ciałem? Jaką energję tchnąć może w osłabłe członki, jaką żywotnością wzmocnić ich wyczerpanie? Któż wreszcie potrafi dojść, jak dalece dusza włada materją, o ile wy-

obraźnia kieruje zmysłami, podwaja ich sprężystość lub osłabienie przyśpiesza, działając twardo i uporczywie lub też zbierając wszystkie zapomniane siły w wysiłku jedynej chwili? Kiedy wszystkie promienie słońca złączą się w jednym punkcie kryształu, czy nie zabłyszczy on wtedy ogniem, który zdaje się od Boga pochodzić?

Promienie szczęścia skupiły się w tej epoce życia Chopina i roznieciły iskierkę istnienia w świetny płomień. Ustronie oblane błękitnemi falami morza Śródziemnego, ozdobione mirtem i pomarańczą, zdawało się być krainą młodzieńczej tęsknoty, spełnieniem błogich i naiwnych marzeń o „szczęściu na odludnej wyspie!“

Oddychał tam atmosferą potrzebną koniecznie istotom wybranym, którą można znaleźć wszędzie lub nie napotkać nigdzie, zależnie od tego z kim się ją dzieli, która panuje w ojczyźnie ideału, dokąd pragnęłoby się unieść wszystko, co sercu drogie, w okolicach wymarzonych, mimo przeszkód rzeczywistości, tak łatwych do odkrycia we dwoje!

Przez cały czas trwania choroby, nie opuściła pani Sand ani na chwilę tego, który ją tak głęboko ukochał. Pozostał jej wiernym, nawet wtedy, kiedy rozkosz minęła a przywiązanie stawało się bolesnem, „bo zdawało się, że to wątłe „istnienie wchłonięte w ognisko własnej namiętności tam „się wytliło... Inni, oddając serca, szukają własnego szczę„ścia, a kiedy ono znika, gaśnie powoli przywiązanie i dzieje „się tak jak zwykle na świecie. On jednak kochał dla sa„mej miłości. Żadne cierpienie nie zdołało go zrazić, choć„by przeszedł z okresu rozkoszy w okres nowy, boleści, „oziębienie nastąpić nie mogło chyba wraz ze śmiercią. Raz „powzięte przywiązanie stało mu się życiem, bez względu „na to czy rozkosz dawało, czy goryczą poiło, nie było „już w jego mocy oswobodzić się.“ *) W istocie, nigdy odtąd nie przestała pani Sand być w oczach Chopina, kobietą o nadludzkiej sile, która potrafiła odpędzić od niego widmo śmierci, zamienić cierpienie w słodką niemoc.

Aby go ocalić od tak przedwczesnego zgonu, walczyła mężnie z chorobą, otoczyła go opieką czułą i przewidującą, która nieraz bywa skuteczniejszą od środków, jakiemi wiedza rozporządza. Czuwając nad nim, zapominała o sobie, nie znała zmęczenia, nigdy nie ogarniało jej zwątpienie, nie zawodziły siły moralne i fizyczne, podobnie jak te matki zdrowe i silne, które zdają się magnetycznym sposobem udzielać własnej żywotności dzieciom słabym, odruchowo szukającym u nich ratunku. Wreszcie, choroba ustąpiła, „ponure myśli, które skrycie gnębiły umysł chorego, „nie dopuszczając żadnego zadowolenia, zaczęły się powoli „rozpraszać. Pozwolił łatwości i pogodzie charakteru swej „towarzyszki, odpędzić złowrogie przeczucia i uzdrowić „ducha“. *)

*) Lucrezia Floriani.

Posępne obawy ustąpiły szczęściu, tak jak noc ciemna i pełna trwogi ustępuje zwycięskiej zorzy. Ponure sklepienie wiszące nad głowami, wydaje się jeszcze tak ciężkiem, że lada chwila zdaje się grozić ostateczna, nieunikniona katastrofa, nagle jedna strwożone oko odkrywa zbawcze światło przebijające się przez ciemną zasłonę.

W duszy świta wtedy promyk nadziei, pierś swobodniej oddycha, jak u tych, co zbłąkani w ciemności ujrzą jakiś odblask, choć niewyraźny jeszcze i słaby; to pierwsza zapowiedź dnia, tak mglista i bezbarwna, że raczej zmrok przypomina. Lecz oto jak błogosławieni posłańcy rozbiegają się ranne wietrzyki, roznosząc wieść radosną w świeżości czystych powiewów. Wonny dreszcz przebiega powiewietrze, jak wzmacniające tchnienie nadziei, dźwięczny śpiew jakiegoś wcześniej obudzonego ptaszka rozbrzmiewa obietnicą szczęśliwych chwil.

Na widnokręgu przybywa coraz więcej szarawego światła, w linjach podłużnych, jak rozpadliny. Powoli rozszerzają się, przybierają kształt jeziora, którego brzegi światło wnet wyszczerbi i zalewa. Podobne do piaszczystych ławic gromadzą się obłoki, jak gdyby chciały przeszkodzić postępom dnia, ale nie mogą już zatamować powodzi światła, które je burzy i pochłania purpurową falą. Zwycięski blask jaśnieje zdobywczo i słodko zarazem, wywołując odruch wdzięczności; pierzchła ostatnia trwoga, powraca życie! Odtąd przedmioty zdają się wyłaniać z nicości. Zrazu zakryte zasłoną z różanej mgły, w miarę jak wzrasta potęga światła, nabierają olśniewającego blasku rzucając poza siebie bladawe cienie. Nagle wtacza się na widnokręg świetlana kula, rozsuwa mgły na prawo i na lewo, coraz większą się staje, coraz żywiej płonie. Wszystko zaczyna oddychać, drgać, poruszać się, brzmieć i śpiewać; najróżniejsze dźwięki krzyżują się i mieszają, potrącają i zlewają. Zamiast ponurej nieruchomości panuje teraz ruch, krąży, ze wzrastającą szybkością, przenika i porywa. Jak pierś drgająca miłosną rozkoszą, falują wody, coraz wyraźniej gromadzi się rosa, podobna do łez płynących z rozczulenia, na wilgotnych trawach zawisają, jedna za drugą, djamentowe kropelki, czekając aż w nich słońce kolory tęczy zaświeci.

*) Lucrezia Floriani.

Tymczasem na Wschodzie rozwija się olbrzymi wachlarz, ozdobiony liljowemi frendzlami i szkarłatnym brzegiem, pokryty haftem złotym i srebrnym. Na samym środku płonie żywy karmin, przechodząc powoli w przeźroczystość rubinu, rośnie jak pęk płomieni, coraz wyżej sięga i bardziej jest rozpalony.

Nareszcie zjawia się bóg Dnia. Promieniste włosy okalają jego olśniewające czoło. Podnosi się zwolna, ale z chwilą, kiedy już cały się odsłonił, obejmuje odrazu w posiadanie niebo, pozostawiając ziemię daleko za sobą.

. . . . . .

Wspomnienie dni spędzonych na Majorce pozostało dla Chopina echem cudownej ekstazy, jaką los raz tylko swoich uprzywilejowanych obdarza. „Nie przebywał na ziemi, ale „żył w obłokach ze złotawego pyłu i rozkosznej woni; „zdawał się zatapiać wykwintną swą wyobraźnię w rozmo- „wie z samym Bogiem, a jeżeli kiedy przypadkiem, na ra- „dosny pryzmat, w który się z zapamiętaniem wpatrywał, „padł obrazek zwyczajnego życia, odczuwał dotkliwą przy- „krość, jak gdyby wśród wspaniałego koncertu jakiś głos „krzykliwy chciał zmieszać pospolity motyw między boskie „myśli wielkich mistrzów“.*) Ilekroć później o tych czasach wspominał, czynił to zawsze z wdzięcznością, z jaką się mówi o jednem z tych dobrodziejstw, zdolnych zapewnić szczęście całego istnienia. Wydawało mu się niemożliwem, aby mógł kiedykolwiek jeszcze doznać tak błogiego stanu, którego chwile znaczyła słodycz tkliwych starań kobiety, naprzemian z błyskami genjuszu, podobnie jak w tym zegarze kwiatowym ustawionym przez Linneusza w Upsali, gdzie co godzinę otwierały się nowe kielichy, coraz to inną wydając woń.

Cudowne krainy zwiedzane przez poetkę i muzyka, wywierały większy wpływ na wyobraźnię tej pierwszej. Piękność natury oddziaływała na Chopina w sposób mniej wyraźny, choć równie silny; trafiała prosto do serca, które dostrajało się do jej wielkości i czarów, bez bliższego oznaczania ich umysłem. Dusza jego w zachwycie wtórowała piękności widoków, ale nie umiał odnosić wrażeń do źródła, z którego wypływały; dbał tylko, jako prawdziwy muzyk, o wydobycie uczucia z obrazów, przedstawiających się jego oczom, zdając się zbywać ich plastyczną stronę i malowniczą powłokę, nie należącą do duchowej dziedziny jego sztuki. A jednak, jak się to często zdarza u podobnych usposobień, im bardziej oddalał się od chwil i wypadków,

*) Lucrezia Floriani.

w czasie których wzruszenie zaćmiło mu zmysły, tem jaśniej zarysowywały się w pamięci towarzyszące obrazy. W późniejszych latach, chętnie z całą dokładnością opowiadał o tej podróży na południe i o różnych drobnych zdarzeniach w czasie pobytu na Majorce, lecz wtedy kiedy był u zenitu szczęścia, nie zwracał uwagi na szczegóły!

Pocóż zresztą miał spoglądać baczniejszem okiem na krajobrazy Hiszpanji, tworzące tło jego poetycznych rozkoszy, kiedy odnajdywał je piękniejsze jeszcze w natchnionych opisach swej towarzyszki podróży? Widział te urocze miejsca poprzez żywy koloryt jej stylu, jak przez te czerwone witraże, co wszystkiemu, nawet falom powietrza nadają odcień płomienisty. Dziwne a cudowne połączenie w jednej osobie najtroskliwszej opiekunki nauk i mistrzyni słowa! Jeżeli natura chcąc obdarzyć kobietę, zjednoczy najwspanialsze dary umysłu, z czułością serca i poświęceniem, które daje jej moc prawdziwą i niezwyciężoną, wtedy płomienie wyobraźni zlewają się z przeczystą jasnością serca, przedstawiają podobnie niezwykły widok, jak te gregorjańskie ognie co biegną, nie gasnąc, po morskich falach, i wzbogacają purpurą błękitne w nich odblaski.

Czy danem jest genjuszowi osiągnąć tę pokorną wielkość serca, tę bezwzględną ofiarę z samego siebie, przeszłości i przyszłości, nie chwilową i zmienną, ale trwałą i jednakową, która jedna ma prawo zwać się poświęceniem? Czy dadzą się pogodzić prawowite wymagania natury nadprzyrodzonej, z właściwem kobiecie zaparciem się własnych pragnień i dążności?

Wśród darów jakie człowiek otrzymał od Boga, i któremi Stwórca uczynił go podobnym do siebie, jednym z najcenniejszych jest zdolność tworzenia, w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu, bo sztuka wyraża się i udziela wzruszenie zapomocą wrażenia, bez pośrednictwa słów, koniecznych do objawiania faktów i rozumowań. Oprócz tego otrzymał artysta od Boga drugi dar, odpowiadający pierwszemu, jak wieczność odpowiada czasowi; dar przeistaczania! Siłę natchnienia zamienić może przeszłość pełną słabości i błędów, w przyszłość opromienioną chwałą, która trwać może tak długo, jak istnieć będzie ludzkość.

Zarówno człowiek jak i artysta może być dumnym z posiadania takiej potęgi, bo w niej leży tajemnica tej królewskiej władzy jaką człowiek, ta istota nędzna i wątła, wykonuje nad przyrodą, wrodzonej wyższości nad bliźniemi, jaką sobie artysta słusznie przypisuje. Lecz człowiek, korzystając ze swoich praw, poszukuje dobra w granicach

prawdy, artysta zaś daje dowód wyższości, wyrażając dobro w formie piękna.

Podobnie jak większość artystów, nie posiadał Chopin umysłu uogólniającego; nie skłaniał się ku filozofji estetyki, o której zresztą niedużo wiedział, ale jako prawdziwy mistrz, nie dochodził do poznania dobra, pnąc się po kamienistej ścieżce prawdy, tylko lotem pionowym wzbijał się poprzez radosne przeźrocza piękna.

Chopin używał nowego trybu życia na Majorce, z dziecinną nieświadomością przyszłych goryczy. Wszyscy przechodziliśmy za młodu ten błogi stan beztroski, nie zdając sobie sprawy z tego, co nas otaczało, później dopiero odnajdując w pamięci dokładny obraz każdej chwili i każdego przedmiotu. Dla artysty tak wybitnie subjektywnego, jakim był Chopin, musiała nadejść chwila, w której uczuł nieprzemożoną chęć ponownego przeżywania szczęścia uniesionego prądem czasu, kiedy zmuszając je do wyłonienia się z ciemnej otchłani przeszłości, rzucał na nie światło nieśmiertelne sztuki. Zmartwychstanie to było jednocześnie przeistoczeniem! To co było niepewne, kruche i błędne, bardziej odczute niż spełnione, powracało pod postacią pełną nieskończonej chwały, zdolne przetrwać wieki i wszystkie serca przeniknąć.

Godnem jest uwagi, że Chopin nie wskrzesił, ani nie przeistoczył epoki pobytu swego na Majorce, pomimo, że znajdował się wtedy u szczytu szczęścia. Wstrzymał się od tego odruchowo, poprostu, bez badania i bez jakiegokolwiek tłómaczenia przed trybunałem własnego sądu. Jego dusza szlachetna i prosta, nie zatruta niegodnemi paradoksami, nie pozwalała na opiewanie czegoś co „być mogło“ a nie było! Dla tego dziecka bohaterskiej Polski, gdzie mężczyźni i kobiety przelewali krew dla urzeczywistnienia ideału, nie mógł istnieć ideał niezupełny, pozbawiony cech rzeczywistości. Śpiewał więc o porywach i zachwytach młodości, swobodnie jak strumyk szemrzący na łące, jak fala połyskująca na łonie morza, jak ptak śpiewający w lesie, ale dla chwil przedziwnie błogich, przeżytych na zaklętej wyspie, nie znalazł dźwięków. Powracając do nich myślą widział upiększające je zasłony rozdarte i zeszpecone, nie chciał ich więc idealizować.

Mówiąc innemi słowy, Chopin nie odczuwał chęci wskrzeszenia tej przeszłości płomienistej jak wulkan, gorącej jak lawa i jak ona niosącej zniszczenie. I stało się, że ta, która sądziła o sobie, że jest wcieloną poezją, nie stała się źródłem natchnienia; ta która zdawała się być uosobieniem chwały, nie została unieśmiertelnioną; ta co twierdziła, że

miłość daje się jak szklankę wody temu, co o nią prosi, nie ujrzała swego obrazu i wspomnienia wyniesionego na wzniosłe ołtarze wdzięczności. Poza nią, wieleż to kobiet żyć będzie na zawsze w kronikach ludzkości, za to samo tylko, że umiały prawdziwie kochać i szczerze się modlić!

A przecież znalazła się taka jedna chwila, na wyspie zamienionej w siedzibę bogów złudzeniami rozkochanego serca, przepełnionego podziwem i wdzięcznością, którą Chopin zaklął w dźwiękach — lecz była to chwila trwogi i bólu! — Pani Sand wspomina o niej w jednym ze szkiców z tej podróży, nie kryjąc się z niecierpliwością, jaką już wtedy odczuwała z powodu zbyt czułego przywiązania, które śmiało ją krępować, granicząc ze szaleństwem na samą myśl utracenia jej, nie pomnąc, że prawo rozporządzania swoją osobą, zachowała, bez względu na niebezpieczeństwa, na jakie ją narażała, wyłącznie dla siebie. Chopin był wtedy jeszcze za słaby, aby wychodzić, pani Sand zaś używała dużo przechadzki, zostawiając go samego, zamkniętego w mieszkaniu z obawy przed nieproszonymi gośćmi. Pewnego dnia, kiedy wyszła jak zwykle, mając tym razem na celu zwiedzenie odleglejszej części wyspy, wybuchła jedna z tych gwałtownych burz, właściwych południowym krajom. Chopin, wiedząc co może grozić ukochanej towarzyszce ze strony rozpętanych żywiołów, doznał nieopisanego lęku, który go przyprawił o atak nerwowy, trwający tak długo, jak długo szalała nawałnica. Kiedy nareszcie muzyk się nieco uspokoił a pani Sand jeszcze nie było, siadł odruchowo do fortepianu i zaimprowizował cudny prelud fis-moll.

Był tak silnie pod wrażeniem przebytej trwogi, że na widok ukochanej zemdlał, co jednak nie wzbudziło w niej wzruszenia, ale raczej niezadowolenie, jako dowód miłości pragnącej nałożyć jej więzy, skrępować i ograniczyć gorączkową gonitwę za nowemi wrażeniami.

Nazajutrz Chopin zagrał jej ów Prelud, lecz nie zrozumiała wyrażonej w nim trwogi i nie odgadła nigdy, słysząc go nieraz później. Może umyślnie nie chciała dojrzeć ogromu miłości przezeń objawionego, nie umiejąc jej zresztą podzielać ani uszanować. Wszystko co było niegodnego, krańcowo przeciwnego, a nawet wrogiego, w tych dwóch naturach, przypadkiem tylko do siebie przyciągniętych, ujawniło się w tem drobnem zajściu. Jego serce pękało z bólu na myśl o utracie tej, która mu życie przywróciła, jej umysł zaś szukał tylko rozrywki, tak długo miłej, jak długo posiadała urok nowości. Nic więc dziwnego, że ten epizod życia wśród Francuzów był jedynym, którego wspomnienie odnaleźć można w utworach Chopina. Późniejsze jego istnie-

nie dzieliło się na dwie części: długo jeszcze przebywał, pomimo moralnych cierpień, w otoczeniu zanadto realistycznem, nieledwie brutalnem, które na każdym kroku raniło jego usposobienie, lecz szukał schronienia przed niemiłą rzeczywistością w mglistej sferze sztuki, ciesząc się tam wspomnieniami pierwszej młodości spędzonej w ukochanej Polsce, ją tylko jedynie unieśmiertelniając w dziełach.

Ale żadnemu człowiekowi żyjącemu zwykłem życiem, nie jest danem tak zupełne oderwanie się od wrażeń teraźniejszych i dotkliwych codziennych przykrości, aby mógł zapomnieć o uczuciach obecnych a śpiewać tylko o dawnych. Z tego powodu przypuszczamy, że w ostatnich latach trawiła Chopina zgryzota, z której sobie sprawy nie zdawał. Ludzie wielkiego ducha, jak Milton, Tasso, Camoëns, Michał-Anioł, starali się uciekać od ziemskich męczarni w świat jaki sobie sami stwarzali, lecz pomimo całej potęgi wyobraźni, nie mogli się uwolnić od zdradliwej strzały zatopionej w boku. Wprawdzie rozpościerali anielskie skrzydła i wzbijali się w przestworza, ale w jątrzącej ranie szarpał ból, nękając ciało i niszcząc siły.

Chopin nie porównywał swego cierpienia z żadnem innem, bo mu się wydawało niezwykłem, tak jak źródło, z którego wypływało. Będąc za słabym do opanowania bólu, usiłował choć na tyle go przemóc, aby nie zatruwał grobowym oddechem czystej atmosfery, w jakiej zwykła mistrza oczekiwać muza.

Pomimo że całą duszą starał się szukać w sztuce tylko pierwszych swych ideałów, mimowoli zdradzał się z boleścią obcą im zupełnie, i dobywał z liry swej dźwięki dramatyczne, mówiące o głębokiem a wyrafinowanem udręczeniu. Stąd wynikło, że ostatnie dzieła znalazły się w sprzeczności do całokształtu jego natchnienia, bo obok miłosnych szeptów. tkliwego niepokoju, bohaterskich skarg i zwycięskich hymnów przeszłości, odzywały się westchnienia chorego serca, jęki duszy wijącej się w rozterce, tłumione okrzyki gniewu i zazdrości. Jednakowoż dzięki wrodzonej genjalnej umiejętności, nie pozwolił tym wzruszeniom zniekształcić uświęconych form piękna, nie idąc w tym wypadku za przykładem niektórych koryfeuszów współczesnej literatury romantycznej lub jednego z wielkich mistrzów ówczesnej epoki.

Jakkolwiek niewymownie cierpiał, nie poświęcił nigdy piękna w sztuce, własnej boleści, nigdy śpiew jego nie wyrodził się w krzyk.

Jeżeli przenosił w sferę dźwięków brutalną rzeczywistość, podnosił ją wpierw do wysokości idealnej prawdy

a rozszerzając granice dotąd zakreślone, wzbogacał środki jakiemi się sztuka posługuje, nowemi zdobyczami, których się nie zaprze ani nie potępi, żaden z prawowitych jego następców. Oby mógł być przykładem dla wszystkich obdarzonych równie szlachetną duszą i wzniosłym genjuszem, dość nieszczęsnych, aby spotkało szczęście, które mogło ich nauczyć przeklinać życie i ukochanie zdolne wywołać nienawiść miłości!

Wskutek choroby i wątłego ustroju, były dnie Chopina policzone, lecz zmniejszyła jeszcze ich liczbę moralna udręka, wbijająca jakby rozżarzone kolce w serce gorące a czułe, w duszę delikatną, pełną wzniosłej czystości, która opanowana namiętnością, głęboko choć skrycie cierpiała. Byłby wiódł życie szczęśliwe, wśród miłych wspomnień młodości, chowając w szlachetnej piersi obraz ukochanej ojczyzny, a stał się ofiarą jednego z tych przypadkowych zetknięć dwóch niezgodnych dusz, które spotykając się niespodzianie, biorą wzajemny zachwyt za uczucie trwałe i do jego miary nastrajają obietnice, jakich nie są w stanie wypełnić. Po takiem marzeniu we dwoje, kończącem się zwykle straszną zmorą, pozostaje zawsze jedna z dusz, ta co głębsze odbierała wrażenia i bezwzględniej się oddała, wyczerpaną i złamaną. Straszliwa to moc najpiękniejszych darów, jakie człowiek posiada! Sprowadzają pożogę i zniszczenie podobnie do tych rumaków, co zaprzągnięto do słonecznego rydwanu, kiedy nieopatrzna ręka Faetona przestała niemi kierować, błąkały się po niebie, szerząc nieład pośród gwiazd.

VIII.

Od r. 1840 zaczęło się zdrowie Chopina powoli lecz stale pogarszać. Letnie miesiące spędzane w Nohant, u pani Sand, zaliczały się do najlepszych, pomimo przykrych wrażeń, jakie nastąpiły po wyjątkowo szczęśliwym okresie wspólnej podróży do Hiszpanji.

Nieuniknione stykanie się autora z ogółem i jego przedstawicielami, krzyżowanie się wypadków, różne uprzedzenia i wynikające z nich starcia, przejmowały go głęboką odrazą, starał się więc od tego usunąć, nie zwracając na nic uwagi. Nastąpiły jednak fakta i rozwiązanie rozmaitych kwestji, które uniemożliwiły mu dalsze pozostawanie w tym domu. Pozatem pobyt w Nohant zdawał się bardzo korzystnym nietylko dla ciała ale także dla umysłu, bo chętnie tam pracował i powracając, za każdym razem kilka kompozycji przywoził. W zimie choroba znacznie się spotęgowała, wszelki ruch stawał się utrudnionym. W r. 1846/7 już prawie chodzić nie mógł ani wyjść na schody bez bolesnych duszności, od tego też czasu utrzymywano go przy życiu wyłącznie tylko zapomocą największych ostrożności i troskliwych starań.

Pod wiosnę 1847 r. coraz gorzej się czując, tak zapadł na zdrowiu, że go z trudem uratowano, ale w tym właśnie czasie zerwała z nim pani Sand, zadając tem cios przez niego samego śmiertelnym nazwany. Powiedziała to pani de Staël, w chwili namiętnego wzruszenia, górującego czasem nad zwykłą jej powagą: „w miłości może być tylko początek!“ Wyraz gorzkiego doświadczenia o zmienności ludzkiej, niemożności podążenia za marzeniami wyobraźni, kiedy jest rozpętana, nie powstrzymywana wyraźnem pojęciem dobra i zła. Bywają wprawdzie uczucia, które biegnąc po samym brzegu przepaści zwanej Złem, mają dość siły, aby równowagi nie stracić i trafić z powrotem na drogę wiodącą ku słońcu, ale te śmiałe wycieczki nie są niczem więcej jak, według słów pani de Staël, „tylko początkiem“.

Z chwilą kiedy dusza opuści prostą i bezpieczną drogę

życia oddanego poświęceniu i obowiązkom, aby się błąkać nad przepaścią, i wdychuje z rozkoszą unoszące się tam słodkie lecz trujące wonie, uczucia jakie się w niej wtedy zrodzą, muszą, aby istnieć, oderwać się od miejsca, skąd wzięły początek. Uciekają więc w sferę sztuki lub przybierają inne formy i nazwy a zawarte w nich pierwiastki przetrwają, żyjąc wiecznie, ich „początki“.

Rzadko jednak dozna tego losu miłość, poczęta nadurwiskiem, gdzie łatwo znaleźć się nagle, zamiast na kwiecistem zboczu, na samym dole, w błocie! I ona miała „tylko początek“, bo jasność jej przyćmiewa żądza, za którą ślad w ślad idzie przesyt!

Miłość taka powstając wśród kwiecia, łączy dwa serca ze sobą, ale często jedno z nich schodząc nieuważnie po ślizkich stopniach, upada; podnosi się, stacza się coraz niżej, porzuca wzniosłe ideały dla gorączkowej rzeczywistości, stając się nakoniec udręczeniem dla drugiego. Wtedy prawdziwie miłość miała „tylko początek“, chociaż pozostaje w tem drugiem, szlachetnem istnieniu, jak robak, tocząc je wspomnieniem i wysysając krew z niego do ostatniej kropli.

Te „początki“ miłości, o jakich mówiła autorka Korynny, dawno już się skończyły między polskim muzykiem a francuską pisarką. U jednego nie pozostało po nich nic więcej, jak zatrzymany gwałtownym wysiłkiem szacunek dla ideału, który je złocistem światłem opromieniał, u drugiego zaś fałszywy wstyd usiłujący wykrętnie zachować stałość bez wierności. Aż nadeszła chwila, kiedy to życie sztuczne nie było już zdolnem, uderzyć w żadną z oniemiałych strun i zdawało się przekraczać granice, na jakie honor mógł pozwolić. Nikt nie wie, co było powodem, czy pozorem nagłego zerwania, widziano tylko, że po gwałtownym sprzeciwie ze strony Chopina w sprawie projektowanego małżeństwa panny domu,*) muzyk opuścił Nohant, aby tam więcej nie powrócić.

Mimo tego wspominał wtedy często i z pewnym naciskiem o pani Sand, bez goryczy i jakiegokolwiek oskarżania jej. Wspominał chętnie lecz nie opowiadał nigdy. Przytaczał jej słowa, mówił o tem co i w jaki sposób robiła i co powtarzać lubiła; miewał łzy w oczach na sam dźwięk imienia tej kobiety, z którą chcąc ją opuścić, nie mógł się rozłączyć Możnaby przypuścić, że porównywał wspomnienie rozkoszy, jakich przez tę namiętność doznał, ze staro-

*) Solange, córka pani Sand, z którą Chopin do końca życia w przyjaznych pozostał stosunkach. — Przyp. tłóm.

żytnym orszakiem dziewic niosących kosze pełne kwiatów dla ozdobienia ofiary, że będąc świadkiem jej ostatnich chwil, starał się zapomnieć o przedśmiertnych drgawkach a zatrzymać w pamięci tylko kwieciste wieńce.

Pomimo usiłowań przyjaciół, którzy starali się oderwać myśli jego od tego przedmiotu, aby mu szkodliwego wzruszenia oszczędzić, uporczywie do niego powracał, jak gdyby wskutek tych samych uczuć jakie go niegdyś do życia przywoływały, chciał je teraz utracić! Odczuwał dziwny urok w ostatecznym zaniku nadziei i choć na chwilę uwagę odwrócił, niebawem znów o temsamem zaczynał mówić, a choć nie mówił, to myślał; zdawało się, że chciwie wchłania truciznę, pragnąc, by jaknajszybciej działała.

Czy należałoby go żałować, czy też podziwiać?

Jedno i drugie zarazem. Przedewszystkiem żałować, bo dzielił los szlachetnych rycerzy, wabionych przez kuszące syreny cudownym śpiewem, czarującemi kształtami, białością liljowych lic, włosami, w których chyba zaplątały się promienie słońca pieszczotliwe i ciepłe... Kto sam nie spotkał takiej czarodziejki, nie może wiedzieć, jak bardzo pożałowania godnym jest śmiertelnik, którego ona ramionami swemi obejmie! Podziwiać go trzeba, bo wśród tylu tysięcy ludzi zachowujących do ostatniej chwili niegodne żądze i niskie wściekłości, niewielu umiało uszanować przez wzgląd na samego siebie tego, co obdarzone wzniosłą miłością było jej niegodne i zachować honor zrywając więzy grożące poniżeniem.

Chopin znalazł się w tym wypadku godnym środowiska, do którego należał, tych kobiet, których słodkie spojrzenia na nim spoczywały; oddalając od siebie ideał zamieniony w odrażającą rzeczywistość, był równie niezachwianym w swem postanowieniu, jak tkliwym w zachowywaniu ukochanych wspomnień!

Czuł to dobrze i często powtarzał, że równocześnie z tym związkiem zerwała się nić jego życia.

Jakaż to niepowetowana szkoda, że nie był lepiej uzbrojonym przeciw zdradzieckim powabom i nie poszedł za prawdziwemi swemi skłonnościami, nie dając się wściągnąć w sidła utkane ze znikomych uniesień, krótkotrwałych złudzeń, niszczącego bólu, symbolizowanych w starożytności sławną szatą Dejaniry, która przylgnąwszy do ciała nieszczęsnego bohatera, pozbawiła go w sposób okrutny życia. Jeżeli jedna kobieta potrafiła zadać śmierć gorejącą siecią wspomnień, czemużby inna nie umiała, idąc za jej przykładem, zniszczyć wątłe istnienie naszego poety-muzyka?

W czasie pierwszej, ciężkiej choroby Chopina w r. 1847,

kiedy już stracono nadzieję utrzymania go przy życiu, otaczał go najtroskliwszem staraniem uczeń jego i przyjaciel, Gutmann, którego opiece do końca najchętniej się oddawał. Kiedy czasem przypadkowo się spóźnił, natomiast zaś nadchodziła ks. Marcelina Czartoryska, odwiedzając codzień mistrza, pytał jej się Chopin ze zwykłą swą delikatną nieśmiałością: „czy Gutman bardzo jest zmęczony?“ Obawiał się utracić tę obecność milszą od innych, a jednak byłby wolał znieść tę przykrość, aniżeli nadużywać sił przyjaciela. Zmienił się w tym czasie nie do poznania; powrót do sił następował powoli i z trudnością. Lato przyczyniło się do polepszenia, niosąc chwilowe ukojenie jakie zwykle daje ciepła pora ludziom dogorywającym. Aby uniknąć jazdy do Nohant, a udając się gdzieindziej, nie utrwalić we własnej duszy pewności, że wstęp do Nohant sam sobie zamknął, postanowił pozostać w Paryżu, pozbawiając się dobrowolnie czystego i świeżego powietrza oraz dobroczynnych jego skutków.

Zima r. 1847/8 była jednym łańcuchem cierpień przerywanych krótkotrwałymi okresami polepszenia. Pomimo tego trwał w zamiarze udania się do Londynu, gdzie wiedział, że utwory jego były szerokim kołom znane, cenione i podziwiane.*)

*) Kompozycje Chopina były od kilku lat rozpowszechnione i lubiane w Anglji, znajdowały się też często na programie najpierwszych wirtuozów. Znajdujemy w jednej z broszur, wydanych w tym czasie w Londynie, przez Sp. Wessel i Stappleton, p. t. An essay on the works of F. Chopin (Szkic o dziełach F. Chopina) kilka bardzo trafnych uwag. Trudno było lepiej zastosować wiersze Shelley'a (Peter Bell the third), które broszurka ta jako motto zawiera:

He was a mighty poet — and
A subtle souled psychologist.

(Był wielkim poetą, i subtelnie myślącym psychologiem).

Autor mówi z uniesieniem o tym „originative genius untrammelled by conventionalities, unfettered by pedantry...“ o tych „outpourings of an unwordly and tristful soul, those musical floods of tears and gushes of pure joyfulness, — those exquisite embodiments of fugitive thoughts, — those infinitesimal delicacies“, które taką wartość nadają nawet najdrobniejszym utworom Chopina. Dalej mówi angielski autor: „One thing is certain, viz: to play with proper feeling and correct execution the „Préludes“ and „Studies“ of Chopin, is to be neither more nor less than a finished pianist and moreover, to comprehend them thoroughly, to give a life and a tongue to their infinite and most eloquent subtleties of expression, involves the necessity of being in no less degree a poet than a pianist, a thinker than a musician. Commonplace is instinctively avoided in all the works of Chopin; a stale cadence or a trite progression, a hum-drum subject, or a hackneyed sequence, a vulgar twist of the melody of a worn out passage, a meagre harmony or an unskilful conterpoint, may in vain be looked for throughout the entire range of his compositions, the prevailing characteristics of which are, a feeling as uncommon as beautiful, treat-

Może łudził się trochę nadzieją, że w mglistym klimacie opuszczą go nieodłączne dotąd wspomnienia słonecznych, południowych krain. W lutym, kiedy wybuchła rewolucja, leżał jeszcze w łóżku; ze smutnym wysiłkiem starał się zajmować bieżącemi wypadkami i nawet o nich mówił, ale główne zainteresowanie stanowiła niezmiennie sztuka i muzyka, którą przejmował się równie żywo jak w najlepszych czasach, w coraz krótszych chwilach, jakie jej mógł poświęcać.

W kwietniu, czując się trochę lepiej, zaczął myśleć o urzeczywistnieniu planu wyjazdu do Anglji. Na pożegnanie wystąpił raz jeszcze w salonach Pleyela, jednego z najbliższych przyjaciół, który staraniem około wystawienia pomnika na grobie mistrza, złożył wzniosły hołd tej przyjaźni. Na koncercie tym słuchała go publiczność, składająca się z wiernych i oddanych wielbicieli, po raz ostatni, bo zaraz potem wyjechał, jakby chcąc uciec od rozrzewniającego rozstawania się. Opuszczał Francję w smętnem usposobieniu, zwanem przez Anglików „low spirits". Sztucznie wzbudzone chwilowe zajęcie się zmianami politycznemi znikło zupełnie, stał się bardziej jeszcze milczącym, a jeżeli czasem w roztargnieniu się odzywał, to zazwyczaj z wybuchem płonnego żalu. Stopniowo ogarniała go zupełna obojętność, stosunek jego do osób jakie jeszcze widywał, przybierał przykrą cechę wzruszeń poprzedzających ostatnie pożegnanie.

W Londynie doznał tak przychylnego przyjęcia, że otrząsnął się na jakis czas z przygnębienia. Uważając, wraz z innymi, tę zmianę usposobienia za trwałą, odrzucił wszelkie ostrożności nakazane mu przez chorobę i lekarzy, zmienił zupełnie tryb życia. Grał dwa razy publicznie, parokrotnie wystąpił w prywatnych salonach. U ks. Sutherland został przedstawiony królowej, poczem otrzymał szereg zaproszeń do najświetniejszych domów. Rzucił się w wir życia towa-

ment as original as felicitous, a melody and a harmony as new, fresh, vigorous and striking, as they are utterly unexpected and out of the ordinary track. In taking up one of the works of Chopin you are entering, as it were, a fairy land, untrodden by human footsteps, a path hitherto unfrequented but by the great composer himself; a faith and a devotion, a desire to appreciate, and a determination to understand, are absolutely neccesary, to do it anything like adegnate justice... Chopin in his „Polonaises" and in his „Mazoures" has aimed at those characteristics which distinguish the national music of this country so markedly from that of all others, that quaint idiosyncrasy, that identical wildness and fantasticality, that delicious mingling of the sad and the cheerful, which invariably and forcibly individualise the music of those northern countries, whose langage delights in combination of consonants..."

rzyskiego, narażał się na zmęczenie nieprzespanych nocy, bez żadnego względu na zdrowie. Czyżby tym sposobem chciał prędzej zakończyć życie, nie odrzucając go jawnie? Umrzeć tak, aby nikt nie miał zadowolenia ani wyrzutów z powodu jego śmierci?

Z Londynu udał się do Edynburga, skąd powrócił pod wpływem niezdrowego klimatu, bardzo osłabiony, lecz pomimo zdania lekarzy, którzy radzili jaknajprędzej opuścić Anglję, wciąż zwlekał z wyjazdem; z jakiego powodu to czynił nikt wiedzieć nie może. Raz jeszcze wystąpił na koncercie urządzonym dla Polaków, było to ostatnie pozdrowienie przesłane ojrzyźnie! Gorąco go oklaskiwano, a kiedy ze wszystkimi się żegnał, nikt nie przeczuwał, że to po raz ostatni!

Z jakiemi uczuciami mógł powracać do tego Paryża o zupełnie odmiennym wyglądzie? Zaraz na wstępie otrzymał tam wiadomość, tyle przykrą, co niespodziewaną, o śmiertelnej chorobie doktora Moulin, którego rozumna opieka uratowała go ubiegłej zimy. Ta strata wywarła na Chopinie wrażenie wprost zgubne, bo w chwili kiedy stan umysłu mógł szkodliwie działać na zdrowie, stała się powodem głębokiego zwątpienia. Nikt już nie mógł zastąpić mu zmarłego przyjaciela, ani zyskać podobnego zaufania, odtąd też, nie wierząc żadnemu z lekarzy, coraz to innego się radził. Ogarnęło go nieprzemożone przygnębienie, zdawało się, że doszedł do kresu sił, a żaden wpływ silniejszy, niż życie, żadna miłość potężniejsza od śmierci, nie walczyły z tą gorzką niemocą.

Począwszy od zimy r. 1848, nie mógł już Chopin należycie pracować. Wprawdzie od czasu do czasu wykańczał coś rozpoczętego, ale nie zdołał już odpowiednio uporządkować myśli. Urywki te miały być w myśl jego życzenia, po śmierci spalone, aby kiedyś jako zbiór dzieł pośmiertnych nie zostały wydane. Z ostatnich utworów pozostał opracowany Nokturn oraz Walc, tak krótki jak przelotne wspomnienie. Zamierzał jeszcze napisać szkołę na fortepian, w której byłby zebrał swoje zapatrywania na teorję i technikę, jakoteż wyniki długiej działalności, bogatej w doświadczenia. Myśląc o podjęciu się takiego poważnego zadania, wymagającego wytężającej pracy, chciał może Chopin uciec od pogodnych wzruszeń, jakie daje sztuka, będących rażącem przeciwieństwem wewnętrznej rozterki, rozkosznego pogrążania się w bólu. Szukał w tem jednostajnem zajęciu, któreby całą jego uwagę pochłonąć musiało, tego, czego Maufred napróżno żądał od sił nadprzyrodzonych: zapomnienia!... Zapomnienia jakiego nie mogą dać rozrywki ani

żadne oszołomienie, ale raczej ten codzienny trud, co „w duszy burzę zażegnać“*) może, sprowadzając odrętwienie pamięci lub zupełny zanik wspomnień. Wielki poeta, który podobnie był ofiarą nieutulonego żalu, pragnąc przedwczesnej śmierci, szukał ukojenia w pracy, zwracając się doniej jako do ostatniej ucieczki przed gorzkiemi zawodami życia.**) Na wykonanie powziętego zamiaru nie starczyło już sił Chopinowi. Nakreślił w myśli plan tego dzieła i nieraz o niem wspominał, ale zdołał tylko kilka kartek napisać, które wraz z resztą podobnych urywków, spalone zostały.

Niebawem cierpienia zaczęły się tak wzmagać, że nie mógł już wstawać z łóżka i mówienie trudność mu sprawiało. Na wiadomość o tem przybyła jego siostra z Warszawy, aby go już do końca nie opuścić. Przyjaciele odwiedzali go ciągle, na ich twarzach czytał rosnący niepokój, (ale nie dawał wcale poznać po sobie wrażenia, jakie to na nim wywierać musiało. Myśl o bliskim zgonie przyjmował z męską odwagą, chcąc może ukryć przed innymi i przed samym sobą, że poniekąd śmierć swą spowodował i przyśpieszył, nie przestawał też robić planów na przyszłość. Posiadając szczególne zamiłowanie do zmiany mieszkania, wynajął inne, jak mu się zdawało, wygodniejsze od tego, które obecnie zajmował, wydawał drobiazgowe wskazówki dotyczące urządzenia. Pommo coraz gorszego stanu zdrowia, z którego sobie jasno sprawę zdawał, nie odwoływał niczego, tak że przeprowadzanie się zaczęło i w sam dzień jego śmierci przenoszono jeszcze niektóre przedmioty do tych pokoi, których już nigdy nie miał zajmować.

Czy działał tak w obawie, że i tym razem śmierć dotknie go tylko zlekka, pozostawiając życie, które po zerwaniu tylu węzłów musiałoby się stać jeszcze cięższem? Czy w przededniu rozstrzygających wypadków działały na niego dwa wpływy: serca przeczuwającego przyszłość i umysłu nie mającego odwagi w nią spojrzeć? Wskutek podobnej niezgodności równoczesnych przewidywań może się nieraz zdarzyć u najsilniejszych duchów, sprzeczność słów z czynami, pomimo, że jedne jak i drugie są owocem wewnętrznego przekonania. Jesteśmy skłonni przypuszczać, że uczyniwszy pod wpływem przemożnego pragnienia rychłego zgonu, wszystko, co mogło go przyśpieszyć, chciał usunąć

*) der Seele Sturm beschwört.

**) „Beschäftigung, die nie ermattet,
„Die langsam schafft, doch nie zerstört,
„Die zu dem Bau der Ewigkeiten
„Zwar Sandkorn nur für Sandkorn reicht,
„Doch von der grossen Schuld der Zeiten
„Minuten, Tage, Jahre streicht“. (Schiller „die Ideale“).

wszelkie podejrzenie, mogące doprowadzić do odkrycia tego, co on sam uważałby u innych za romantyczne dziwactwo, za odgrywanie melodramatycznej roli, w rodzaju tych, w których Bocage*) występował. Jeżeli już mimo całej tej pogardy i odrazy, nie zdołał się oprzeć pokusom śmierci, pragnął, aby nikt się nie dowiedział, jak bardzo cierpiał z zadanej przez kobietę śmiertelnej rany, na którą jedynem lekarstwem był grób!

Na wieść o pogorszeniu jakie zaszło w zdrowiu Chopina, wybrał się do niego w odwiedziny, pomimo nieco rozluźnionych stosunków, jeden z wybitnych członków emigracji, ksiądz Aleksander Jełowicki. Trzykrotnie nie dopuszczony, powrócił po raz czwarty, wiedząc dobrze, że jeżeli tylko znajdzie sposób zawiadomienia chorego o swej obecności, napewno przyjętym zostanie. Pierwsze przywitanie ze strony muzyka schorowanego, goniącego resztkami sił, było nieco oziębłe, a może raczej zakłopotane, z pewną domieszką nieśmiałości, jaką się odczuwa, kiedy odsunąwszy się od Boga, doznaje się za pośrednictwem jego sług, nowych dowodów ojcowskiej dobroci.

Zacny kapłan zjawił się nazajutrz znowu i tak codzień, o tej samej porze odwiedzał Chopina, jak gdyby nigdy żadnego oziębienia między nimi nie było. Mówił z nim po polsku, opowiadał o wszystkiem co zaszło w emigracji, o prześladowaniu religji w Polsce przez jej ciemiężców, o znieważonych świątyniach, o spowiednikach zesłanych na Sybir, za to, że nie chcieli wyprzeć się swego Boga, o licznych męczennikach, ofiarach knutu.

Chory oczekiwał go codzień z większą niecierpliwością. Rozmowy te przenosiły go łagodnie, bez wstrząśnień w atmosferę rodzinną, łączyły chwilę obecną z przyszłością; powracał niejako do ukochanej Polski, skrwawionej i poniżonej a mimo to królewskiej, w koronie z cierni i purpurze jaką jej na kpiny zarzucono. Razu pewnego zwierzył się Chopin z całą prostotą księdzu, że dawno już się nie spowiadał i teraz chciałby to uczynić! Życzenie jego zostało odrazu spełnione; obaj oddawna przygotowywali się w duszy na tę wzniosłą i piękną chwilę.

Zaledwie chory wysłuchał ostatnich słów rozgrzeszenia, westchnął z głęboką ulgą i uradowany, uściskał szczerze, po polsku, spowiednika, wołając: „Dzięki, stokrotne dzięki! Tobie będę zawdzięczał, że nie umrę jak świnia!“ Szczegół

*) Bocage, jeden z najwybitniejszych aktorów z czasów pani Dorval, był jednym ze znakomitych przedstawicieli rozwichrzonego romantyzmu w sztuce dramatycznej i z tego tytułu, przez jakiś czas bardzo mile widzianym w Nohant.

ten podał nam sam ks. Jełowicki, wspomina też o nim w swoich „Listach". Opisywał nam głębokie wrażenie, jakie wywarł na nim wyraz tak prostaczo silny, na ustach człowieka, który był znanym z wykwintnego i starannego doboru słów; jakby jednym tchem chciał zrzucić z serca cały ogrom nagromadzonego tam obrzydzenia.

Z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień, zbliżało się widmo zgonu. Wraz z potęgowaniem się choroby, cierpienia stawały się coraz dotkliwsze. Mimo ponawiających się wciąż ataków, zachowywał Chopin do ostatka, w chwilach ulgi, całą żywość umysłu a życzenia, jakie wtedy jeszcze wypowiadał, świadczyły o głębokim spokoju z jakim oczekiwał śmierci. Chciał być pochowanym obok Belliniego, z którym łączyła go wielka zażyłość w czasie pobytu jego w Paryżu, na cmentarzu Père Lachaise, koło Cherubiniego. Gorące uwielbienie dla wielkiego mistrza i pragnienie poznania go, skłoniło w r. 1831 Chopina jadącego do Londynu, do zatrzymania się w Paryżu, gdzie już na stałe miał pozostać.

Zwłoki Chopina spoczęły więc według jego myśli między Bellinim a Cherubinim, temi dwoma tak różnymi genjuszami, którym w równym stopniu był pokrewnym, ceniąc prawdziwą wiedzę jednego a skłaniając się duchowo ku drugiemu, pełen uczucia melodyjnego, jak autor Normy, pragnący osiągnąć doskonałość w harmonji, podobnie jak światły starzec, autor „Medei".

Wierny zwykłej swej skrytości nie prosił Chopin nikogo o odwiedziny, choć szczerą wdzięcznością jaką okazywał przychodzącym do niego przyjaciołom, zdradzał chęć widzenia i żegnania się z nimi. W pierwszych dniach października znikła zupełnie nadzieja utrzymania go przy życiu; nietylko dnie, ale godziny zdawały się policzone. Na wieść o tem powróciła do Paryża, chwilowo nieobecna, hr. Delfina Potocka; Gutmann i siostra Chopina bez przerwy przy nim czuwali. Osoby odwiedzające umierającego mistrza, nie mogły się oderwać od niepowszedniej piękności widoku dogasania wielkiego ducha. Jakkolwiek gwałtowne lub płoche bywają namiętności ożywiające serca, czy siłę odczucia, czy obojętność okazują wobec wypadków niespodzianych a tem więcej wstrząsających, powolna a wzniosła śmierć ma w sobie majestat, uderzający wzruszeniem i podnoszący dusze najmniej do tego przygotowane. Stopniowe oddalanie się jednego z pośród nas w stronę nieznanej krainy, tajemnicza powaga jego ukrytych przeczuć, niewysłowionych objawień jakie otrzymuje, zestawianie zamiarów i zdarzeń, na tym wąskim progu, który oddziela czas od wieczności,

chwile minione od przyszłych, może nas bardziej wzruszyć niż wszystko inne na świecie. To czego tu na ziemi doznać możemy, nie jest w stanie oderwać naszego przywiązania od rzeczy znikomych, może to sprawić jedynie wgłębianie się w stan duszy świadomej siebie, która w skupieniu spogląda jednocześnie na różnorodną zmienność obrazów czasu i w nieme podwoje wieczności. Odwaga i poddanie się oswajające ją z nieuchronnym rozkładem tak odrażającym dla nas, działają głębiej na wyobraźnię aniżeli najstraszniejsze wypadki, nie dające przykładu podniosłego skupienia.

W pokoju przylegającym do sypialni Chopina, przebywało stale kilka osób, które kolejno przychodziły do niego, pragnąc uchwycić przynajmniej spojrzenie umierającego, w braku słów, jakie niezdolny był wymówić. Najmilsza uczennica i powiernica mistrza, ks. Marcelina Czartoryska, przychodziła codzień spędzić z nim kilka godzin i nie opuszczała go aż do końca, trwając długo jeszcze w modlitwie przy tym, który opuścił ten świat złudzeń i boleści, aby się wznieść do krainy wiecznego światła i radości.

W niedzielę, 15. października, nastąpiły ataki jeszcze bardziej bolesne od poprzednich, trwające kilka godzin. Chopin znosił je cierpliwie, z tak niezwykłą siłą ducha, że obecna temu hr. Delfina Potocka nie mogła się wstrzymać od łez. Postać jej szczupła, wysoka, w białej szacie, stojąca u stóp łoża, jak posąg anioła, najpiękniejszego jakiego można było wymarzyć, musiała się wydać umierającemu niebiańskiem zjawiskiem. Kiedy przyszła znów chwila ulgi, odezwał się do niej z prośbą, aby zaśpiewała. Zrazu myślano, że majaczy, ale na ponowną prośbę, powtórzoną z naciskiem, przysunięto fortepian do drzwi sypialni i pani Potocka usiadłszy, zaczęła śpiewać. Łzy strumieniem spływały jej po twarzy a cudowny jej głos rozbrzmiewał wzruszającą głębokością wyrazu.

Chory słuchał uważnie sławnego hymnu do Najświętszej Panny, który podobno ocalił życie Stradelli. „Jakie to piękne, Boże, jakie to piękne!" wyszeptał, „jeszcze, jeszcze!" Szlachetna pani uczyniła zadość temu życzeniu przyjaciela i rodaka pomimo ogromnego wzruszenia i rozległ się psalm Marcellego. W tej chwili Chopin tak osłabł, że wszyscy w przerażeniu padli na kolana wśród ogólnego milczenia, słychać było tylko piękny głos unoszący się nad tłumionem szlochaniem i westchnieniami. Noc się zbliżała, zmrok zapadał, otaczając wszystko tajemniczym swym cieniem; około umierającego modliła się siostra jego w postawie klęczącej,

której już nie opuściła, aż do chwili, kiedy ostatnie tchnienie uleciało z piersi ukochanego brata!

W nocy stan chorego znacznie się pogorszył a rano w poniedziałek było trochę lepiej. Jak gdyby Chopin był przeczuwał tę chwilę, odrazu zapragnął ją wykorzystać i przyjąć ostatnie namaszczenie. W zastępstwie kapłana-przyjaciela, z którym żył w bliskich stosunkach w czasie wspólnego wygnania, przybył ksiądz Jełowicki. Przyjął Sakramenta święte z wielką pobożnością, w obecności wszystkich przyjaciół, potem przywoływał skinieniem jednego za drugim, żegnając się z każdym z osobna, wzywając błogosławieństwa Bożego dla nich, ich czynów i nadziei, oni zaś przyjmowali je na kolanach, z czołem pochylonem i łzami w oczach, z boleścią w sercu lecz w podniosłym nastroju.

Ataki trwały przez cały dzień. W nocy z poniedziałku na wtorek Chopin nie wyrzekł ani słowa i zdawało się, że już nie rozróżnia otaczających go osób. Dopiero około godziny jedenastej odczuł, po raz ostatni, trochę ulgi w cierpieniu. Ksiądz Jełowicki, który go nie odstępował, zaczął na jego prośbę recytować litanję i modlitwy dla konających. Chopin odmawiał je razem z nim po łacinie, głosem zupełnie wyraźnym i odtąd już trzymał głowę opartą na ramieniu Gutmanna, który dzień i noc przy nim spędzał.

Drzemał, opanowany jakąś gorączkową sennością, aż około drugiej w nocy, 17. października 1849 r. rozpoczęła się agonja. Zimny pot obficie występował mu na czoło. Po krótkiem uśpieniu, wyszeptał zaledwie dosłyszalnym głosem: „Kto jest przy mnie?“ i pochyliwszy głowę, aby ucałować podtrzymującą go rękę Gutmanna, w tym ostatnim objawie przyjaźni i wdzięczności, ducha wyzionął. Umarł, tak jak żył, kochając!

Kiedy otworzono na oścież drzwi od pokoju zmarłego, wszyscy pośpieszyli do zwłok i długo, niepowstrzymanie płynęły łzy...

Znano powszechnie zamiłowanie jego do kwiatów i nazajutrz zniesiono ich tyle, że pokój zamienił się w ogród, w którym on spoczywał. Rysy jego przybrały wyraz pogody i niewysłowionego spokoju, powróciła młodzieńcza piękność przyćmiona długi czas cierpieniem. Aby utrwalić urok jaki śmierć jej przywróciła, zdjęto z jego twarzy odlew, który został wykonany w marmurze i umieszczony na grobowcu.*)

*) Dokonał tego odlewu i rzeźby, Clésinger, zięć pani Sand. — (Przyp. tłóm.)

Głębokie uwielbienie, jakie Chopin żywił dla Mozarta, wzbudziło w nim życzenie, aby w czasie żałobnego nabożeństwa wykonanem zostało „Requiem“.

Odbyło się to w kościele św. Magdaleny w Paryżu, nie prędzej jednak jak 30. października, tak długo trwać musiały staranne przygotowania. Najwybitniejsi artyści pragnęli wziąć udział w tym pośmiertnym hołdzie. Przy Introit zagrzmiał marsz żałobny zmarłego mistrza, instrumentowany na ten cel przez Rebera; ukryte w niem wspomnienie dalekiej ojczyzny towarzyszyło szlachetnemu pieśniarzowi polskiemu do grobu. Na Ofiarowanie odegrał Lefébure-Wely na organach, preludja h-moll i e-moll. Partje solowe w Requiem objęły panie: Viardot i Castellau, „Tuba mirmu“ odśpiewał Lablache, który to samo wykonywał w r. 1827 na pogrzebie Beethovena. Orszak żałobny prowadził Meyerbeer z ks. Adamem Czartoryskim, końce całunu nieśli: ks. Aleksander Czartoryski, Delacroix, Franchomme i Gutmann.

Nie wiem czy udało mi się mówić o Chopinie tak, jak tego pragnąłem, ale ufam, że urok jaki imię jego słusznie roztacza, dopowie resztę. Jeżeli do słów tych, pisanych pod wrażeniem jego dzieł i tego wszystkiego co mu było drogiem, którym tylko szczerość żalu uwielbienia i czci, może dać wymowną siłę, miałbym jeszcze dodać wrażenie nieuniknionego skupienia, jakie wywołuje w każdym człowieku śmierć, pozbawiająca go towarzyszy i przyjaciół młodości; przerywająca węzły nawiązane sercem pełnem złudzeń i ufności o tyle boleśniej, że dość mocne były, aby trwać jeszcze w wieku dojrzałym, powiedziałbym, że w ciągu jednego roku straciłem dwóch przyjaciół, najmilszych, jakich na drodze życia spotkać mogłem.

Jeden z nich padł na wyłomie wojny domowej. Nieszczęsny bohater zginął śmiercią straszną, której męczarnie ani na chwilę nie osłabiły jego nieustraszonej przytomności umysłu i rycerskiej dzielności. Potomek książęcego rodu, niezwykle czynny, kipiący życiem, obdarzony wybitnemi zdolnościami, zdołał już z niezmordowaną energją pokonać otaczające go trudności i stworzyć sobie pole dla popisu, dla wrodzonego daru wymowy i kierowania sprawami, gdzie byłby się podobnie jak w bitwach odznaczył. Drugi zginął, gasnąc zwolna, własnym ogniem trawiony. Życie jego, przebyte zdala od zgiełku świata, jakby nieziemskie, tylko w pieśniach ślad pozostawiło. Zakończył żywot na obcej ziemi, której nawet za przybraną matkę uznać

nie chciał, wierny swojej rodzonej; poeta z duszą zbolałą, pełną skrytości i tajemnej udręki.

Śmierć ks. Feliksa Lichnowskiego, osłabiła zajęcie, jakie we mnie wzbudzały losy stronnictwa, z którem ściśle był związany. Śmierć Chopina pozbawiła mnie pociechy, przyjaźni, opartej na wzajemnem zrozumieniu. Życzliwość, z jaką wielki ten artysta odnosił się do moich uczuć i pojęć o sztuce, byłaby osłodziła niejeden zawód i niejedno zwątpienie, tak jak zachęcała i wspierała pierwsze moje dążenia i próby.

Ponieważ przypadło mi w udziele przeżyć go, pragnąłem dać dowód mego bólu, złożyć hołd na grobie mistrza. Dziś kiedy muzyka postępuje tak szeroką i wspaniałą drogą rozwoju, wydaje mi się, że Chopin podobnym był do tych malarzy XIV. i XV. wieku, którzy, ograniczając się do ozdabiania rękopisów, kierowali się w tem tak szczęśliwem natchnieniem, że zdoławszy przełamać sztywność stylu bizantyńskiego, przekazali zachwycające wzory następcom takim, jak Francia, Perugino, Rafael.

Istniały narody, u których panował zwyczaj, stawiania na pamiątkę wielkich ludzi lub doniosłych wypadków, pomników z kamieni, składanych po jednemu przez każdego przechodnia, tak, że wzrastało do nieprzewidzianej wysokości bezimiennie dzieło wspólne. W naszych czasach dzieje się podobnie, z tą tylko różnicą, że zamiast bezkształtnej bryły powstaje dzieło sztuki, które zostaje, dzięki poezji dłuta, dla wieków następnych wiernem świadectwem współczesnych uczuć. Z dobrowolnych składek wznoszą się posągi i grobowce, ku czci tych, którzy utrwalili obraz kraju swego i epoki jaka ich wydała.

Niezwłocznie po śmierci Chopina, powziął Camille Pleyel podobny zamiar i urządził składkę, osiągając w krótkim czasie, jak słusznie spodziewać się należało, znaczną sumę, mającą służyć do wykonania marmurowego pomnika na grobie mistrza.

Co do mnie, wspominając przyjaźń, jaka mnie z Chopinem łączyła, podziw jaki we mnie wywoływał od pierwszej chwili jego ukazania się w świecie muzycznym, myśląc o tem, że nieraz bywałem wykonawcą jego natchnień i, to z chlubą powiedzieć mogę, lubianym i wybranym przez niego, że z własnych jego ust dowiadywałem się o szczegółach metody, jaką się posługiwał, że przejąłem niejako za swoje, myśli jego o sztuce i powierzane jej uczucia, osądziłem, że wszystko to nakazywało mi położyć coś więcej aniżeli zimny głaz, na jego mogile. Jako przyjaciel i towa-

rzysz, czułem się zobowiązany do złożenia szczególniejszego świadectwa, silnego mocą przekonania, pełnego serdecznej żałoby. Zdawało mi się, że ubliżyłem samemu sobie, nie ubiegając się o zaszczyt wyrycia swego nazwiska na jego grobie i zarazem pozbawiłbym jednej pociechy serce, w którem nic już nie zdoła zapełnić pustki po niepowetowanej stracie!...

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA

Nr. 637

KSIĘGARNIA ANTYKWARIAT

DOM KSIĄŻKI

cena

zł. gr.

Z DRUKARNI IGN. JAEGERA WE LWOWIE.

FRANCISZEK LISZT

CHOPIN

TŁÓMACZYŁA MARJA POMIAN

Z PRZEDMOWĄ PROF. Dr.

NAKŁADEM KSIĘGAR
WE LWO

